

STANISŁAW LEM

Głos Pana

NOTA WYDAWCY

Książka ta jest opublikowanym manuskrytem, jaki znaleziony został w pośmiertnych papierach Profesora Piotra E. Hogartha. Ten wielki umysł nie zdążył, niestety, przygotować i zamknąć ostatecznie rękopisu, nad którym pracował przez czas dłuższy. Udaremniła to choroba, jakiej uległ. Ponieważ o pracy tej, dla siebie wyjątkowej, a podjętej nie tyle z chęci, ile z poczucia obowiązku, mówił Zmarły Profesor niechętnie nawet z bliskimi, do jakich mam zaszczyt się zaliczać - podczas prac wstępnych, mających na celu przygotowanie rękopisu dla wydawcy, wyłoniły się pewne niejasności i kwestie sporne. Gwoli prawdzie winienem wyjawić, iż rozległy się z kręgu osób, zaznajomionych z tekstem, głosy przeciwstawiające się publikacji, która jakoby nie leżała w zamiarach Zmarłego. Nie zachowało się jednak żadne jego piśmienne w tym duchu oświadczenie i należy sądzić, że mniemania takie są bezzasadne. Jasne było natomiast, iż nie została rzecz zakończona, ponieważ brak jej było tytułu, jak również w postaci brulionu tylko odnaleźć udało się osobny fragment, który posłużyć mógł - i tu kryją się główne wątpliwości - już to za wstęp, już to za posłowie książki.

Jako wyznaczony przez testatora przyjaciel i kolega Zmarłego zdecydowałem się, ostatecznie, uczynić z owego fragmentu, istotnego dla zrozumienia całości, wprowadzenie. Tytuł „Głos Pana” zaproponował wydawca pan John F. Killer, któremu pragnę złożyć w tym miejscu podziękowanie za troskliwość, jaką okazał sprawie publikacji ostatniej pracy Profesora Hogartha, jak również chciałbym wyrazić wdzięczność pani Rosamond T. Shelling, która z taką starannością podjęła się prac przygotowawczych i dokonała ostatecznej korekty tekstu.

*Profesor Thomas V. Warren
Depart. Matematyki Uniw. w Waszyngtonie
Waszyngton DC., w kwietniu 1996 roku*

PRZEDMOWA

Jakkolwiek zgorszę wielu Czytelników słowami, które następują, wypowiedzenie ich uznałem za swój obowiązek. Książek takich jak ta nigdy dotąd nie pisałem, a że nie jest w zwyczaju, by matematyk poprzedzał swoje prace wynurzeniami osobistej natury mogłem ich sobie oszczędzić.

Wskutek niezależnych ode mnie okoliczności uwikłany zostałem w zdarzenia, które pragnę przedstawić. Powody, dla jakich poprzedzam ów opis rodzajem wyznania, wyjaśnią się później. Chcąc mówić o sobie, trzeba wybrać jakiś układ odniesienia; niechaj nim będzie ostatnio wydana moja biografia, pióra profesora Harolda Yowitta. Yowitt nazywa mnie umysłem największego formatu, bo atakowałem zawsze problemy najtrudniejsze z dzisiaj dostępnych. Wskazuje, że nazwisko moje znaleźć można było tam, gdzie toczyły się prace radykalnej destrukcji dziedzictwa naukowego i budowania nowych ujęć, na przykład w rewolucji matematycznej, w fizykalizowaniu etyki albo i w projekcie MAVO.

Doszedłszy w lekturze do miejsca, w którym o destrukcji mowa, oczekiwałem za słowami o moich skłonnościach niszczyielskich dalszych i śmielszych wniosków i pomyślałem, że wreszcie znalazłem biografa, co zresztą wcale mnie nie uradowało, ponieważ obnażać się samemu nie jest tym samym, czym - zostać obnażonym. Jednakże Yowitt, jak gdyby przelękniony własną przenikliwością, wraca potem - niekonsekwentnie - do obiegowej wersji mojej osoby jako tyleż uporczywego w pracy, co skromnego geniusza, cytując nawet kilka anegdot o mnie z żelaznego repertuaru.

Mogłem więc odstawić tę książkę ze spokojem na półkę, do innych moich biografii, ponieważ ani mi wtedy w głowie postąpiło, że będę niebawem nacierał na pochlebczego portrecistę. Zauważyłem przy tym, że niewiele już zostało na półce miejsca. Przypomniało mi to, jak mówiłem kiedyś Yvorowi Baloyne, że umrę, kiedy ta półka się wypełni. Wziął to za żart, ja zaś nie oponowałem, chociaż wyraziłem rzetelne przekonanie, którego bzdurność nie umniejsza jego autentyczności. Tak więc - wracam do Yowitta - raz jeszcze udało mi się albo, wedle woli, nie udało się, i mając w sześćdziesiątym drugim roku życia dwadzieścia osiem woluminów poświęconych własnej osobie, pozostaję doskonale nieznanym. Czy zresztą wolno tak mówić?

Profesor Yowitt pisał o mnie zgodnie z regułami, których nie ustanawiał. Nie na wszystkie osoby publiczne wolno patrzeć tak samo. Wielkich artystów wolno już ściagać w ich małości, i niektórzy biografowie zdają się nawet sądzić, że dusza artysty powinna być

podszyta podłostkami. Wobec wielkich uczonych wciąż jeszcze obowiązuje stary stereotyp. Artystów dostrzegamy już jako duchy, przykute do ciał, literaturoznawcy wolno mówić o homoseksualizmie Oskara Wilde'a, lecz trudno sobie, wyobrazić naukoznawcę, który by analogicznie zajął się twórcami fizyki. Musimy mieć jakichś niezłomnych, doskonałych, i zmiany historyczne ograniczają się do zmian lokalizacji ich pobytu. Polityk może być łotrem, nie przestając być wielkim politykiem, natomiast genialny łotr - to *contradictio in adiecto*: łotrostwo przekreśla genialność. Tego domagają się dziś reguły.

Grupa psychoanalityków z Michigan usiłowała co prawda ten stan rzeczy odmienić, lecz popadła w grzech trywialności. Skłonność do teoretyzowania, widomą u fizyków, wyprowadzali ci badacze z zahamowań seksualnych. Doktryna psychoanalityczna wykrywa w człowieku bydlę, osiodłane przez sumienie z takim fatalnym skutkiem, że bydlęciu jest niewygodnie pod owym zbożnym jeźdźcem, a jeźdźcowi nie lepiej w takiej pozycji, albowiem jego wysiłek zmierza nie tylko ku temu, żeby bydlę poskromić, ale jeszcze, by uczynić je niewidzialnym. Koncepcja, wedle której mamy w sobie stare zwierzę, na oklep unoszące nowy rozum, jest zlepką mitologicznych prymitywizmów.

Psychoanaliza dostarcza prawdy sposobem infantylnym, to jest gimnazjalnym: dowiadujemy się z niej, brutalnie i pospiesznie, rzeczy, które nas szokują i przez to zniewalają do posłuchu. Nieraz bywa, i właśnie jest tak w tym przypadku, że uproszczenie, dotyczące nawet prawdy, lecz tandetne, jest warte tyle samo, ile fałsz. Raz jeszcze pokazano nam demona i anioła, bestię i boga, splecionych w manichejskim uścisku, i raz jeszcze człowiek został ubezwinniony przez samego siebie jako teren walki sił, co w niego wlażyły, co go wypchały sobą i panoszą się w jego skórze. Toteż psychoanaliza jest przede wszystkim „gimnazjalizmem”. Skandale mają nam człowieka wyłożyć, a cały dramat egzystencji rozgrywa się pomiędzy świnią i sublimatem, w jaki może ją obrócić wysiłek kultury.

Toteż właściwie powinienem być wdzięczny profesorowi Yowittowi za to, że utrzymał mój wizerunek w stylu klasycznym i nie pożyczył metody od michigańskich psychologów. Nie mam zamiaru mówić o sobie lepiej, niż oni by mówili, ale jest przecież różnica pomiędzy karykaturą a portretem.

Nie uważam co prawda, by człowiek będący obiektem prac biograficznych dysponował wiedzą lepszą od tej, jaką posiadli biografowie. Pozycja ich jest bardziej dogodna, bo niejasności mogą tłumaczyć brakiem danych, co pozwala na domniemanie, że opisywany gdyby żył i chciał tego, mógłby im dostarczyć owej brakującej informacji. Opisywany nie dysponuje jednak niczym więcej ponad hipotezy na własny temat, które mogą zasługiwać na uwagę jako jego wytwory, ale niekoniecznie jako owe cegiełki brakujące.

Przy dostatecznej inwencji każdy właściwie może napisać cały szereg własnych życiorysów układających się w zbiór, spójny tylko faktograficznie. Osoby nawet rozumne, lecz młode, a więc przez niedoświadczenie naiwne, nie widzą w takiej możliwości niczego prócz cynizmu. Błądzą, ponieważ nie chodzi o problem moralny, lecz poznawczy. Ilość wiar metafizycznych wcale nie ustępuje liczebności rozmaitych wiar, jakie człowiek może żywić na własny temat - kolejno, w różnych okresach życia, a czasem i naraz.

Toteż nie powiadam, jakobym mógł dostarczyć czegoś więcej oprócz wyobrażeń, jakie o sobie żywię mniej więcej od lat czterdziestu, a jedyną ich osobliwością wydaje mi się to, że nie są dla mnie pochlebne. Niepochlebność owa nie ogranicza się jednak do „zdarcia maski”, które jest jedynym chwytem, dostępnym psychoanalitykowi. Powiedzieć, dajmy na to, o geniuszu, że był moralnie świnią, to niekoniecznie jeszcze w tym go trafić, w czym mogła mieszkać jego prywatna hańba. Myśl, „sięgająca pułapu epoki”, jak powiada w swej książce Yowitt, nie będzie dotknięta takim rodzajem diagnozy. Hańbą geniuszu może być jego intelektualna daremność, jego samowiedza o tym, jak niepewne jest wszystko, czego dokonał. Genialność jest nieustającym zwątpieniem - przede wszystkim. Każdy z wielkich ugiął się jednak pod presją ogółu, nie rozwałił stawianych sobie za życia pomników i nie podawał tym samego siebie w wątpliwość.

Jeśli jako osoba z genialnością, podzyrowaną przez kilkudziesięciu uczonych biografów, mogę cokolwiek powiedzieć w kwestii duchowych kulminacji, to tyle tylko, że jasność myśli jest płonącym punktem na obszarze niewyczerpanej ciemności. Geniusz nie jest światłem po prostu, lecz przede wszystkim - trwałym dostrzeganiem mroku otaczającego, a normalnie jego tchórzostwo na tym polega, aby we własnym blasku się kąpać i, póki to możliwe, nie patrzeć poza jego granicę. Bez względu na to, jak wiele jest w nim autentycznej siły, zawsze pozostaje jeszcze taka znaczna reszta, która musi być już tylko siły takiej udaniem.

Za podstawowe cechy mego charakteru uważam tchórzostwo, złość i dumę. Tak się złożyło, że owa trójca miała do dyspozycji określony talent, który ukrył ją i pozornie przeinaczył, a pomogła mu w tym inteligencja, jedno z przydatniejszych w życiu urządzeń do maskowania przyrodzonych cech, jeśli się taki zabieg ma za pożądany. Od czterdziestu kilku lat zachowuję się jak człowiek uczynny i skromny, wyzbyty znamion profesjonalnej pychy, ponieważ bardzo długo i uporczywie wdrażałem się do takiego właśnie postępowania. Jak daleko mogę sięgnąć pamięcią w dzieciństwo, żyłem poszukiwaniem zła, z czego zresztą, rzecz zrozumiała, nie zdawałem sobie sprawy.

Zło moje było izotropowe i doskonale bezinteresowne. W miejscach szanownych, jak

kościół, lub w pobliżu szczególnie godnych osób chętnie myślałem o tym, co mi było zakazane. To, że treść owych myśli przedstawiała śmieszna dziecinadę, nie ma najmniejszego znaczenia. Dokonywałem po prostu eksperymentów w takiej skali, na jaką aktualnie było mnie stać. Nie pamiętam wcale, kiedy pierwszy raz wziąłem się do takich doświadczeń. Pamiętam tylko ów przeraźliwy żal, gniew, rozczarowanie, które szły za mną później latami, skoro okazało się, że w głowę, złymi myślami wypełnioną, w żadnym miejscu i przy żadnym sąsiedztwie nie uderza piorun, że wyłamanie się z uczestnictwa w porządku właściwym nie pociąga za sobą żadnej, ale to żadnej konsekwencji.

Jeśli w ogóle można tak powiedzieć o kilkuletnim dziecku, życzyłem sobie owego piorunu lub innej formy straszliwej kary i zapłaty, wyzywałem ją i znienawidziłem świat jako miejsce mojej egzystencji za to, że udowodnił mi daremność wszelkiego, a więc także i złego, uczynku w myśli. Toteż nigdy nie znęcałem się nad zwierzętami ani nawet nad trawą, natomiast siekłem kamienie, piasek, maltretowałem sprzęty, znęcałem się nad wodą, a myślą gwiazdy rozwaląłem na kawałki, aby ukarać je za to, że nic ich nie obchodzi, i postępowałem tak w złości coraz bardziej bezsilniejącej w miarę postępów rozumienia, jak śmieszne i głupie są moje czyny.

Nieco później uznawałem stan mój, zdobyty samowiedzą, za rodzaj dojmującego nieszczęścia, z którym nic absolutnie się nie da począć, ponieważ nie może niczemu posłużyć. Powiedziałem, że moja złość była izotropowa: jakoż obdarzałem nią samego siebie najpierw; kształty rąk, nóg własnych, rysy twarzy irytowały mnie, widziane w lustrze, tak jak na ogół gniewają nas i niecierpliwą tylko u innych. Gdy podrosłem jeszcze bardziej, uznałem, że tak niepodobna żyć; postanowiłem sobie w kolejnych decyzjach, jakim właściwie być powinienem, i odtąd dążyłem już, zresztą ze zmienną konsekwencją, do trzymania się raz ustalonego programu.

Autobiografię, która zaczyna się od wymienienia złości z dumą i trwożliwością jako fundamentów ducha, obciąża z deterministycznego punktu widzenia logiczny błąd. Jeśli uznać bowiem, że wszystko jest w nas przesądzone, przesądzone było także moje sprzeciwienie się wewnętrznemu złu, a różnica pomiędzy mną a innymi, lepszymi ludźmi, sprowadzałaby się jedynie do odmiennej lokalizacji źródła uczynków. Co tamci robią z dobrej woli, kosztem niskim, dają bowiem posłuch skłonności naturalnej, ja praktykowałem wbrew niej, więc niejako sztucznie. Ale to przecież ja sam sobie nakazywałem postępki, więc w całościowym bilansie byłem - w tym ujęciu - jednak predestynowany do rzetelnego dobra. Jak Demostenes kamyk do jąkających się ust - włożyłem sobie w głąb ducha żelaza, żeby go naprostować.

Lecz właśnie determinizm pokazuje w tym zrównaniu całą swoją nonsensowność. Płyta gramofonowa, na której utrwalono anielskie pienia, ani o włos nie jest lepsza moralnie od takiej, z której dobywa się morderczy wrzask. Zgodnie z determinizmem ten, kto chciał i mógł stać się lepszy, był na to z góry skazany, tak samo jak ten, kto chciał, lecz nie mógł, albo i ten, co chcieć nawet nie próbował. Oto fałszywy obraz, ponieważ odgłosy walki, nagrane na płytę, nie są walką realną. Znając kosza własne, mogę powiedzieć, że moje zmagania nie były urojone. Determinizm mówi po prostu o czymś najzupełniej innym - siły, jakimi operuje rachunek fizyczny, nie mają tu nic do rzeczy, podobnie jak nie uniewinnia zbrodni jej przekład na język amplitudy atomowych prawdopodobieństw.

W jednym Yowitt na pewno ma słusność: zawsze poszukiwałem trudności. Okazje, w których mogłem dać upust mojej złości przyrodzonej, zazwyczaj odrzucałem jako nazbyt łatwe. Jakkolwiek zabrzmi to dziwacznie, a nawet nonsensownie, nie przełamywałem mojej skłonności do zła, zapatrzonej w dobro jako wartość większą, lecz właśnie dlatego tak postępowałem, ponieważ wtedy odczuwałem w całej pełni jego obecność w sobie. Liczył mi się rachunek wysiłku, który z arytmetyką moralności nic nie miał wspólnego. Toteż nie umiem, doprawdy, powiedzieć, co by się ze mną działo, gdyby skłonność do wyrządzania tylko rzeczy dobrych była właśnie pierwszą przyrodzoną cechą mojej natury. Jak zwykle rozumowanie starające się uchwycić nas samych w innej, niż dana, postaci, łamiąc reguły logiki musi się rychło zawalić.

Raz jeden zła się nie wyrzekłem; wspomnienie to wiąże się z długą i okropną agonią mojej matki, którą kochałem, a zarazem z nadzwyczaj bystrą zachłannością notowałem proces jej destrukcji w chorobie. Miałem wówczas dziewięć lat. Ona, uosobienie pogody, siły, równowagi aż majestatycznej, leżała w przewlekłym i przez lekarzy rozciągającym konaniu, ja, przy jej łóżku, w pokoju zaciemnionym, pełnym odoru lekarstw, miałem się jeszcze w garści, ale raz, zamknąwszy za sobą drzwi, gdy od niej wyszedłem, widząc, że jestem sam, wyciąłem radosny grymas w stronę sypialni, a że mi nie wystarczyło, pognałem do siebie i zdyszany podskakiwałem przed lustrem z zaciśniętymi pięściami, robiąc miny i chichocząc od lechczywej uciechy. Od uciechy? Rozumiałem dobrze, że matka umiera, od rana rozpaczałem i rozpacz ta była tak samo prawdziwa, jak ów dławiony chichot. Doskonale pamiętam, jak mnie przeraził, a jednocześnie wykroczyłem nim poza wszystko, co dotąd poznałem, i w tym przekroczeniu było porażające olśnienie.

W nocy jeszcze, leżąc sam, usiłowałem zrozumieć, co się stało, a niezdolny do tego, doprowadziłem się odpowiednim rozczuleniem nad sobą i nad matką do łez, aż usnąłem. Uznałem zapewne te łzy za ekspiację, lecz potem wszystko powtarzało się, kiedy

podśluchiwałem coraz gorsze wieści przekazywane ojcu przez lekarzy. Bałem się iść do siebie i szukałem wtedy rozmyślnie ludzi. Pierwszym człowiekiem, którego zląkłem się, byłem więc ja sam.

Po śmierci matki wpadłem w dziecinną rozpacz, nie zakłóconą żadnym zarzutem. Fascynacja skończyła się z jej ostatnim oddechem. Razem z nią zgasł lęk. Sprawa ta jest tak mętna, że mogę stawiać tylko hipotezy. Obserwowałem upadek absolutu, który okazał się iluzją, zmaganie haniebne, sprośne, ponieważ doskonałość rozlazła się w nim jak ostatni łań. Było to rozdeptanie porządku życia, a jakkolwiek ludzie nade mną wyposażyli repertuary tego porządku w specjalne uchyłki nawet na tak ponure okazje, to owe dodatki nie chciały pasować do tego, co się działo. Nie można z dostojeństwem, z wdziękiem ryczeć z boleści - tak samo jak z rozkoszy. W niechlujstwie zatracenia przeczulem prawdę. Może uznałem to, co wtargnęło, za stronę silniejszą, więc opowiedziałem się za nią, ponieważ brała górę.

Mój śmiech w ukryciu nie miał nic wspólnego z samym cierpieniem matki. Tego cierpienia tylko się bałem, było nieuchronnym towarzyszem konania, to mogłem pojąć; gdybym potrafił, wyzwoliłbym ją od bólu, nie pragnąłem ani jej cierpień, ani śmierci. Ku realnemu mordercy rzuciłbym się z płaczem i błaganiem, jak każde dziecko, lecz skoro go nie było, mogłem tylko chłonać perfidię zadawanego okrucieństwa. Jej ciało, opuchłe, zamieniało się we własną, monstrualną karykaturę, wydrwione i wijące się w tej drwinie. Nie miałem innego wyboru, jak tylko ginać z nią albo ją wyśmiać, więc, jako tchórz, wybrałem śmiech zdrady.

Nie umiem powiedzieć, czy naprawdę tak było. Pierwszy paroksyzm chichotu chwycił mnie na widok zniszczenia i, być może, to doświadczenie ominęłoby mnie, gdyby matka doznała zagłady sposobem bardziej estetycznym, podobnym do cichego zasypiania, ponieważ to jest forma pozytywnie wyróżniona przez ludzi. Tak nie było jednak i zmuszony wierzyć własnym oczom, okazałem się bezbronny. W dawniejszych czasach sprowadzony w porę chór płaczek zagłuszyłby skowyt mojej matki; degeneracja kultury ściągnęła jednak zabiegi magiczne na poziom fryzjerstwa, bo przedsiębiorca pogrzebowy - i to podśluchiwałem - proponował ojcu rozmaite wyrazy twarzy, w jaki potrafi przerobić jej pośmiertnie skurczony grymas. Ojciec wyszedł wtedy z pokoju, i poczułem na krótką chwilę drgnienie solidarności, bo zrozumiałem go. Myślałem później o tej agonii niezliczone razy.

Wersja śmiechu jako zdrady wydaje mi się niezupełna. Zdrada jest wynikiem rozeznania, ale co sprawia, że destrukcja może nas pociągać? Jaka czarna nadzieja świta z niej człowiekowi? Jej totalna bezprzydatność czyni próżnym każde wyjaśnienie racjonalne. Tę skłonność zachłanną daremnie zadeptywały liczne kultury. Jest ona czymś danym nam równie

bezapelacyjnie, jak dwunożność. Temu, kto szukając przyczyny nie godzi się z żadną hipotezą rozmysłu, ani w jej postaci opatrnościowej, ani diabelskiej, pozostaje tylko racjonalny surogat demonologii - statystyka. Od zaciemnionego pokoju więc, pełnego woni rozkładu, prowadzi ślad ku mojej antropogenezie matematycznej, formułami stochastyki starałem się odczynić ohydny urok. Ale i to jest tylko przypuszczeniem, więc samoobronnym odruchem rozumu.

Wiem dobrze, że to, co tu piszę, dałoby się odwrócić na moją korzyść za nieznacznym przestawieniem akcentów - i jakiś mój późny biograf będzie starał się tego dokonać. Udowodni, że intelektem pokonałem charakter, odnosząc heroiczne zwycięstwo, a szkalowałem się z chęci samooczyszczania. Taka robota idzie tropami Freuda, został on Ptolemeuszem psychologii, bo każdy może teraz wyklądać za nim ludzkie fenomeny, wznosząc epicykle na epicyklach: ta budowla przemawia do nas, ponieważ jest estetyczna. Wersję sielankową wymienił na groteskę nie wiedząc, że pozostaje więźniem estetyki. Jakby o to chodziło, żeby operę zastąpić w antropologii tragikomedią. Niechaj się mój pośmiertny biograf nie fatyguje; nie potrzebuję apologii, cały mój wysiłek zrodziła ciekawość nie tknięta poczuciem winy. Chciałem zrozumieć - tylko zrozumieć, nic więcej. Bezinteresowność zła jest bowiem jedynym oparciem w człowieku dla argumentacji teologicznej; teodycea odpowiada na pytanie, skąd wzięła się własność, która nie jest rodem ani z Natury, ani z Kultury. Umysł, stale zanurzony w materii humanistycznego doświadczenia, a przez to antropocentryczny, może się wreszcie pogodzić z wizją kreacji jako z lekka makabrycznego żartu.

Pociągająca jest myśl o Stwórcy, który się po prostu bawił, lecz wchodzimy tu w błędne koło: wyobrażamy go sobie złośliwym nie przez to, że nas takimi uczynił, ale przez to, że sami tacy jesteśmy. Tymczasem owa marginalność i kompletna nieważność człowieka, postawionego wobec Kosmosu, o jakiej powiadamia nas nauka, czyni mit manichejski pomysłem prymitywnym aż do trywialności. Wypowiem to inaczej: gdyby kreacja miała zajść - czego zresztą nie dopuszczam myślą - to ów poziom wiedzy, jakiej wymaga ona koniecznie, jest już tego rzędu, że nie ma tam miejsca na głupawe żarty. Albowiem - i to jest właściwie całe credo mojej wiary - nic takiego, jak doskonała mądrość zła - nie jest możliwe. Powiada mi rozumowanie, że Stwórca nie może być małym szuja, manipulatorem, ironicznie zabawiającym się tym, co stwarza. To, co mamy za wynik interwencji złośliwej, mogłoby tylko być zrozumiałe jako zwyczajne przeliczenie, jako błąd, ale wówczas wkraczamy w obręb nie istniejącej teologii bóstw ułomnych. Otóż domena ich budowlanych praktyk nie jest niczym innym, jak terenem mojej właśnie pracy życiowej, to znaczy - statystyką.

Każde dziecko dokonuje bezwiednie odkryć, z których wyrosły światy Gibbsa i Boltzmanna, ponieważ rzeczywistość jawi mu się jako wielość możliwości dających się wyodrębnić i budzić tak łatwo, że jakby samorzutnie. Dziecko otoczone jest mnogością wirtualnych światów, całkowicie obcy jest mu kosmos Pascala, zeszywniały w zegarowym chodzie trup, miarowo ruchliwy. Spetryfikowany ład dojrzałości niszczy potem owo pierwotne bogactwo. Jeśli ten wizerunek dzieciństwa wyda się jednostronny choćby przez to, że dziecko ignorancji, a nie wyborowi zawdzięcza wewnętrzną swobodę, to ostatecznie każdy wizerunek nim jest. Wraz z klęską wyobraźni odziedziczyłem po niej resztkę, rodzaj trwałej niezgody na rzeczywistość, przypominającą raczej gniew zresztą niż abnegację. Już mój śmiech był odmową, kto wie, czy nie skuteczniejszą od samobójstwa. Przyznają się do niego, sześćdziesięciodwuletni, matematyka zaś stanowiła tylko późną konsekwencję tej postawy. Była moją drugą dezercją.

Mówię to przenośnie - lecz proszę mnie wysłuchać. Zdradziłem umierającą matkę, czyli wszystkich ludzi, optowałem śmiechem na rzecz większej od nich potęgi, jakkolwiek była ohydna, bo nie widziałem innego wyjścia. Lecz potem dowiedziałem się, że tego naszego przeciwnika, który jest wszystkim, który w nas też uwił sobie gniazdo, również mogę zdradzić, przynajmniej do pewnego stopnia, ponieważ matematyka jest niezawisła od świata.

Czas wyjawiał mi, że omyliłem się powtórnie. Prawdziwie optować za śmiercią przeciwko życiu i za matematyką przeciwko światu - nie można. Prawdziwa opcja oznacza tylko własną zagładę. Cokolwiek robimy bowiem, robimy w życiu, i doświadczenie pokazuje, że matematyka również nie jest azylem doskonałym, ponieważ mieszkaniem jej jest język. Ta informacyjna roślina wkorzeniła się w świat i w nas. Porównanie to zawsze za mną chodziło, nawet wtedy jeszcze, kiedy nie umiałem go przełożyć na język dowodu.

W matematyce szukałem tego, co było cenne w dzieciństwie, wielości światów, zrywającej łączność z narzuconym, tak lekko, jakby wyzbyty był owej siły, również w nas samych tkwiącej, a tylko dostatecznie skrytej, abyśmy mogli zapominać o jej obecności. Lecz potem, jak każdy matematyk, przekonywałem się ze zdumieniem, jak wstrząsająco nieoczekiwana i niewiarygodnie wszechstronna jest owa działalność podobna zrazu do zabawy. Wchodzi się w nią z dumą, jawnie i wyraźnie odcinając myśl od świata, postanowieniami arbitralnymi, dorównującymi apodyktycznością - kreacji, dokonuje się zamknięcia deficycyjnego, które ma nas odseparować od owego kłębowiska, w jakim przychodzi żyć. I oto ta odmowa, to najradykałniejsze zerwanie doprowadza nas właśnie do rdzenia zjawisk i ucieczka okazuje się zdobyciem, dezercja - zrozumieniem, a zerwanie - pojednaniem. Lecz zarazem jest dokonaniem odkrycia, że ucieczka była pozorna, skoro

powracamy do tego, przed czym usiłowaliśmy umknąć. Wróg przepoczwarza się w sojusznika, dostępujemy oczyszczenia, w którym świat daje nam poznać, milcząco, że tylko nim możemy go przewyciężyć. Tak strach zostaje uśmierzony obracając się w zachwyty, w owym szczególnym azylu, którego skrajne wnętrzości są właśnie stykiem z powierzchnią jedyne go świata.

Matematyka nigdy nie objawia w tym stopniu człowieka, nie wyraża go tak, jak dowolna inna praca ludzka: stopień unicestwienia własnej cielesności, jaki w niej się zdobywa, nieporównywalny jest z niczym. Zainteresowanych tymi słowami odsyłam do moich prac. Tu mogę powiedzieć tylko, że świat porządku swoje wstrzyknął w język ludzki, ledwie ów język zaczął powstawać; matematyka śpi w każdej mowie i jest do odnalezienia tylko, lecz nie do wymyślenia.

To, co w niej jest koroną, nie daje się odciąć od tego, co jest korzeniem; powstaje ona bowiem nie w ciągu trzystu czy ośmiuset lat cywilizacyjnej historii, lecz w tysiącleciach językowej ewolucji: na polu starć człowieka ze środowiskiem, z międzyludźmi i z międzyrzeczami. Język tak samo jest mądrzejszy od umysłu każdego z nas, jak mądrzejsze jest od rozeznania każdej jednostki jej ciało, samowiednie wszechstronne w nurcie życiowego procesu. Schematy obu ewolucji, żywej materii i materii informacyjnej mowy, jeszcześmy nie wyczerpali, a już roimy sny o przekroczeniu granic obojga. Słowa te mogą być lichym filozofowaniem, lecz już nim nie są moje dowody na językową genezę matematycznych pojęć, czyli na to, że ani z przeliczalności rzeczy, ani z bystrości rozumu te pojęcia nie powstały.

Powody, dla których zostałem matematykiem, na pewno są złożone, a jednym z głównych jest umiejętność, bez której tyleż bym zdziałał w moim fachu, ile w lekkoatletyce garbus, kandydat na rekordzistę. Nie wiem, czy te powody, które charakteru, a nie umiejętności dotyczą, grały rolę w historii, jaką zamierzam opowiedzieć - ale nie mogę takiej ewentualności wykluczyć, gdyż kaliber samej sprawy jest taki, że przy nim ani naturalny wstyd, ani duma liczyć się nie mogą.

Zazwyczaj pamiętnikarze posuwają jak najdalej szczerą wypowiedź, kiedy sądzą, że to, co mogą wyjawiać o sobie, jest niezmiernie ważne. Ja, odwrotnie, przesłanką szczerości czynię całkowitą nieistotność mojej osoby, to jest do wylewności, zasadniczo nieznośnej, zmusza mnie jedynie brak rozeznania, gdzie kończy się kaprys statystycznej kompozycji osobowościowej, a gdzie się zaczyna reguła gatunku.

W rozmaitych dziedzinach można zdobywać wiedzę realną oraz taką tylko, która nas komfortuje duchowo, przy czym obie wcale nie muszą się z sobą pokrywać. Rozróżnienie

tych dwu rodzajów wiedzy jest w antropologii na granicy niemożliwości. Jeśli niczego tak nie znamy, jak samych siebie, to dlatego zapewne, ponieważ nieustannie ponawiamy żądanie wiedzy nie istniejącej jako informacji o tym, co utworzyło człowieka, a z góry wykluczamy, nie, zdając sobie z tego sprawy, ewentualność połączenia najbardziej byle jakich trafów z najdogłębniejszą koniecznością.

Opracowałem kiedyś program dla eksperymentu jednego z moich przyjaciół, eksperyment ten polegał na wymodelowaniu w środowisku maszyny cyfrowej - rodziny istot neutralnych, czyli takich homeostatów, co miały owo środowisko poznawać, nie posiadając wyjściowo żadnych cech „emocjonalnych” ani „etycznych”. Istoty owe rozmnażały się - tylko w maszynie, rzecz oczywista, więc jako to, co laik nazwałby pewną formą „rachunków” - i po kilkudziesięciu „pokoleniach” wciąż od nowa pojawiała się we wszystkich „egzemplarzach” cecha zupełnie dla nas niezrozumiała, swego rodzaju odpowiednik „agresywności”. Po niezmiernie mozolnych a daremnych obliczeniach sprawdzających mój zrozpaczony przyjaciel zaczął wreszcie - właśnie już z rozpaczony tylko - badać najbardziej nieistotne okoliczności doświadczenia i wówczas okazało się, że pewien przekaźnik reagował na zmiany wilgotności powietrza, które stawały się nie rozpoznany producentem odchylenia.

Trudno mi nie myśleć o tym eksperymencie, gdy to piszę, bo czy nie mogło być tak, że rozwój socjalny wyniósł nas ze zwierzęcego królestwa krzywą wykładniczą - zasadniczo do tego wzlotu nie przygotowanych? Reakcja socjalizacji rozpoczęła się, zaledwie ludzkie atomy wykazały pierwszą szczepliwość. Atomy te były materiałem prefabrykowanym tylko biologicznie, gotowym do spełnienia typowo biologicznych kryteriów, a ów ruch, owo pchnięcie w górę wyrwało nas i uniosło w przestrzeń cywilizacyjną. Czy taki start mógł nie zadzierznąć na biologicznym materiale - przypadkowych zbieżności, niczym sonda, która, wycelowana w morskie dno, podejmuje z niego uchwytem oprócz tego, na co była skierowana, akcydentalne szczątki i rupiecie? Przypominam wilgotniejący przekaźnik niezawodnej maszyny cyfrowej. Dlaczego właściwie ów proces, który nas spowodował, miał być pod jakimkolwiek względem - doskonały? A jednak nie ważymy się ani my, ani nasi filozofowie, na myśl, że ostateczność i jedyność bytowania gatunku wcale nie implikuje perfekcji, co miałyby patronować jego powstaniu - tak samo, jak nieobecna jest taka perfekcja u kolebki każdego osobnika.

Jest rzeczą wielce ciekawą, że znamiona naszej niedoskonałości, jako przedstawicieli gatunku, nie zostały nigdy, przez żadną wiarę, uznane za to, czym po prostu są, a więc za rezultaty działań zawodnych, ale na odwrót, praktycznie wszystkie religie schodzą się w przeświadczeniu, iż niedoskonałość człowieka jest rezultatem starcia demiurgicznego dwu

perfekcji antagonistycznych, które nawzajem sobie szkodziły. Doskonałość jasna zderzyła się z ciemną i powstał człowiek: tak głosi ich formuła. Koncepcja moja brzmi wulgarnie tylko wówczas, jeśli jest fałszywa - a tego, czy taka jest, nie wiemy. Wspomniany mój przyjaciel przeformułował ją karykaturalnie, mówiąc, że podług Hogartha ludzkość jest garbusem, który, dla niewiedzy o tym, że można garbatym nie być, od tysięcy lat poszukuje znamion wyższej konieczności w swoim garbie, ponieważ gotów jest na każdą wersję oprócz takiej, że kalectwo to jest przypadkowe po prostu, że nikt go nim z rozmysłu wyższego nie obdarzył, że ono najzupełniej niczemu nie służy, bo tak właśnie ustaliły rzecz skręty i uchyłki antropogenezy.

Miałem jednak mówić o sobie, a nie o gatunku. Nie wiem, skąd wzięła się we mnie i co ją sprawiło, ale, jeszcze teraz, po tylu latach, mogę odnaleźć w sobie złość niepostarzałą, bo energie najprymitywniejszej odruchowości nigdy się nie starzeją. Czyżbym skandalizował? Przez kilkadziesiąt lat działałem jako kolumna rektyfikacyjna, wytwarzając destylat, na który złożył się stos moich prac oraz spowodowanych tymi pracami - hagiografii. Jeśli powiadacie, że nic was nie obchodzi wnętrzości aparatury, które niepotrzebnie wywlekam na światło, zważcie, że ja, w czystości pokarmu, jakim was raczyłem, widzę trwałe znaki wszystkich moich sekretów.

Matematyka nie była moją Arkadią, raczej brzytwą tonącego, kościołem, w który wszedłem, niewierzący, bo panowała w nim treuga Dei. Główną moją pracę matematyczną nazwano destrukcyjną - nieprzypadkowo. Nie przez przypadek zakwestionowałem nieodwracalnie podstawy dedukcji matematycznej i pojęcia analityczności w logice. Obróciłem narzędzia statystyki przeciw ich podstawom - aż je rozsadziły. Nie mogłem być diabłem w podziemiu i aniołem w świetle słonecznym. Tworzyłem, ale na zgliszczach, i ma słuszność Yowitt: więcej odebrałem prawd, aniżeli dałem nowych.

Za ów bilans ujemny obciążono epokę, nie mnie, ponieważ przyszedłem po Russellu i Goedlu, po tym, jak pierwszy wykrył rysy w fundamentach kryształowego pałacu, a drugi wstrząsnął nimi. Powiedziano więc, że działałem zgodnie z duchem czasu. Ależ tak. Lecz trójkątny szmaragd nie przestaje być trójkątnym szmaragdem, kiedy się staje okiem ludzkim - w ułożonej mozaice.

Nieraz zastanawiałem się nad tym, co byłoby ze mną, gdybym się był urodził we wnętrzu jednej z czterech tysięcy kultur, zwanych prymitywnymi, co poprzedziły naszą, w owej otchłani osiemdziesięciu tysięcy lat, którą nasz brak wyobraźni kurczy do przedpola, poczekalni dziejów właściwych. W jednych zmarniałbym zapewne, lecz w innych zrealizowałbym się, kto wie, o ile pełniej, jako nawiedzony stwarzający nowe obrzędy i

magie dzięki tej umiejętności kombinowania elementów, którą przyniosłem na świat. Może pod nieobecność hamulca, którym w naszej kulturze jest relatywizacja wszelkiego bytu pojęciowego, mógłbym bezopornie sakralizować orgie zniszczenia i rozpasania, ponieważ w owych prastarych kręgach praktykowano obyczaj okresowego, powtarzalnego zawieszania codziennych praw, czyli rozrywania kultury (była ona dnem, opoką, absolutem, a jednak w zadziwiający sposób zdołano dojść tego, że nawet absolut powinien być dziurawy!) - aby dać upust zapiekłej masie nadmiarów, które w żadnym systemie skodyfikowanym pomieścić się nie mogą, których część tylko wyżywa się w maskach wojowniczych i rodzinnych, w upręży i wędzidle obyczaju.

Rozumne były, racjonalne owe rozcięcia więzów i reguł społecznych; opętanie grupowe, pandemonium wyzwolone i biczowane narkozą rytmów i trucizn - było otwarciem kłap bezpieczeństwa, przez które wywalał się czynnik zniszczenia, dostosowane było do człowieka owo barbarzyństwo tym wynalazkiem szczególnym. Zasada zbrodni, z której można się wycofać, obłędu odwracalnego, wyrwy, rytmicznie pulsującej w społecznym porządku, została zniweczona, i teraz wszystkie owe siły muszą chodzić w zaprzęgu, obracać kieraty, odgrywać role, do których przystają ciasno i zawsze źle, więc korodują wszelką codzienność, chyłkiem są wszędzie, ponieważ nigdzie nie wolno im powstać bezanonimowo. Każdy z nas uczepony jest od dziecka jakiegoś, publicznie dozwolonego, własnego kawałka, tego, co został wybrany, wyszkolony, zdobył consensus omnium, każdy wycinek ów hoduje, wygładza, doskonalą, weń tylko dmucha, aby najsprawniej się rozwinął, i każdy udaje, będąc cząsteczką, pełnię - kikut z pretensjami do całości.

Od tak dawna, jak tylko mogę spamiętać, brakowało mi etyki zaszczepionej na wrażliwości. Z rozmysłu zbudowałem sobie jej protezę. Musiałem jednak znaleźć dobrą rację takiego działania, bo osadzać nakazy na pustce to tyle, co do komunii bez wiary przystępować. Nie powiadam, jakobym zaplanował życie w taki teoretyczny sposób, jak to tu przedstawiam. Nie dorobiłem też własnemu postępowaniu - wstecz - aksjomatów. Działalem zawsze podobnym sposobem, choć bezwiednie zrazu; motywacji później się domyśliłem.

Gdybym uważał się za człowieka z gruntu dobrego, zapewne nie byłbym zdolny zrozumieć zła. Sądziłem, że ludzie zadają je z premedytacją - zawsze, czyli robią to, co sobie postanowili, bo nie znalazłbym innych źródeł niegodziwości we własnym przeżyciu. Miałem jednak lepszą wiedzę, znając równocześnie i własne skłonności, i bezwinę za nie, bo przecież zastałem w sobie tego, jakim jestem, nie pytany o to, czy się na skład taki godzę.

Otóż to, żeby jeden niewolnik dławiał innego niewolnika dla zaspokojenia sił wszczepionych obydwóm; żeby jedna bezwina dręczyła drugą, jeśli istnieje choć szansa na

opór takim naciskom - to było mi obrazą rozumu. Jesteśmy dani sobie i nie możemy kwestionować tych darów w całości inaczej aniżeli bezskutecznie, ale skoro otwiera się najdrobniejsza szansa przeciwstawienia zastanemu - jakże z niej nie korzystać? Tylko takie decyzje i takie działania są wyłącznie naszą, ludzką własnością, podobnie jak możliwość samobójstwa - to jest sektor wolności, w którym wzgardzona zostaje nieproszona scheda.

Proszę nie mówić, że zaprzeczam sobie - temu, który w erze jaskiniowej widział czas lepszych swoich zniszczeń. Wiedza jest nieodwracalna, nie może cofnąć się w mrok słodkiej ignorancji. W owym czasie nie miałbym wiedzy i nie mógłbym jej zdobyć. Posiadaną muszę wykorzystać. Wiem, że składał nas i porządkował traf, i ja miałbym być uległym wykonawcą wszystkich dyrektyw, wylosowanych na oślep niezliczonymi ciągnieniami?

Moje „principium humanitatis” jest osobliwe tym, że gdyby je chciał stosować do siebie ktoś z gruntu dobry, musiałyby - zgodnie z dyrektywą „przewyciężenia własnej natury” - zadawać zło dla utwierdzenia się w swojej wolności ludzkiej. Nie nadaje się więc moja zasada do zastosowania powszechnego, ale też nie widzę żadnego powodu, dla jakiego miałbym zdobyć panaceum etyczne ludzkości. Niejednorodność, niejednakowość ludzi jest im dana, toteż postanowienie Kanta, aby zasada jednostkowych postępów mogła być prawem powszechnym, oznacza niejednakowy gwałt zadawany ludziom, i poświęcając osobnicze wartości dla nadrzędnej - kultury - wymierza niesprawiedliwość. Nie powiadam też wcale, jakoby każdy w takim tylko stopniu był człowiekiem, w jakim jest własnowolnie spętany potworem. Przedstawiłem rację czysto prywatną, moją własną strategię, która zresztą nie odmieniła we mnie niczego. Nadal pierwszą moją reakcją na wieść o czymś nieszczęściu bywa iskra uciechy i drgnień takich nawet nie próbują już tłumić, bo wiem, że nie dosięgnę miejsca, w którym żyje ten bezmyślny chichot. Lecz, odpowiadam oporem i działam wbrew sobie dlatego, że mogę to czynić.

Gdybym naprawdę zamierzał spisać własną biografię, która okazałaby się wobec tomów na półce antybiografią, nie musiałbym usprawiedliwiać tych wyznań. Ale cel mój jest inny. Przygoda, którą opisuję, sprowadza się do tego, że ludzkość spotkała się z czymś, co istoty nie należące do jej rodzaju wysłały w ciemność gwiazd. Sytuacja, jako historycznie pierwsza, dość chyba poważna, aby uznało się potrzebą dokładniejszego, niż zezwala na nie konwenans, wyjawienia - kto właściwie reprezentował w owym spotkaniu naszą stronę. Tym bardziej że ani mojej genialności, ani matematyki nie starczyło, aby dało ono niezatrute owoce.

I

Projekt Masters Voice ma olbrzymią literaturę, rozleglejszą i daleko bardziej różnorodną, niż ją miał projekt Manhattan. Po jego ujawnieniu Amerykę i świat zalała powódź artykułów, opracowań i monografii tak obfita, że jej bibliografia przedstawia potężny tom grubości encyklopedii. Wersję oficjalną stanowi Raport Baloyne'a, który American Library wydała potem w 10 milionach egzemplarzy, jego kwintesencja zaś figuruje w ósmym tomie Encyclopaedia Americana. O Projekcie pisali też inni ludzie, którzy pracowali w nim na wiodących stanowiskach, jak S. Rappaport (The First Case of Interstellar Communication), W. Dill (Masters Voice - I was there) czy D. Prothero (Mavo Project - Physical Aspects). Ta ostatnia rzecz, pióra mego nieżyjącego już przyjaciela, należy do najdokładniejszych, choć właściwie trzeba ją zaliczyć do literatury specjalistycznej, która pojawia się tam, gdzie to, co badano, oddziela się definitywnie od badających.

Opracowań historycznych jest zbyt wiele, aby można je wymienić. Monumentalna jest czterotomowa rzecz zawodowego historyka nauki, Williama Angersa (Chronicle of 749 Days). Napęła mnie podziwem dla swej skrupulatności, Angers bowiem dotarł do wszystkich byłych współpracowników Projektu i dał kompilację ich poglądów, lecz nie przeczytałem jego dzieła do końca - wydało mi się to równie niemożliwe, jak lektura książki telefonicznej. Osobną dziedzinę stanowią książki nie faktograficzne, lecz wykładnie Projektu rozciągające się od filozoficznych i teologicznych aż po psychiatryczne. Czytanie takich publikacji wprawiało mnie zawsze w irytację i w znużenie. Jest rzeczą na pewno nieprzypadkową, że najwięcej mieli do powiedzenia o Projekcie ci, którzy bezpośrednio się z nim nie zetknęli.

Przypomina to stosunek, jaki mają do grawitacji bądź elektronów fizycy - oraz kulturalne osoby czytające popularne książki. Osobom tym wydaje się, że wiedzą coś o sprawach, o których specjaliści nie ośmielają się nawet mówić. Informacja z drugiej ręki zawsze sprawia wrażenie kształtnej, w przeciwieństwie do tej pełnej luk i niejasności, jaką może dysponować uczony. Autorzy opracowań MAVO, zaliczający się do interpretującej kategorii, z reguły wtłaczali zdobyte wiadomości w gorsety swoich przekonań, to, co nie pasowało, obcinając bez pardonu i wahania. Niektóre z takich książek można przynajmniej podziwiać dla pomysłowości autorskiej. Lecz gatunek ten niepostrzeżenie przechodzi w swoistą odmianę, którą można by nazwać grafomanią Projektu. Naukę od jej zarania otaczało halo pseudonauki parującej z rozmaitych niedowarzonych głów, nic więc dziwnego, że

MAVO, jako zjawisko bezprecedentalne, wywołał aż niepokojąco gwałtowną fermentację zwichniętych umysłów, ukoronowaną powstaniem szeregu sekt religijnych.

Ilość informacji niezbędnej dla choćby ogólnikowego zorientowania się w problematyce Projektu przekracza na dobrą sprawę pojemność mózgu pojedynczego człowieka. Lecz ignorancja, hamując zapaly rozsądnych, w najmniejszej mierze nie powstrzymuje głupców, toteż w ocenie papierów zadrukowanych, które Masters Voice powołał do istnienia, każdy może znaleźć to, co mu będzie odpowiadało, jeśli tylko nie zależy mu zbytnio na prawdzie. Zresztą parały się piśmiennictwem poświęconym Projektowi najczcigodniejsze skądinąd osoby. „Nowe Objawienie” szanownego Patricka Gordinera jest przynajmniej jasne logicznie, czego bym już nie powiedział o „Liście Antychrysta” ojca Bernarda Pignana. Gdyż świątobliwy ojciec sprowadził MAVO do demonologii (uzyskawszy po temu nihil obstat swej kościelnej zwierzchności), a jego klęskę końcową przypisał wstawiennictwu Opatrzności. Poszło to bodaj, jak przypuszczam, od Pana Much, ukutej żartobliwie w Projekcie nazwy, którą ojciec Pignan wziął serio, postępując jak dziecko, które sądzi, że nazwy gwiazd i planet, wypisane na nich, odczytują astronomowie przez swoje teleskopy.

Cóż jednak mówić dopiero o bezliku wersji sensacyjnych, przypominających owe potrawy zamrożone, tak gotowe do natychmiastowego spożycia, że niemal przeżute, które za szybką celofanową wyglądają o wiele lepiej, aniżeli smakują. Przyczyną ich pozornie różnorodnego wyglądu jest coraz to inny, ale zawsze bajecznie kolorowy sos. Szpiegowsko-politycznym zaprawił swą serię reportaży LOOK (wkładając mi w usta słowa, których nigdy nie wypowiedziałem), w New Yorkerze była to substancja subtelniejsza, bo z dodatkiem pewnych wyciągów filozoficznych, a znów w „Mavo - the True Story” - doktor medycyny W. Shaper dał wykładnię zdarzeń psychoanalityczną, z której dowiedziałem się, że ludźmi Projektu powodowała libido, wynaturzona projekcjami najnowszej - kosmicznej - mitologii seksu. Doktor Shaper znajduje się również w posiadaniu dokładnych wiadomości o życiu seksualnym cywilizacji kosmicznych.

Nie jestem w stanie pojąć, czemu na drogi publiczne nie wpuszcza się ludzi pozbawionych prawa jazdy, natomiast na półki księgarskie mogą się dostawać w dowolnej ilości książki osób pozbawionych przyzwoitości - że nawet nie wspomnę o wiedzy. Inflacja słowa drukowanego spowodowana jest, zapewne, wykładniczym wzrostem liczby piszących, ale w równej mierze - polityką edytorską. Dzieciństwem naszej cywilizacji był stan, w którym czytać i pisać umiały tylko osoby wybrane, rzetelnie wykształcone, i podobne kryterium działało też po wynalezieniu druku, a jeśli nawet wydawano dzieła głupców (czego uniknąć

całkowicie chyba niepodobna), to ich ogólna liczba nie była astronomiczna jak dzisiaj. Obecnie w zalewie tandety tonąc muszą publikacje cenne, ponieważ łatwiej jest odnaleźć książkę wartościową wśród dziesięciu kiepskich, aniżeli ich tysiąc w milionie. Nadto nieuchronne staje się zjawisko pseudoplagiatu - mimowolnego powtarzania cudzych a nieznanych myśli.

Nie mogę mieć pewności, że to, co piszę, nie jest podobne do czegoś, co już napisano. Oto ryzyko czasów, w których ludzkość eksplodowała. Jeśli postanowiłem przedstawić własne wspomnienia związane z pracą w Projekcie, to dlatego, że nie zadowoliło mnie nic z tego, co o nim przeczytałem. Nie obiecuję, że będę pisał „prawdę i tylko prawdę”. Gdyby nasze wysiłki zwieńczył sukces, byłoby to możliwe, a zarazem uczyniłoby to moje przedsięwzięcie zbędnym, gdyż owa prawda końcowa zaćmiłaby okoliczności jej zdobywania i stałaby się faktem materialnym, wbitym w środek cywilizacji. Klęska jednak odtrąciła niejako wszystkie owe wysiłki na powrót do ich źródła. Skoro nie rozumiemy zagadki, nie pozostaje nam właśnie nic oprócz owych okoliczności, które miały być tylko rusztowaniem, a nie budowlą, procesem przekładu, nie zaś treścią utworu. Jednakże to pierwsze okazało się wszystkim, z czym wróciliśmy z wyprawy po złote runo gwiazd. Już w tym miejscu rozchodzę się z tenorem wersji takich także, które nazywałem obiektywnymi, poczynając od Raportu Baloyne'a, ponieważ nawet słowo takie jak „klęska” w nich nie występuje. Czyż nie wyszliśmy z Projektu niezrównanie bogatsi, niżesmy weń wchodzili? Nowe rozdziały fizyki koloidów, fizyki silnych oddziaływań, astronomii neutronowej, nukleoniki, biologii, a przede wszystkim - nowa wiedza o Kosmosie stanowią wszak pierwsze odsetki od tego kapitału informacyjnego, który, zdaniem fachowców, obiecuje dalsze zyski.

Zapewne. Ale rozmaite bywają korzyści. Mrówki, które napotkały w swej wędrówce nieżywego filozofa, też na tym skorzystały. Jeśli przykład jest szokujący, o to mi właśnie chodziło. Piśmiennictwo, od swoich narodzin, miało jednego jakoby wroga, którym jest ograniczenie myśli wypowiedanej. Okazuje się jednak, że wolność słowa bywa dla myśli środkiem bardziej zabójczym; zakazane myśli mogą krążyć potajemnie, ale co zrobić tam, gdzie doniosły fakt ginie w powodzi falsyfikatów, a głos prawdy zagłuszony zostaje niesamowitą wrzawą i chociaż swobodnie się rozlega, nie może być dosłyszany, albowiem techniki informacyjne doprowadziły, jak dotąd, jedynie do sytuacji, w której najlepiej odbierać można tego, kto ryczy najgłośniej, choćby i najnieprawdziwiej?

Ja, który mam niejedno do powiedzenia o Projekcie, długo się wahałem, nim siadłem do biurka, bo zdaję sobie sprawę z tego, że powiększam i tak już wezbrany ocean papierów. Liczyłem na to, że ktoś bardziej biegły w słowie wykona za mnie tę pracę, aż po upływie lat

uznałem, że nie mogę milczeć. Najpoważniejsze dzieła traktujące o Masters Voice, wersje obiektywne, z kongresową na czele, przyznają, że nie dowiedzieliśmy się wszystkiego, lecz ilość miejsca poświęcona osiągnięciom, przy stronicowych wzmiankach o niepoznanym - sugeruje samymi proporcjami, jakobyśmy opanowali Labirynt prócz kilku, pewno ślepych, może zasypanych korytarzy - a tymczasem myśmy do niego nawet nie weszli. Skazani do końca na domysł, odłamawszy z pieczętujących go zamknięć kilka okruchów, zachwycaliśmy się blaskiem, jakim, roztarte, pozłociły nam końce palców. O tym, co zamknięte, nie wiemy nic. A przecież jednym z pierwszych zadań uczonego jest nie określanie rozmiarów zdobytej wiedzy, bo ta sama siebie tłumaczy, lecz rozmiarów ignorancji, która jest tej wiedzy niewidzialnym. Atlasem.

Nie mam złudzeń. Obawiam się, że nie zostanę usłyszany, ponieważ nie istnieją już autorytety uniwersalne. Rozpad czy też rozkład specjalistyczny posunął się dostatecznie daleko, aby odpowiedni fachowcy odmawiali mi kompetencji, ilekroć wkroczę na ich tereny. Już dawno powiedziano, że specjalista to barbarzyńca, którego ignorancja nie jest wszechstronna. Moje pesymistyczne horoskopy opierają się na osobistym doświadczeniu.

Dziewiętnaście lat temu opublikowałem wspólnie z młodym antropologiem, Maxem Thornopem (zginął tragicznie w wypadku samochodowym), pracę, w której udowodniłem, że istnieje próg komplikacji dla automatów skończonych, sterowanych algedonicznie, do jakich należą wszystkie zwierzęta wraz z człowiekiem. Sterowanie algedoniczne oznacza oscylację pomiędzy karą i nagrodą jako bólem i rozkoszą.

Dowód mój wyjawia, że jeśli liczba elementów ośrodka regulacyjnego (mózgu) przekracza na najwyższym poziomie cztery miliardy, zbiór takich automatów wykazuje rozrzut między przeciwczłonami sterowania. W każdym takim automacie może brać górę jeden z biegunów kontroli albo, mówiąc to samo językiem bardziej obiegowym, sadyzm i masochizm nie są do uniknięcia i powstanie ich w procesie antropogenezy było nieuchronne. Ewolucja „poszła” na takie rozwiązanie, ponieważ operuje ona rachubą statystyczną: liczy się dla niej przetrwanie gatunku, a nie wadliwe stany, przypadłości, cierpienia - poszczególnych indywiduów. Jest ona, jako konstruktor, oportunistą, a nie - perfekcjonistą.

Udało mi się wykazać, że w każdej ludzkiej populacji, przy panmiksyjnym założeniu, najwyżej 10% osobników może wykazywać dobre zrównoważenie sterowania algedonicznego, natomiast reszta musi się od idealnej normy odchylać. Jakkolwiek już wtedy zaliczałem się do czołówki matematycznej świata, wpływ tego dowodu na środowiska, antropologów, etnologów, biologów i filozofów równał się zeru. Długo nie umiałem tego pojąć. Moja praca nie była hipotezą, lecz formalnym, więc nieodpartym dowodem

wyjawiającym, że za cechy człowieka, nad którymi legion myślicieli głowy sobie łamał przez wieki, odpowiada czysty proces fluktuacji statystycznej, którego obejść - przy konstruowaniu automatów bądź organizmów - nie można.

Rozszerzyłem później ten dowód tak, że objął, również zjawiska powstawania etyki w grupie społecznej, przy czym oprzeć się mogłem na wspomniałym materiale przygotowanym przez Thornopa. Jednakże i ta praca została zignorowana. Po latach, mając za sobą niezliczone dyskusje ze specjalistami, którzy zajmują się człowiekiem, doszedłem do wniosku, że odkrycie moje nie znalazło ich uznania dlatego, ponieważ takiego nikt z nich sobie nie życzył. Styl myślenia, jaki reprezentowałem, był w owych środowiskach czymś degustującym, ponieważ nie dawał pola retorycznej kontrargumentacji.

Było to z mojej strony nietaktowne - dowodzić czegoś na temat człowieka matematycznym sposobem! W najlepszym razie moje przedsięwzięcie nazywano „interesującym”. W istocie nikt tam nie był gotów przystać na to, że czcigodna Tajemnica Człowieka, niewytłumaczalne cechy jego natury wynikają z ogólnej teorii regulacji. Naturalnie sprzeciwu tego nie wyrażano w taki jawny sposób. Niemniej wzięto mi ten dowód za złe. Zachowałem się jak słoń w składzie porcelany, albowiem to, czego nie mogła dojść antropologia z etnografią w badaniach terenowych, ani najbardziej otchłanna refleksja filozoficzna jako medytacja nad „ludzką naturą”, to, co nie dawało się sformułować problemowo w neurofizjologii, tak samo jak w etologii, co stanowiło urodzajne rezerwy wiecznie płodnych metafizyk, razem z psychologią głębinową, psychoanalizą klasyczną, lingwistyczną i Bóg raczy wiedzieć, jakich jeszcze prac ezoterycznych - spróbowałem rozciąć niby węzeł gordyjski moim dowodem liczącym sobie dziewięć stron druku.

Oni przyzwyczaili się już do swego wysokiego stanu Strażników Tajemnicy, nazywanej transmisją Archetypów, Instynktem Życia i Śmierci, Wolą Samożagłady, popędem Nicości, a ja, przekreślając takie święte ryty jakimiś grupami przekształceń i teorematami ergodycznymi, twierdziłem, że posiadam rozwiązanie problemu! Żywiono więc do mnie skrzętnie tajoną niechęć, oburzenie, jako do brutalnego profana, który dopuścił się zamachu na zagadkę, usiłując zaczipować jej wiecznie żywe źródła, zamknąć usta z lubością stawiające nieskończone szeregi pytań, więc, ponieważ dowodu nie dało się obalić, zignorowanie go okazało się koniecznością.

Słów tych nie wywołała dotknięta miłość własna. Prace, za które wywindowano mnie na piedestał, znajdują się w innych dziedzinach - czystej matematyki. Doświadczenie owo było jednak wielce pouczające. Nie doceniamy zazwyczaj bezwładności stylów myślenia w oddzielnych gałęziach nauki. Jest to zresztą zrozumiałe psychologicznie. Opór jaki stawiamy

ujęciu statystycznemu w fizyce atomowej, daje się przełamać dużo łatwiej aniżeli w antropologii. Klarownie zbudowaną teorię statystyczną jądra atomowego chętnie aprobujemy, jeśli tylko potwierdza ją doświadczenie. Zaznajomiwszy się z taką teorią nie pytamy potem: „Dobrze, ale jak atomy zachowują się *naprawdę?*” - ponieważ rozumiemy bezsensowność takiego pytania. Lecz rewelacjom podobnym na terenie antropologii przeciwstawiamy się do upadłego.

Od czterdziestu lat wiadomo, że różnica pomiędzy szlachetnym, prawym człowiekiem a zwyrodniałcem maniakalnym sprowadzać się może do przebiegu kilku pęczków białej substancji mózgu i że ruch lancetu, który w okolicy nadoczodołowej uszkodzi pęczki, może obrócić wspaniałego ducha w obleśną kreaturę. Lecz jak ogromny odłam antropologii - nie mówiąc nawet o filozofii człowieka - nie przyjmuje tego stanu rzeczy do wiadomości! Nie stanowią tu zresztą wyjątku; uczeni czy laicy, godzimy się w końcu z tym, że nasze ciała psują się z wiekiem, lecz duch?! Życzylibyśmy go sobie widzieć niepodobnym do jakiegokolwiek mechanizmu podległego defektom. Łakniemy jego doskonałości - nawet opatrzonej znakiem ujemnym, nawet haniebnej i grzesznej, byle tylko wyratowała nas przed gorszą od szatańskiej eksplikacją, że chodzi o pewną grę sił idealnie wobec człowieka obojętnych. A ponieważ myśl nasza porusza się w kole, z którego wyskoczyć niepodobna, przyznaję, że tkwi pewna racja w słowach jednego z naszych znakomitych antropologów; powiedział mi - i dobrze to zapamiętałem: „Satysfakcja, z jaką obnosisz się ze swoim dowodem na loteryjność ludzkiej natury, nie jest czysta; nie jest to radość poznania, ale uciecha szkalowania tego, co drugiemu piękne i miłe”.

Ilekcję wspomnę tę moją zapoznaną pracę, nie mogę oprzeć się niewesołej refleksji, że takich prac musi być na świecie więcej. Złoża potencjalnych odkryć tkwią zapewne w różnych bibliotekach, lecz nie zostały dostrzeżone przez ludzi kompetentnych.

Przywykliśmy do klarownej sytuacji, w której to co ciemne i nieznanne, rozpościera się przed jednolitym frontem nauki, a to, co zdobyte i zrozumiałe, stanowi jej zaplecze. Lecz w gruncie rzeczy wszystko jedno, czy nieznanne tkwi w łonie Natury, czy też zaryte jest w szpargałach, nie czytanych przez nikogo księgozbiorów, bo treści, które nie weszły do krwioobiegu nauki i nie krążą w nim zapładniająco, praktycznie nie istnieją dla nas. Chłonność nauki każdego czasu historycznego na radykalnie odmienne ujmowanie zjawisk jest w rzeczywistości niewielka. Samobójstwo i obłęd jednego z twórców termodynamiki są tylko drobnym przykładem.

Kultura nasza w jej przodującej pono części naukowej jest tworem wąskim, widzeniem zawężonym każdorazowo sztywniejącą historycznie konstelacją mnóstwa

czynników, wśród których zbiegi okoliczności, uznawane za niewzruszone wytyczne metodologii, mogą grać pierwszorzędną rolę. Nie piszę tego wszystkiego od rzeczy.

Jeśli kultura nasza nie umie asymilować sprawnie nawet ujęć powstających w głowach ludzkich, gdy wynikają poza jej centralnym nurtem, choć twórcy tych ujęć są przecież dziećmi tego samego czasu, co inni ludzie, jakże moglibyśmy liczyć na to, że będziemy zdolni skutecznie zrozumieć kulturę odmienną całkowicie od naszej, jeśli się ona zwróci do nas poprzez kosmiczny przestwór? Porównanie do armii stworzonek, co skorzystały wielce, natknąwszy się na zmarłego filozofa, wydaje mi się tu ciągle trafne. Dopóki do zetknięcia takiego nie doszło, mógł sąd mój uchodzić za pewną skrajność, za wyraz poglądów dziwacznych. Lecz spotkanie nastąpiło, a klęska, jaką ponieśliśmy w nim, stanowiła istne *experimentum crucis*, dowód naszej bezradności, i oto wynik tego dowodu został zignorowany! Mit o naszym poznawczym uniwersalizmie, o naszej gotowości odebrania i zrozumienia informacji całkowicie - przez jej pozaziemskość, nowej - trwa niewzruszony, chociaż, otrzymawszy posłanie z gwiazd, zrobiliśmy z nim nie więcej, niżby zrobił dzikus, który, ogrzawszy się u płomienia podpalonych dzieł najmędrszych, uważa, że doskonale owo znalezisko wykorzystał!

Tak więc spisanie historii naszych usiłowań daremnych może być pożyteczne - choćby dla przyszłego, późnego badacza Pierwszego Kontakt. Relacje bowiem ogłoszone, owe protokoły oficjalne koncentrują się na tak zwanych sukcesach, czyli na owym miłym ciepłe, jakie bucha od płonących rękopisów. O hipotezach, jakie kolejno wypróbowaliśmy, nie mówi się tam prawie nic. Postępowanie takie byłoby - wspominałem o tym - dozwolone, gdyby badane oddzieliło się w końcu od badaczy. Studiujących fizykę nie zasypuje się informacjami o tym, jakie to hipotezy mylne, niedokładne, jakie domniemania fałszywe wysuwali jej twórcy, jak długo błąkał się Pauli, zanim sformułował we właściwy sposób swoją zasadę, ile chybionych koncepcji wypróbował Dirac przed szczęśliwym pomysłem owych swoich „dziurek” elektronowych. Lecz historia Projektu Masters Voice jest dziejami klęski, to znaczy błędzenia, po którym nie nastąpiło wyprostowanie drogi, więc nie wolno przekreślać unieważniająco owych zygzaków naszego pochodzenia, ponieważ oprócz nich nie pozostało nam nic.

Od wydarzeń tych upłynęło sporo czasu. Długo czekałem na książkę taką, jak ta właśnie. Dłużej czekać - z przyczyn czysto biologicznych - nie mogę. Dysponowałem pewną ilością notatek spisanych tuż po zamknięciu Projektu. To, czemu nie pisałem ich w trakcie prac, wyjaśni się później. Jedno chciałbym powiedzieć wyraźnie. Nie mam zamiaru wnoszenia się ponad moich towarzyszy. Staaliśmy u podnóża olbrzymiego znaleziska tak

nie przygotowani, a zarazem tak pewni siebie, jak to tylko być może. Obleźliśmy je natychmiast ze wszystkich stron, bystro, łąpczywie i zręcznie, z tradycyjną wprawą, jak mrówki. Byłem jedną z nich. To jest historia mrówki.

II

Kolega po fachu, któremu pokazałem wstęp, powiedział, że oczerniłem się, aby dać potem swobodę mej skłonności - weredyka - ponieważ tym, których nie oszczędzę, trudno będzie mieć o to do mnie pretensje, skoro pierwej nie oszczędziłem siebie. Uwaga ta, choć wypowiedziana na poły żartobliwie, zastanowiła mnie. Jakkolwiek zamiar tak perfidny ani mi powstał w głowie, orientuję się w mechanice ducha dostatecznie, by wiedzieć, że podobne zarzekanie się nie ma żadnej wartości. Być może uwaga była słuszna. Być może powodowała mną nieświadoma chytrość: brzydotę mojej złości ukazałem jawnie, zlokalizowałem ją, aby się od niej odciąć - ale uczyniłem to tylko w słowach.

Tymczasem ona, chyłkiem, przeniknąwszy osmotycznie moje „dobre chęci”, cały czas kierowała piórem; zachowałem się niby kaznodzieja, który, gromiąc obrzydlistwa ludzkie, znajduje tajoną przyjemność w ich nazywaniu przynajmniej, skoro nie śmie czyniami w nich uczestniczyć. W tak radykalnie odwróconym układzie rzeczy to, co miałem za przykrą konieczność, zaleconą wymaganiami tematu, staje się motywem głównym inspiracji, cały zaś temat właściwy - Masters Voice - pretekstem, który się składnie nawinał. Zresztą kościec tego rozumowania, które można by nazwać karuzelowym - ponieważ obraca się w kole, w którym przesłanki i wnioski zamieniają się miejscami - daje się z kolei przenieść na samą problematykę Projektu. Myślenie nasze musi się zderzać z twardym skupieniem faktów, które je trzeźwią i korygują, a pod nieobecność takiego korektora łatwo staje się projekcją tajnych skaz (albo cnót, to wszystko jedno) - w obszar badanego. Sprowadzanie systemów filozoficznych do przypadłości życiorysowych ich twórców jest uważane (wiem coś o tym) za zajęcie tyleż trywialne, co niedozwolone. Lecz na dnie filozofii, która zawsze chce powiedzieć więcej, niż to jest możliwe w danym czasie, bo stanowi próbę „schwywania świata” w siatkę pojęć zamkniętą, właśnie w pismach najznakomitszych myślicieli zatajona jest dojmująca bezbronność.

Poznawczy wysiłek człowieka to ciąg z granicą w nieskończoności, a filozofia to próba osiągnięcia tej granicy za jednym zamachem, w krótkim spięciu, dającym pewność wiedzy doskonałej i niewzruszonej. Nauka posuwa się tymczasem swoim drobnym krokiem, podobnym niekiedy do pelzania, a nawet okresami do dreptania w miejscu, lecz dociera w końcu do rozmaitych szańców ostatecznych, wyrytych przez myśl filozoficzną, i nie bacząc wcale na to, że tam właśnie miała przebiegać ultymatywna granica rozumu, idzie dalej.

Jakże nie miało to wprawiać filozofów w rozpacz? Jedną z form takiej rozpacz był

pozytywizm, szczególnie przez swą agresywność, ponieważ udawał sojusznika wiernego, a był właściwie likwidatorem nauki. To, co podgryzało i niszczyło filozofię, unieważniając jej wielkie odkrycia, miało zostać teraz srogo ukarane, i pozytywizm, fałszywy aliant, wydał ów wyrok - dowodząc, że nauka niczego nie może naprawdę odkryć, skoro stanowi tylko skrótowy zapis doświadczenia. Pozytywizm pragnął osadzić naukę, zmusić ją niejako do wyznania bezsiły w kwestiach wszelkiej transcendencji (co mu się jednak, jak wiemy, nie udało).

Historia filozofii jest historią kolejnych i nietożsamyh odwrotów. Usiłowała najpierw wykryć ostateczne kategorie świata, potem - absolutne kategorie rozumu, a my tymczasem, w miarę kumulowania się wiedzy, dostrzegaliśmy coraz lepiej jej bezbronność. Każdy filozof musiał bowiem uznać siebie za wzorzec absolutny całego gatunku, a nawet - wszechmożliwych istot rozumnych. Ale nauka jest właśnie transcendencją doświadczenia ścierającą w proch wczorajsze kategorie myśli; wczoraj upadła absolutna przestrzeń i czas, dzisiaj pęka jakoby wieczna alternatywa między analitycznością i syntetycznością twierdzeń - czy między determinizmem a losowością. Lecz żadnemu z filozofów jakoś nie przyszło do głowy, że wyprowadzać z porządku własnego myślenia - prawa, ważne dla całego zbioru ludzi od eolitu po zgaśnięcie słońc jest, mówiąc łagodnie, rzeczą nieostrożną.

To wstępne podstawienie siebie za niewiadomą normy wszechgatunkowej było, powiem ostrzej, nieodpowiedzialne. Usprawiedliwieniem stawała się każdorazowo chęć zrozumienia „wszystkiego” - mająca wartość tylko psychologiczną. Toteż filozofia mówi o ludzkich nadziejach, lękach i pożądanjach daleko więcej, aniżeli o istocie doskonale obojętnego świata, który tylko dla jednodniówek jest wieczną niezmiennością praw.

Jeżeli nawet poznaliśmy już takie prawa, których żaden postępn dalszy nie obali, nie potrafimy ich odróżnić od tych, które zostaną przekreślone. Toteż filozofów mogłem traktować serio zawsze tylko jako ludzi nękanym ciekawością, ale nie jako głosicieli prawdy. Czy formułując tezy o imperatywach kategorycznych, o stosunku myśli do postrzeżenia, pierwsi brali się sumiennie do wypytywania niezliczonych osobników ludzkich? Skądże - pytali zawsze i tylko siebie. Otóż ta ich każdorazowa intronizacja, to milczące pasowanie siebie na wzorzec homo sapiens zawsze mnie wzburzały i utrudniały lekturę najgłębszych skądinąd dzieł - rychło bowiem dochodziłem w nich do miejsca, w którym oczywistość autora nie była już moją, toteż odtąd już tylko do siebie przemawiał, o sobie mi opowiadał, do siebie się odwoływał, tracąc prawo głoszenia ustaleń prawdziwych dla mnie, a tym bardziej dla reszty dwunogów zaludniającej planetę. Jakże śmieszyla mnie choćby pewność tych, co ustalali, że nie ma myślenia innego nad językowe. Filozofowie ci nie wiedzieli, że tworzą

pewną frakcję gatunku, taką, która nie jest obdarzona matematycznie. Ileż to razy w życiu, będąc już po olśnieniu nowym odkryciem, mając je ujęte tak trwale, że nie do zapomnienia, musiałem godzinami borykać się, aby znaleźć dlań szatę językową, ponieważ zrodziło się we mnie poza wszelkim, tak naturalnym, jak formalnym językiem.

Nazwałem sobie ów fenomen stanem wynurzania się; jest nieopisywalny, ponieważ to, co wyłania się z nieświadomości i z trudem, wolno, odnajduje sobie jak gniazda - słowa, istnieje pod postacią całości, jeszcze zanim osiadzie wewnątrz tych gniazd, ale nie potrafię ani jednego napomknienia wykrztusić, które by wyjaśniło, w jakiej właściwie postaci jawi się owa bez- i przedśłowność, zwiastowana tylko dojmującym poczuciem, że oczekiwanie jej nie będzie jałowe. Filozof, który stanów takich nie zna z introspekcji, to człowiek pod względem jakości pewnych mechanizmów mózgowych ode mnie inny; niezależnie od stopnia gatunkowego podobieństwa różnimy się od siebie bardziej, niżby tego mogli pragnąć tacy myśliciele.

Właśnie pod względem bezbronności i ogromnego ryzyka, jakie bierze na siebie filozof, podobna była sytuacja ludzi Projektu w obliczu jego centralnego problemu. Czym dysponowaliśmy? Tajemnicą i dżunglą domysłów. Z tajemnicy wyłupaliśmy odłamki faktów, lecz gdy one nie przybierały, nie rozrastały się w trwałe masyw zdolny korygować nasze przypuszczenia, te ostatnie poczynały z wolna brać górę i w końcu błakaliśmy się w lesie domniemań na domniemaniach wznoszonych. Konstrukcje nasze były coraz lotniejsze i śmielsze, coraz odleglejsze od zaplecza wiedzy posiadanej - gotowi byliśmy ją burzyć, rujnować najświętsze zasady fizyki czy astronomii, byle osiąść tajemnicę. Tak się nam zdawało.

Czytelnika, który zabrnął aż do tego miejsca i z rosnącym zniecierpliwieniem oczekuje wprowadzenia w meritum sławnej zagadki, spodziewając się, że przyprawię go o dreszcze równie rozkoszne jak te, jakich doznaje na seansach krew mrozących filmów, namawiam, aby książkę moją odłożył, ponieważ się rozczaruje. Nie piszę historii sensacyjnej, lecz opowiadam, w jaki sposób kultura nasza została poddana próbie na kosmiczną - a przynajmniej nie tylko ziemską - uniwersalność i co z tego wynikło. Od początku prac w Projekcie miałem go za taki właśnie sprawdzian, bez względu na to, jakich korzyści spodziewano się po działaniu moim i moich towarzyszy.

Ten, kto śledzi moje wywody, dostrzegł może, że przenosząc problem „myślenia karuzelowego” z relacji między mną a moim tematem na sam ów temat (tj. na stosunek między badaczami a Głosem Pana), wymigałem się niejako z kłopotliwego położenia, ponieważ zarzut „nie ujawnionych źródeł inspiracji” poszerzyłem tak, aż się w nim zmieścił

cały Projekt. Ale takie właśnie postępowanie było moim zamiarem, zanim jeszcze wysłuchałem krytycznych uwag. Z przesadą niezbędną dla uwyrażnienia mojej myśli powiem, że w trakcie prac (trudno mi powiedzieć, kiedy dokładnie się to stało) zacząłem podejrzewać, iż „gwiazdowy list” stawał się dla nas, którzy usiłowaliśmy go rozłamać, rodzajem psychologicznego testu skojarzeń, szczególnie skomplikowanego testu Rorschacha. Tak bowiem jak badany, który myśląc, że dostrzega w barwnych plamach anioły lub ptaki złowróżbne, naprawdę dookreśla niewyraźność ukazanego tym, co mu „w duszy gra” - i my usiłowaliśmy za zasłoną niepojętych znaków ustalić obecność tego, co w nas samych przede wszystkim tkwiło.

Podejrzanie to utrudniło mi pracę, a i teraz zmusiło mnie do składania wyznań, jakich wolałbym sobie oszczędzić, uznałem jednak, że naukowiec obezradniony do tego stopnia nie może już uznać swej fachowości za rodzaj wyosobnionego gruczołu czy zuwaczki, nie wolno mu tedy zataić żadnego z najbardziej wstydlivych problemów własnych. Botanik, który klasyfikuje kwiatki, niewielkie ma pole do rzutowania w tak powstające schematy - swoich fantazmatów, urojeń i może aż niecnym namiętności. Badacza mitów starożytnych oczekuje już większe ryzyko, ponieważ - wobec ich nadmiaru - samym wyborem, który uczyni, zaświadczy może o tym raczej, co nurtuje jego sny i jego nienaukową jawę, niż o tym, co stanowi strukturalne niezmienniki samych mitów.

Ludzie Projektu zmuszeni byli uczynić następny karkołomny krok - podejmując ryzyko przedstawionego rodzaju w jego nie znanych dotąd rozmiarach. Nikt z nas nie wie zatem, w jakiej mierze byliśmy urządzeniami obiektywnej analizy, w jakim - uformowanymi przez współczesność, typowymi dla niej delegatami ludzkości, a w jakim nareszcie każdy sam siebie tylko przedstawiał i natchnieniem hipotez o treściach „listu” była mu - może majaczkliwa, może obolała psychika w jej nie kontrolowanych już regionach.

Obawy tego rodzaju, kiedy je wyrażałem, wielu spośród moich kolegów traktowało jako „zawracanie głowy”. Używali innych słów, ale ich sens był właśnie taki.

Doskonale ich rozumiałem. Projekt stanowił precedens, w którym, jak małe baby drewniane w wielkiej, siedziały inne precedensy, z tym najpierw, że nigdy dotąd fizycy, technologowie, chemicy, nukleonicy, biologowie, informacjoniści nie dostali w ręce takiego przedmiotu badań, który nie przedstawiał tylko pewnej zagadki materialnej, więc naturalnej, lecz został z rozmysłem przez Kogoś stworzony i przesłany, przy czym rozmyśl ów musiał brać pod uwagę potencjalnych adresatów. Ponieważ uczeni tacy uczą się prowadzić tak zwane „gry z Naturą”, która nie jest przeciwnikiem osobowym w żadnym dozwolonym rozumieniu, nie dopuszczają możliwości, że za badanym obiektem naprawdę stoi Ktoś i że rozeznąć się w

obiekcie będzie można o tyle, o ile dotrze się rozumowaniem do owego - doskonale anonimowego - sprawcy. Więc chociaż skądinąd wiedzieli i mówili nawet, iż Nadawca jest realny, cały ich życiowy trening, cała zdobyta zaprawa specjalistyczna działa na przekór owemu doświadczeniu.

Fizykowi w głowie nie postoi, że Ktoś wprowadził elektrony na orbity umyślnie po to, ażeby on sobie nad konfiguracjami orbit głowę musiał łamać. Wie dobrze, że hipoteza Sprawcy orbit jest w jego fizyce całkowicie zbędna, więcej, zgoła niedopuszczalna. Lecz w Projekcie taka niemożliwość okazała się realnością, fizyka stawała się nieprzydatna w swej dotychczasowej postawie, były z tym istne męczarnie. Tego, co powiedziałem, wystarczy pewno, by wyjaśnić, że wewnątrz Projektu zajmowałem stanowisko raczej odosobnione (w sensie teoretycznym, ogólnym, rozumie się, a nie hierarchiczno-administracyjnym).

Zarzucano mi, że jestem za mało „konstruktywny”, ponieważ stale miałem w pogotowiu swoje trzy grosze, które wtykałem w bieg cudzych rozumowań, aż zacinąły się i stawały, sam natomiast niezbyt wiele wniosłem pożytecznych koncepcji, „z którymi dałoby się coś zrobić”. Baloyne zresztą wyraża się o mnie w Raporcie Kongresowym jak najlepiej (mam nadzieję, że nie tylko przez przyjaźń, jaka nas łączy), co może wpływało po części z jego (także administracyjnego) stanowiska. Gdyż podczas kiedy w każdym partykularnym pionie badawczym poglądy, po okresach oscylacji, zbiegały się ku pewnemu uznanemu grupowo mniemaniu, ten, kto zasiadał (jak Baloyne) w Radzie Naukowej, widział dobrze, że mniemania poszczególnych grup są nieraz aż diametralnie rozbieżne. Samą zresztą strukturę koordynacyjną Projektu, z jej izolacją wzajemną poszczególnych pionów, uważałem za bardzo rozsądną, ponieważ uniemożliwiała powstanie zjawisk typu „epidemii błędu”. Taka informacyjna kwarantanna miała zresztą też swoje ujemne rezultaty. Lecz tymi słowami zaczynam już wchodzić w szczegóły - przedwcześnie. Pora tedy przejść do przedstawienia wypadków.

III

Kiedy Bladergroen, Nemesz i zespół Szygubowa odkryli inwersję neutrina, otwartł się nowy rozdział astronomii - w postaci astrofizyki neutrinowej. Stała się ona od razu nadzwyczaj modna i na całym świecie rozpoczęto badania kosmicznej emisji tych cząstek. Obserwatorium na Mount Palomar też zainstalowało sobie, i to jako jedno z pierwszych, aparaturę z wysokim stopniem automatyzacji i z rozdzielczością, jak na owe czasy - najwyższej próby. Do aparatury tej, a konkretnie do tak zwanego inwertora neutrinowego utworzył się istny ogonek chętnych badaczy i dyrektor obserwatorium, którym podówczas był profesor Ryan, miał sporo kłopotów z astrofizykami, zwłaszcza młodymi, ponieważ każdy z nich uważał, że programowi jego badań należy się pierwszeństwo.

Wśród szczęśliwców znalazła się dwójka takich młodych, Hailer i Mahoun, obaj bardzo ambitni i wcale zdolni (znałem ich, choć przelotnie tylko); rejestrowali oni maksima neutrinowej emisji pewnych wybranych połąci nieba, szukając śladów tak zwanego zjawiska Stoeglitz'a (był to niemiecki astronom starszego pokolenia).

Zjawisko, mające stanowić odpowiednik neutrinowy „czerwienienia” starych fotonów, wykryć się jakoś nie dawało, bo też, jak okazało się kilka lat później, teoria Stoeglitz'a była fałszywa. Lecz młodzi ludzie nie mogli o tym wiedzieć, toteż jak lwy walczyli o to, aby nie odebrano im przedwcześnie aparatury, i dzięki swej przedsiębiorczości wytrwali przy niej prawie dwa lata, aby odejść w końcu z pustymi rękami. Całe kilometry taśm rejestracyjnych poszły wówczas do obserwatoryjnego archiwum. Kilka miesięcy potem znaczna część owych taśm dostała się w ręce sprytnego, chociaż niezbyt uzdolnionego fizyka, a właściwie wypędka z mało znanej uczelni południowej, którego usunięto stamtąd w związku z czynami niemoralnymi, zaniechawszy procesu, bo w sprawę wplątanych było kilka szacownych osób. Niedoszły fizyk, nazwiskiem Swanson, otrzymał taśmy w nie wyjaśnionych okolicznościach. Później przesłuchiowano go w tej kwestii, lecz nie dowiedziano się niczego, ponieważ nieustannie zmieniał zeznania.

Ciekawy to był zresztą okaz. Pełnił funkcję dostawcy materiałów, ale także... bankiera, a nawet pocieszyciela duchowego niezliczonych maniaków, którzy dawniej budowali tylko perpetuum mobile i zajmowali się kwadraturą koła, obecnie zaś wynajdują różne rodzaje energii uzdrawiających, wymyślają teorie kosmogenezy i sposoby przemysłowego zastosowania zjawisk telepatycznych. Ludziom takim nie wystarczy papier i ołówek; do budowy „orgotronów”, wykrywaczy fluidów „supersensytywnych”, elektrycznych różdżek,

co szukają same wody, nafty i skarbów (zwykle wierzbowe różdżki są już anachronizmem, zupełną starością), niezbędne są liczne, nieraz trudno dostępne i kosztowne surowce. Swanson umiał je, za odpowiednią ilość dolarów, wydostać i spod ziemi. Biuro jego odwiedzali tedy patafizycy i orgonistycy, budowniczo wie teleoperatorów i pneumatyków umożliwiających stałą łączność z duchami, a obracając się tym sposobem w dolnym regionie państwa nauki, tam gdzie ono przechodzi niepostrzeżenie w państwo psychiatrów, przecież przyswoił sobie sumę wiadomości wcale przydatnych, bo zadziwiająco orientował się w tym, na co akurat największy był popyt wśród nadwichniętych tytanów ducha.

Nie gardził zresztą i zarobkiem bardziej przyziemnym dostarczając na przykład małym laboratoriom chemicznym odczynników niejasnego pochodzenia, i nie było w jego życiu okresu, w którym nie tkwiłby w procesach sądowych, choć do więzienia się nie dostał balansując na samym pograniczu legalności. Psychologia ludzi typu Swansona zawsze była moim feblikiem. O ile się zorientowałem, nie był ani „czystym” oszustem, ani cynikiem żerującym na cudzych aberracjach, choć dysponował chyba rozsądkiem wystarczającym, by wiedzieć, że lwia część jego klientów nigdy swych idei nie urzeczywistni. Niektórymi opiekował się, dostarczał im aparatów na kredyt, nawet gdy ów był już nadszarpnięty do niepewności. Widać miał taką do swych pupilów słabość, jak ja do osobników jego typu. Ambicją jego było dobrze obsłużyć klienta, toteż jeśli ktoś potrzebował koniecznie kości nosorożca, bo aparat zbudowany z innej miał zostać niemy na głos duchów, nie dostarczał wołowej ani baraniej: o tym mnie przynajmniej zapewniano.

Otrzymując - a może kupując - taśmy od niewiadomego człowieka, miał w tym Swanson swój interes. Orientował się w fizyce na tyle, aby wiedzieć, że to, co na nich utrwalono, stanowi tak zwany „czysty szum”, i wpadł na pomysł produkowania - za pomocą owych taśm - tak zwanych tablic losowych. Tablice takie, zwane też seriami liczb przypadkowych, potrzebne są w wielu dziedzinach badań; produkuje się je albo specjalnie programowanymi maszynami cyfrowymi, albo za pomocą wirujących tarcz, zaopatrzonych na obrzeżu w cyfry wyławiane nieregularnie błyskającą lampą punktową. Można je produkować też innymi sposobami, lecz ten, kto podejmie się takiej pracy, często ma z nią kłopoty, ponieważ uzyskiwane serie rzadko kiedy są „dostatecznie” losowe, wykazując przy odpowiednio dokładnym badaniu mniej lub bardziej jawne regularności występowania poszczególnych cyfr, gdyż - zwłaszcza w seriach długich - pewne cyfry „jakoś” skłonne są pojawiać się częściej od innych, co wystarczy, aby podobna tablica, uległa dyskwalifikacji. Wytworzyć bowiem działaniem rozmyślnym „kompletny chaos”, i to „w stanie czystym”, jest zadaniem nie zawsze łatwym. Zarazem stały jest popyt na owe tablice. Stąd też Swanson

liczył na niezły zysk, tym bardziej że jego szwagier pracował jako składacz linotypowy w pewnej drukarni uniwersyteckiej; w niej to drukowano owe tablice, które Swanson sprzedawał potem, wysyłając je pocztą, a więc bez pośrednictwa księgarzy.

Jeden z egzemplarzy owego wydawnictwa dostał się w ręce D. Ph. Sama Laserowitza, osoby również dosyć dwuznacznej. I on, podobnie jak Swanson, odznaczał się nieprzeciętną przedsiębiorczością, także nacechowaną odcieniem swoistego idealizmu, nie wszystko bowiem robił dla pieniędzy. Był członkiem, a nieraz założycielem wielu, zawsze ekscentrycznych stowarzyszeń w rodzaju Ligi Badania Talerzy Latających, i bywał w poważnych tarapatkach finansowych, gdyż budżety owych stowarzyszeń często wykazywały niepojęte uszczerbki, nadużyć jednak nigdy mu nie udowodniono. Być może był po prostu człowiekiem niedbałym.

Wbrew brzmieniu nazwiska nie ukończył studiów fizycznych i nie miał prawa nazywania się doktorem fizyki, ale, ilekroć próbowano go w tej kwestii przycisnąć do muru, wyjawiał, że skrót „D. Ph.” oznacza po prostu dwa imiona, jakimi podpisuje swe artykuły, a mianowicie - Douglasa i Philippa. I rzeczywiście jako „D. Ph. Sam Laserowitz” pisywał do wielu magazynów Science Fiction, był też znany w kręgach miłośników tego gatunku jako prelegent na licznych zjazdach i konferencjach, gdzie wypowiadał się na „kosmiczne” tematy. Specjalnością Laserowitza były sensacyjne odkrycia, które zdarzały mu się parę razy do roku. Między innymi założył też muzeum, w którym nagromadzono eksponaty rzekomo pozostawione przez pasażerów Talerzy Latających w różnych punktach Stanów: jednym z nich był ogolony, pomalowany na zielono i pływający w spirytusie płód małpi; widziałem jego fotografię. Nie doceniamy tego, jakie mnóstwo naciągaczy i pomyleńców zaludniło obszary stanowiące przejście pomiędzy nauką współczesną a szpitalami psychiatrycznymi.

Laserowitz był też współautorem książki o „konspiracji”, przy pomocy której rządy wielkich mocarstw rozmyślnie zatajają wszelkie informacje o lądowaniu Talerzy, a nawet o kontaktach wysokich osobistości politycznych z wysłannikami innych planet. Zbierając wszechmożliwe, mniej lub bardziej nonsensowne „ślady” działalności „Innych w Kosmosie”, trafił wreszcie na trop rejestracyjnych taśm z Mount Palomar i doszedł do aktualnego ich posiadacza, którym był Swanson. Ów nie chciał mu ich zrazu wypożyczyć, ale Laserowitz przedstawił mu poważny argument w postaci trzystu dolarów, ponieważ jedną z jego „fundacji kosmicznych” zasilił właśnie jakiś zamożny dziwak.

Niebawem ogłosił Laserowitz szereg artykułów pod krzyżującymi nagłówkami, donosząc, że na taśmach z Mount Palomar poszczególne obszary szumów porozdzielane są strefami milczenia, tak że jedno z drugim układa się w kropki i kreski alfabetu Morse’a. W

dalszych, coraz sensacyjniejszych oświadczeniach powoływał się już na Hailera i Mahouna jako autorytety astrofizyczne, mające poświadczyć autentyczność rewelacji. Gdy wiadomości te przedrukowało kilka pism prowincjonalnych, rozgniewany doktor Hailer wysłał do nich sprostowania, wyjawiając zwięźle, że Laserowitz jest zupełnym ignorantem (skąd „Inni” mieliby znać alfabet Morse’a?), jego towarzystwo łączności z Kosmosem - humbugiem, a tak zwane „strefy milczenia” na taśmach są to miejsca nie zapisane, powstające dlatego, że od czasu do czasu aparaturę rejestrującą się wyłącza. Laserowitz nie byłby sobą, gdyby zniósł pokornie takie rugie; nie dał się przekonać, lecz wciągnął Hailera na swoją „czarną listę” wrogów „kosmicznego kontaktu”, gdzie figurowało już niemało świątłych osób, które miały nieszczęście lekkomyślnego przeciwstawienia się dawniejszym jego osiągnięciom.

Tymczasem, niezależnie od owej historii, co zyskała w prasie niejaki rozgłos, przyszło do prawdziwie osobliwego zdarzenia, które zaczęło się od tego, że doktor Ralf Loomis, z wykształcenia statystyk, prowadzący własną agencję badania opinii publicznej (głównie dla rozmaitych mniejszych firm handlowych), zwrócił się do Swansona z reklamacją, wskazując na to, że niemal trzecia część kolejnej edycji Swansonowskich tablic losowych jest idealnie dokładnym powtórzeniem, serii wcześniejszej, mianowicie pierwszego wydania. Tym samym sugerował, że Swanson, któremu nie chciało się trudzić nad systematycznym przekodowaniem „szumu” w szeregi cyfr, uczynił to tylko raz jeden, a potem, zamiast dawać w następnych seriach dalsze, losowe sekwencje mechanicznie kopiował serię pierwszą, nieznacznie tylko tasując poszczególne stronicie. Swanson miał - przynajmniej w tej sprawie - czyste sumienie, więc pretensje Loomisa odrzucił i oburzony do żywego napisał mu parę ostrych słów. Z kolei poczuł się obrażony, a też i oszukany Loomis i oddał sprawę do sądu. Swanson został skazany na grzywną za obrazę osobistą, nadto zaś sąd przychylił się do wniosku prywatnego oskarżyciela, jakoby nowa seria tablic była oszukańczym powtórzeniem pierwszej. Swanson apelował, lecz w pięć tygodni potem apelację wycofał i zapłaciwszy nałożoną nań grzywnę znikł bez śladu.

Morning Star z Kansasu zamieściła kilkakrotnie sprawozdania z procesu Loomis kontra Swanson, ponieważ panował sezon ogórkowy i nie było lepszych materiałów. Jeden z artykułów przeczytał, jadąc do pracy, doktor Saul Rappaport z Institute for Advanced Study (jak mi powiedział, znalazł gazetę na siedzeniu w przedziale kolejowym - sam nigdy jej nie kupował).

Była to sobota i dziennik, aby wypełnić swoje poszerzone w tym dniu łamy, oprócz sprawozdania sądowego umieścił wypowiedź Laserowitza o „braciach w Rozumie” razem z gniewnym dementi doktora Hailera. Mógł więc Rappaport zapoznać się z całokształtem

dziwacznej, jakkolwiek na błahą wyglądającej afery. Gdy odłożył gazetę, przyszła mu do głowy myśl tak pomyłona, że aż komiczna: Laserowitz, uznając „miejsca cisy” na taśmach za sygnały, bez wątpienia bredził. A jednak było do pomyślenia, że równocześnie miał rację, widząc w taśmach rejestrat „komunikatu” - jeśli tym komunikatem był szum!

Myśl była obłądna - ale Rappaport nie mógł się jej pozbyć. Strumień informacji, na przykład mowy ludzkiej, nie zawsze wyjawia nam, że jest właśnie informacją, a nie chaosem dźwięków. Obcy język odbieramy często jako zupełny bełkot. Poszczególne słowa rozróżnia tylko ten, kto język rozumie. Dla nie rozumiejącego istnieje tylko jeden sposób umożliwiający owo doniosłe rozróżnienie. W wypadku gdy odbieramy autentyczny szum, poszczególne serie sygnałów nie powtarzają się nigdy w tej samej kolejności. W tym sensie „szumową serię” stanowi np. tysiąc liczb, które wychodzą na ruletce. Jest zupełnie niemożliwe, żeby w następnym tysiącu gier mogły się powtórzyć w tym samym uszeregowaniu - rezultaty serii poprzedniej. W tym właśnie istota „szumu”, że kolejność pojawiania się elementów - dźwięków lub innych sygnałów - jest nieprzewidywalna. Jeżeli jednak serie się powtarzają, dowodzi to, że „szumowość” zjawiska była pozorem, że w istocie mamy przed sobą nadajnik działający dla przekazania informacji.

Doktor Rappaport pomyślał sobie, że, być może, Swanson nie kłamał przed sądem i nie kopiował w kółko jednej taśmy, lecz użył kolejno taśm, które powstały w ciągu wielomiesięcznej rejestracji kosmicznego promieniowania. Jeżeli promieniowanie było sygnalizacją rozmyślną i jeśli w owym czasie jedna seria emisji „komunikatu” skończyła się, a potem podjęto nadawanie komunikatu od początku, w rezultacie powstałoby to, na co nastawał Swanson. Kolejne taśmy utrwaliłyby dokładnie takie same serie impulsów, które swoją *powtarzalnością*, zdradzały, że ich „szumowy wygląd” jest tylko pozorem!

Było to w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, lecz jednak możliwe. Kiedy zdarzały mu się iluminacje podobne do tej, Rappaport, na co dzień człowiek raczej wygodny, okazywał niezwykłą rzutkość i energię. Ponieważ gazeta zamieściła adres doktora Hailera, mógł się z nim łatwo skomunikować. Najbardziej zależało mu na tym, aby do ręki dostać taśmy. Napisał więc do Hailera, nie wyjawiając mu jednak swojej koncepcji - brzmiała zbyt fantastycznie - a tylko pytając go, czy mógłby mu użyczyć taśm pozostałych w archiwum Mount Palomar. Hailer, zrażony wmięszaniem swej osoby w aferę Laserowitza, odmówił. Bodaj wtedy dopiero Rappaport wziął się na dobre i napisał wprost do obserwatorium. Nazwisko jego było dostatecznie znane w kręgach naukowych i niebawem, zdobył dobry kilometr taśm, które przekazał swemu przyjacielowi, doktorowi Howitzerowi, aby je zbadał maszyną cyfrową na rozkład częstości elementów, czyli dokonał tak zwanej analizy

dystrybucyjnej.

Już w tej fazie problem był bardziej złożony, aniżeli go tutaj przedstawiam. Informacja w tym większym, stopniu przypomina czysty szum, im dokładniej nadajnik wykorzystuje pojemność kanału przesyłowego. Jeżeli jest wykorzystana całkowicie, czyli pozbawiona nadmiarowości, sygnał dla nie uprzedzonego niczym się nie różni od kompletnego chaosu. Jakem już powiedział, tylko wtedy da się taki szum zdemaskować jako informację, jeśli emisje tego samego komunikatu powtarzają się w kółko i można je ze sobą dla porównania zestawić. To właśnie było zamiarem Rappaporta i w tym. miały mu pomóc urządzenia ośrodka obliczeniowego, w którym pracował Howitzer. Jemu też nie powiedział od razu, o co chodzi, ponieważ zależało mu na utrzymaniu tajemnicy; poza tym, gdyby miało się okazać, że jego myśl jest niewypałem, nikt by się o tym nie dowiedział. Ów zabawny początek wcale niezabawnej potem historii opowiadał Rappaport wiele razy i zachował nawet, w postaci relikwii, egzemplarz dziennika, który naprowadził go na odkrywczą myśl.

Howitzer, przeciążony robotą, nie bardzo chciał podjąć się żmudnej analizy, nie wiedząc, czemu ona służy: toteż ostatecznie Rappaport zdecydował się wprowadzić go w tajemnicę. Tamten zrazu go wyśmiał, lecz, pod wpływem sugestywnych słów Rappaporta, w końcu uległ jego prośbom.

Gdy po kilku dniach Rappaport wrócił do Massachusetts, Howitzer przywitał go wieścią o negatywnym wyniku badań, który, w jego mniemaniu, obalił fantastyczną hipotezę. Rappaport - wiem to od niego - gotów był już rzucić sprawę, lecz podrażniony docinkami przyjaciela zaczął się z nim spierać. Przecież - powiedział mu - cała neutrinowa emisja jednego kwadrantu czaszy niebieskiej jest istnym oceanem rozciągniętym na olbrzymim widmie częstości i jeżeli nawet Hailer i Mahoun, raz przeczesaując to widmo, wychwycili zeń czystym trafem „kawałek” emisji sztucznej, pochodzącej od rozumnego nadawcy, to byłoby już prawdziwym cudem, gdyby dokonali tego - znów przypadkowo - po raz drugi.

Tak więc należało postarać się o taśmy, które miał w swym posiadaniu Swanson. Howitzer zgodził się z tą argumentacją, zauważył jednak, bo i on chciał mieć rację, że przy rozpatrywaniu alternatywy „wiadomość z gwiazd” albo „oszustwo Swansona” - jej drugi człon obciążony jest parę milionów razy większym prawdopodobieństwem niż pierwszy. Dodał jeszcze, że z uzyskania taśm niewiele Rappaportowi przyjdzie: otrzymawszy wezwanie sądowe i pragnąc stworzyć sobie podstawy skutecznej obrony, Swanson mógł po prostu skopiować posiadaną taśmę i przedstawić ową kopię jako rzekomo osobny oryginał - neutrinowej rejestracji.

Rappaport nie umiał na to odpowiedzieć, ale mając znajomego - specjalistę w zakresie

aparatur długoseryjnej rejestracji półautomatycznej - zatelefonował do niego i zapytał, czy taśmy, na których notowano pewne przebiegi naturalne, można odróżnić jakoś od taśm, na które podobne napisy zostały naniesione wtórnie (czyli jaka jest - jeśli w ogóle istnieje - różnica między oryginałem rejestracji a jego kopią). Okazało się, że rozróżnienie takie bywa możliwe; Rappaport zwrócił się wtedy do adwokata Swansona i po tygodniu dysponował już całym kompletem taśm. Wszystkie okazały się oryginałami, jak orzekł rzeczoznawca, tak więc - Swanson oszustwa się nie dopuścił: emisja naprawdę powtarzała się okresowo.

Takiego rezultatu badań nie zakomunikował Rappaport ani Howitzerowi, ani adwokatowi Swansona, lecz tego samego dnia, a raczej tejże nocy, poleciał do Waszyngtonu, wiedząc zaś dobrze, jak beznadziejne może być forsowanie przeszkód biurokracji, udał się prosto do Mortimera Rusha, doradcy prezydenckiego do spraw nauki, byłego kierownika NASA, którego znał osobiście. Rush, fizyk z wykształcenia, prawdziwie pierwszorzędna głowa, przyjął go mimo spóźnionej pory. Rappaport czekał w Waszyngtonie trzy tygodnie na jego odpowiedź. Tymczasem taśmy badali coraz to ważniejsi specjaliści.

Rush wezwał go wreszcie na konferencję, w której uczestniczyło ogółem dziewięć osób; byli między nimi luminarze nauki amerykańskiej - Donald Prothero, fizyk, Yvor Baloyne, językoznawca i filolog, Tihamer Dill, astrofizyk oraz John Bear, matematyk-informacjonista. Sposobem nieformalnym postanowiono na owej konferencji utworzyć specjalną komisję do zbadania „neutrinowego listu z gwiazd”, który otrzymał wtedy, za półzartobliwą sugestią Baloyne’a, nazwę kryptonimową MASTERS VOICE. Rush poprosił uczestników obrad o dyskrecję, czysto prowizoryczną, ponieważ obawiał się, że nadanie sprawie sensacyjnego charakteru przez prasę może tylko przeszkodzić w otrzymaniu niezbędnych funduszy, rzecz bowiem stałaby się od razu przedmiotem politycznej rozgrywki w Kongresie, gdzie pozycja Rusha, jako przedstawiciela silnie krytykowanej administracji, była zachwiana.

Zdawać się mogło, że sprawie został nadany bieg możliwie rozsądny, gdy całkiem nieoczekiwanie wmieszal się w nią niedoszły doktor fizyki, D. Ph. Sam Laserowitz. Z całej relacji o procesie Swansona wyczytał tyle tylko, iż rzeczoznawca sądowy ani słowem nie wspominał w swym orzeczeniu, jakoby „strefy milczenia” na taśmach były „pustymi miejscami” spowodowanymi periodycznym wyłączaniem aparatury. Pojechał zatem do Melville, gdzie toczył się proces, i siedział w hotelu, oblegając obrońcę Swansona, ponieważ pragnął dostać taśmy, które winny były, w jego rozumieniu, znaleźć się w muzeum „osobliwości kosmicznych”. Adwokat nie chciał mu ich jednak wydać jako osobie raczej niepoważnej; Laserowitz, który wszędzie wietrzył „antykosmiczne spiski”, wynająwszy

prywatnego detektywa śledził obrońcę i dzięki temu dowiedział się, że jakiś człowiek, obcy w mieście, który przyjechał rannym pociągiem, zamknął się z adwokatem w hotelu i otrzymał od niego taśmy, po czym wywiózł je do Massachusetts.

Człowiekiem tym był doktor Rappaport. Laserowitz posłał swego detektywa tropem niczego nie podejrzewającego Rappaporta, a gdy ten pojawił się w Waszyngtonie i kilkakrotnie złożył wizytę Rushowi, uznał, że nadszedł czas działania. Bardzo niemiłym zaskoczeniem dla Rusha i kandydatów na uczestników operacji Masters Voice był więc, artykuł w Morning Star, przedrukowany przez jedną z gazet waszyngtońskich; w którym, pod odpowiednim nagłówkiem, Laserowitz donosił, jak to administracja usiłuje nikczemnym sposobem schować pod korcem bezcenne odkrycie, dokładnie tak samo, jak kilkanaście lat przedtem pogrzebała oficjalnymi wypowiedziami departamentu lotnictwa tak zwane „UFO” - nie zidentyfikowane obiekty latające, czyli sławetne Talerze.

Teraz dopiero Rush uznał, że sprawa może nabrać niepożądanego aspektu na arenie międzynarodowej, gdyby komuś przyszło do głowy, że Stany Zjednoczone usiłowały ukryć przed wszystkimi fakt nawiązania łączności z cywilizacją kosmiczną. Nie przejął się co prawda zbyt artykułem, gdyż jego niepoważny ton dyskredytował zarówno autora, jak i samą informację, liczył więc, jako najbardziej doświadczony na terenie praktycznym publicity, na to, że jeśli zachowa się milczenie, wszczęty hałas sam rychło ucichnie.

Baloyne jednak postanowił pójść, całkiem prywatnie, do Laserowitza, ponieważ - wiem to od niego - było mu po prostu żal tego maniaka kosmicznych kontaktów. Sądził, że kiedy w cztery oczy zaproponuje mu jakieś podrzędniejsze stanowisko w Projekcie, wszystko naprawi. Krok okazał się jednak lekkomyślny, choć podyktowany najlepszymi intencjami. Baloyne, który nie znał Laserowitza, dał się nabrać na inicjały „D. Ph.” i myślał, że będzie miał do czynienia z jakimś może odrobinę trąconym, żadnym rozgłosu, zarobkującym niewybrednymi sposobami - ale przecież kolegą, naukowcem, fizykiem. Tymczasem znalazł się naprzeciw rozgorączkowanego człowieka, który, usłyszawszy, że „gwiazdowy list” jest autentyczny, oświadczył mu z histeryczną nonszalancją, że taśmy, a więc i „list”, stanowią jego własność prywatną, z której go obrabowano, a w dalszej rozmowie doprowadził Baloyne'a do wściekłości; widząc, że z nim na słowa nie wygra, Laserowitz wypadł na korytarz i tam zaczął wrzeszczeć, że przekaże sprawę ONZ-owi, Trybunałowi Praw Człowieka, po czym wszedł do windy i pozostawił Baloyne'a niewesołym refleksjom.

Widząc, co nabroił, Baloyne pojechał niezwłocznie do Rusha i wszystko mu opowiedział. Rush zaniepokoił się poważnie o losy Projektu. Jakkolwiek szanse, że gdziekolwiek zechcą poważnie wysłuchać Laserowitza, były nikłe, przecież taka

ewentualność nie dawała się wykluczyć, a gdyby afery przedostała się z prasy brukowej do metropolitarnej, na pewno nabrałaby charakteru politycznego.

Wtajemniczeni wyobrażali sobie doskonale, jaki podniesie się krzyk, że Stany Zjednoczone usiłowały obrabować ludzkość z tego, co winno stanowić jej własność wspólną. Baloyne sugerował wprawdzie, że można by zapobiec temu jakimś związłym, półoficjalnym przynajmniej komunikatem, lecz Rush ani po temu upoważnień nie miał, ani nie zamierzał się o nie starać, ponieważ - tłumaczył - rzecz wciąż jeszcze nie jest całkowicie pewna i żyrować przedsięwzięcia swoją całą powagą na forum międzynarodowym rząd, choćby chciał, nie może dopóty, dopóki wstępne prace nie udowodnią prawdziwości dotychczasowych domniemań. Że zaś szło o delikatną materię, Rush zwrócił się nolens volens do swego znajomego, Barretta, przywódcy demokratycznej mniejszości w Senacie, ten zaś z kolei, poradziwszy się swoich ludzi, chciał uruchomić Federalne Biuro Śledcze, ale stamtąd skierowano go do Centralnej Agencji Wywiadu, albowiem jakiś wybitny prawnik z FBI uznał, że Kosmos, jako leżący poza granicami Stanów, w kompetencje Biura Federalnego nie wchodzi, podlega natomiast CIA, bo ta właśnie poświęca się problemom zagranicznym.

Nieszczęśliwe konsekwencje tego kroku przejawiały się nie od razu, ale w ten sposób został zainicjowany proces już nieodwracalny. Rush, jako osobistość z pogranicza nauki i polityki, zapewne orientował się w niepożądanych skutkach oddania Projektu pod taką opiekę, toteż powstrzymał jeszcze swojego senatora na dwadzieścia cztery godziny, wysłał dwu zaufanych do Laserowitza, by przemówili mu do rozsądku. Laserowitz nie tylko okazał się głuchy na perswazję, ile urządził przybyłym taką awanturę, że doszło do bitki, w której interweniowała wezwana przez zarząd hotelu policja.

W następnych dniach prasę nawodniły zgola fantastyczne, a właściwie bzdurne wieści o rozmaitych „dwójkach” i „trójkach” milczenia przesłanych Ziemi przez Kosmos, o zjawiskach świetlnych, lądowaniu małych zielonych człowieczków, którzy nosili „neutrinową odzież”, i tym podobne brednie, w których często gęsto powoływano się na Laserowitza tytułowanego już profesorem. Rychło jednak, bo nim miesiąc minął, „znakomity uczonek” okazał się paranoikiem i został zamknięty w lecznicy dla umysłowo chorych. Na tym, niestety, historia jego się nie zamknęła. Aż do prasy centralnej, do wielkich gazet dotarły echa fantasmagorycznego zmagania Laserowitza (który dwa, razy uciekał ze szpitala, przy czym drugi raz uczynił to sposobem radykalnym, opuścił go bowiem przez okno z ósmego piętra) o prawdę jego odkrycia, tak - według opublikowanych potem wersji - obłąkańczego, a przecież bliskiego prawdy. Wyznaję, że ciarki przechodzą mi po skórze, ilekroć wspominam ten fragment prehistorii naszego Projektu.

Jak łatwo można się domyślić, zapelnianie szpalt prasy masą wieści coraz to nonsensowniejszych było niczym innym, jak manewrem odwrócenia uwagi, zaplanowanym przez sprawnych fachowców z CIA. Zaprzeczyć bowiem sprawie, zdementować ją, a jeszcze na łamach poważnych pism, oznaczałoby właśnie skupić na niej uwagę i zainteresowanie sposobem najbardziej niepożądanym z możliwych. Lecz wyjawić, że szło o bzdury, utopić żdźbło prawdy w lawinie kretyńsko brzmiących zmyśleń - przypisanych „profesorowi” Laserowitzowi - było pociągnięciem nader zręcznym, zwłaszcza kiedy akcję tę zwieńczyć mogło zamieszczenie lakonicznej notatki o samobójstwie szaleńca, która wymową swoją uciniała ostatecznie łeb wszelkim plotkom.

Los owego fanatyka był prawdziwie koszmarny i nie od razu pogodziłem się z tym, że zarówno jego obłąd, jak i ów ostatni krok z okna w ośmiopiętrową pustkę były autentyczne, lecz przekonali mnie do takiej wersji zdarzeń ludzie, którym muszę ufać. A jednak *signum temporis* wytłoczone zostało już w nagłówku naszego ogromnego przedsięwzięcia, znak czasów, jak żadne może mieszających obrzydliwość ze wzniosłością; zygzak losowych zdarzeń, zanim rzucił w nasze ręce ową wielką szansę, zmiażdżył, jak pestkę, człowieka, który, choć w zaślepieniu, podszedł przecież jako pierwszy do progu odkrycia.

Jeśli się nie mylę, wysłannicy Rusha uznali go za pomyłonego już wtedy, gdy odmówił przyjęcia większej sumy w zamian za poniechanie swych roszczeń. Ale w takim razie ja i on byliśmy tej samej wiary, z tą jedynie różnicą, że praktykowaliśmy ją w różnych zakonach. Gdyby nie owa wielka fala, w jaką się dostał, Laserowitz mógł być zapewne prosperować, oddany bez zakłóceń sprawie Talerzy Latających i całej reszty jako niskoprocentowy maniak, bo przecież nie brak takich ludzi, lecz świadomość odebrania mu tego, co miał za swoją najświętszą własność, odkrycia przecinającego historię ludzkości na dwie części, rozerwała jak wybuch jego odporność i pchnęła go do zguby. Nie sądzę, by jego pamięci należała się uwaga tylko szydercza. Każda wielka sprawa ma swoje okoliczności także śmieszne lub żałośnie trywialne, z czego wcale nie wynika, by do niej integralnie nie należały. Zresztą śmieszność jest pojęciem względnym. Ze mnie też się śmiano, ilekroć mówiłem o Laserowitzu w sposób podobny do powyższego. Z aktorów prologu najlepiej jeszcze wyszedł chyba Swanson, ponieważ zadowolił się pieniędzmi, grzywnę zapłacono za niego (nie wiem, kto to zrobił - CIA czy administracja Projektu), i sutym odszkodowaniem za moralną udrękę, jaką ścierpiał, niewinnie oskarżony o oszustwo, odwiedziono go od chęci złożenia apelacji. Wszystko po to, by Projekt mógł w spokoju rozpocząć swe prace w przeznaczonym mu już definitywnym odosobnieniu.

IV

Zarówno opisane wypadki, które na ogół - chociaż nie wszędzie - przylegają do wersji oficjalnej, jak i cały pierwszy rok Projektu toczyły się bez mojego udziału. O tym, czemu zwrócono się do mnie dopiero wówczas, kiedy w Radzie Naukowej zapanowało przekonanie o konieczności zdobycia uczonych posiłków, opowiadano mi tyle razy tak wiele rozmaitych rzeczy, takie ważne wytaczano argumenty, że nic z tego nie odpowiadało chyba prawdzie. Nie miałem zresztą tego pominięcia za złe kolegom, z Yvorem Baloyne na czele. Jakkolwiek nie zdawali sobie z tego dosyć długo sprawy, ich organizacyjna robota nie była całkowicie swobodna. Oczywiście nie doszło, wtedy do ingerencji jawnych, do wyraźnych nacisków. W końcu całą rzecz reżyserowali specjaliści. W pominięciu mnie domyślam się ręki sięgającej z wysokiego regionu. Projekt został bowiem uznany niemal od razu za HSR, High Security Risk, czyli za operację, której tajność stanowi istotny warunek państwowej polityki jako racji stanu. Sami kierownicy naukowcy Projektu, należy podkreślić, dowiadywali się o tym stopniowo, i to zazwyczaj w pojedynkę, na odpowiednich naradach, podczas których dyskretnie apelowano do ich politycznego rozumu i patriotycznych uczuć.

Jak to tam naprawdę było, jakie środki perswazji, komplementy, obietnice i wywody puszczano w ruch, nie wiem, ponieważ tę stronę rzeczy pomijają oficjalne dokumenty milczeniem aż doskonałym, a także ludzie z Rady Naukowej nie kwapili się i później, już jako moi towarzysze pracy, z wyznaniem poświęconymi owej na poły przygotowawczej fazie badań Masters Voice. Jeśli ten czy ów okazywał się nieco oporny, i jeśli odwołania do patriotyzmu i racji stanu nie wystarczały, dochodziło do rozmów „na najwyższym szczeblu”. Przy tym, co było może najważniejsze pod względem psychologicznej adaptacji, hermetyzacja Projektu, jego odcięcie od świata określane były jako, najczystsze prowizorium, jako stan chwilowy czy też przejściowy, który ma ulec odmianie. Było to trafne psychologicznie, powiadam, bo mimo wszystkich zastrzeżeń, jakie żywił ten czy ów z uczonych do przedstawicieli administracji, uwaga, jaką poświęcał raz sekretarz stanu, a raz i sam prezydent Projektowi, słowa życzliwej otuchy, nadziei lokowanej w „takich umysłach” - wszystko to stwarzało sytuację, w której stawianie wyraźnych pytań o termin, o datę zlikwidowania tajności prac zabrzmiałoby dysonansowo, niegrzecznie albo wręcz ordynarnie.

Mogę też sobie wyobrazić, chociaż nikt ani pisał przede mną na ów temat delikatny, jak to zacny Baloyne nauczał zasad dyplomacji, jako współzycia z politykami, mniej doświadczonych kolegów i jak z właściwym sobie taktem odwlekał chwilę zaproszenia mnie i

zakwalifikowania jako członka Rady, wyjaśniając co niecierpliwszym, że pierwszej musi sobie Projekt zaskarżyć więcej zaufania możliwych opiekunów i wtedy dopiero da się tak z nim postępować, jak to za właściwsze uznają w swoim sumieniu wszyscy uczeni sternicy MAVO. Zresztą nie mówię tego z ironią, ponieważ umiem postawić, się myślą na miejscu Baloyne'a nie chciał doprowadzić do zadrażnień po obu stronach, a dobrze wiedział, że w owych wysokich kręgach mam opinie osoby niepewnej. Nie brałem tedy udziału w uruchamianiu przedsięwzięcia, co zresztą - jak mi sto razy powtórzono - było tylko moją wygraną, albowiem warunki życia w osobliwym i „martwym mieście”, położonym o sto mil na wschód od gór Monte Rosa, przedstawiały się zrazu po pioniersku.

Zdecydowałem się przedstawić wydarzenia w porządku chronologicznym, dlatego opowiem najpierw, co się działo ze mną tuż przed pojawieniem się w New Hampshire - gdzie wówczas wykładałem - wysłannika Projektu. Uważam to za wskazane, wszedłem bowiem w jego tok, kiedy wiele generalnych koncepcji zdążyło się już uformować, ja natomiast byłem zupełnie „świeży” i musiałem się wstępnie z nimi zaznajamiać, zanim przyprzągnięto mnie, jako nowego konia pociągowego, do owej wielkiej, bo dwa i pół tysiąca ludzi liczącej maszyny.

W New Hampshire przebywałem niedługo, zaproszony tam przez dziekana fakultetu matematycznego, a mego dawnego kolegę uniwersyteckiego, Stewarta Comptona, żeby prowadzić seminarium wakacyjne dla grupy doktorantów. Zgodziłem się na tę propozycję, ponieważ, mając ledwie dziewięć godzin zajęć tygodniowo, mogłem całymi dniami buszować w tamtejszych lasach i wrzosowiskach, a chociaż należał mi się właściwie pełny odpoczynek, bo ledwo w czerwcu zakończyłem półtoraroczną współpracę z profesorem Hayakawą, wiedziałem dobrze, znając siebie, że nie zaznam na wakacjach spokoju bez przelotnego choćby kontaktu z matematyką. Gdyż wypoczynek budzi we mnie, jako pierwszą reakcję, wyrzuty sumienia za marnowanie czasu. Zawsze zresztą lubiłem poznawać nowych adeptów mojej wyszukanej dyscypliny, o której panuje więcej fałszywych wyobrażeń niż o jakiegokolwiek innej.

Nie mogę powiedzieć o sobie, że jestem „sterylnym”, to jest „czystym” matematykiem, bo zbyt często korciły mnie cudze problemy. Dlatego właśnie ongiś pracowałem z młodym Thornopem (jego dorobku w antropologii nie doceniono, ponieważ zmarł młodo: także w nauce niezbędna jest obecność biologiczna, bo wbrew pozorom odkrycia nie są dość wymowne, by legitymowały się własną wartością), a potem z Donaldem Prothero (którego ku wielkiemu zdziwieniu odkryłem w Projekcie), jak również z Jamesem Phennysonem (późniejszym laureatem Nobla), a wreszcie z Hayakawą. Z tym ostatnim

budowaliśmy matematyczny kręgosłup jego teorii kosmogenicznej, która tak niespodziewanie wtargnęła później - dzięki jednemu z jego zbuntowanych uczniów - w sam środek Projektu.

Niektórzy koledzy mieli mi za złe owe wypadki partyzanckie w tereny przyrodoznawczych łowisk. Ale korzyść bywała zazwyczaj obopólna - nie tylko empirycy doznawali mojej pomocy, także ja, poznając ich problemy, zaczynałem się orientować w tym, które kierunki rozwoju naszego platońskiego państwa leżą na szlakach głównego uderzenia strategicznego w przyszłość.

Często można się spotkać ze zdaniem, że w matematyce wystarczą „gołe zdolności”, ponieważ ich braku niepodobna ani trochę maskować, podczas gdy w innych dyscyplinach koneksje, mody, protekcje, wreszcie brak owej bezapelacyjności dowodów, jaką się ma odznaczać matematyka, sprawiają, że kariera stanowi wypadkową uzdolnień i czynników pozanaukowych. Próżno tłumaczyłem takim zawistnikom, że, niestety, w rajach matematycznym tak dobrze się nie dzieje. Najpiękniejsze obszary matematyki - jak choćby klasyczna teoria mnogości Cantora - były latami ignorowane dla bardzo niematematycznych powodów.

Ponieważ każdy człowiek musi komuś zazdrościć, żałowałem, że jestem źle z informacjonistyką, w tej bowiem sferze, a także w królestwie algorytmów rządzonych absolutnie przez funkcje ogólnorekurencyjne można się było spodziewać fenomenalnych odkryć. Logikę klasyczną, wraz z algebrą Boola, które były akuszerkami teorii informacji, obciążała od samego początku nieelastyczność kombinatoryczna. Toteż narzędzia matematyczne, z owych regionów pożyczone, zawsze szwankowały - są one, w moim odczuciu, nieporęczne, brzydkie, niezgrabne i chociaż przynoszą rezultaty, czynią to w sposób całkowicie nielotny. Pomyślałem, że najlepiej będę mógł porozmyślać na takie tematy, jeśli przyjmę propozycję Comptona. Albowiem o perspektywach w tej właśnie strefie matematycznego frontu miałem mówić w New Hampshire. Może brzmi dziwnie to, że ja się uczyć chciałem wykładając, ale tak ze mną bywało już nieraz; najlepiej myśli mi się zawsze w spięciu powstającym między mną a porządnie aktywnym audytorium. Ponadto czytać słabo znane prace można, ale do wykładów trzeba się przygotować koniecznie, co też robiłem, nie wiem więc, kto bardziej z nich skorzystał: ja czy moi słuchacze.

Pogoda była tego lata piękna, ale nazbyt upalna, nawet na wrzosowiskach, które fatalnie wyschły. Mam sporo sentymentu dla trawy, ponieważ dzięki niej istniejemy; dopiero po owej roślinnej rewolucji, która zazieleniła kontynenty, życie mogło się na nich usadowić swymi zwierzęcymi odmianami. Zresztą nie twierdzę, jakoby ów sentyment sprowadzał się tylko do ewolucyjnej refleksji.

Sierpień był w pełni, kiedy jednego dnia pojawił się zwiastun odmiany - w osobie doktora Michaela Grotiusa, który przywiózł mi list od Yvora Baloyne'a wraz z tajnym posłaniem ustnym.

Tam, na drugim piętrze starego, pseudogotyckiego budynku z ciemnej cegły, o spiczastym dachu, oplecionego już z lekka czerwieniejącym winem, w moim nieco za mało przewiewnym pokoju (stare mury nie miały klimatyzacji), dowiedziałem się od niedużego, cichego, delikatnego jak porcelana chińska młodzieńca, z półksiężycową czarną bródką, o tym, że na ziemię spłynęła nowina - nie wiadomo było jeszcze, czy dobra, ponieważ mimo dwunastomiesięcznych z górą wysiłków nie udało się jej rozszyfrować.

Jakkolwiek ani mi tego Grotius nie powiedział, ani w liście przyjaciela nie znalazłem o tym wzmianki, pojąłem, że chodzi o badania pod bardzo wysokim protektoratem albo - gdy kto woli - nadzorem. Jakże, bowiem inaczej prace takiej wagi mogły nie dać przecieków w prasę czy w radiowe i telewizyjne kanały? Jasne było, że uszczelnianiem ich zajmują się pierwszorzędni fachowcy.

Grotius okazał się mimo młodego wieku wytrawnym graczem. Ponieważ nie było pewne, czy wyrażę zgodę na udział w Projekcie, nie mógł powiedzieć mi o nim niczego konkretnego. Należało, apelując do mnie, pochlebić mojej miłości własnej przez podkreślenie, że dwa i pół tysiąca ludzi wybrało - z całej czteromiliardowej reszty - mnie właśnie jako potencjalnego zbawcę, ale i tu Grotius znał miarę, nie uciekł się bowiem do grubo szytych komplementów.

Większość ludzi sądzi, że nie ma takiego pochlebstwa, którego obdarowany nie połknąłby ze smakiem. Jeśli to reguła, stanowiąc z niej wyjątek, pochwał nigdy sobie bowiem nie ceniłem. Chwalić można - aby tak rzec - tylko z góry na dół, lecz nie z dołu do góry, a wiem dobrze sam, ile jestem wart. Grotius został albo uprzedzony przez Baloyne'a, albo miał po prostu dobrego nosa. Mówił dużo, odpowiadał na moje pytania jak gdyby wyczerpująco, lecz u końca rozmowy wszystko, czego się dowiedziałem, można było spisać na dwu stroniczkach.

Głównym szkopułem była tajność prac. Baloyne pojmował, że to będzie punkt najdelikatniejszy, toteż napisał mi w liście o swoim osobistym spotkaniu z prezydentem, który zapewnił go, że wszelkie wyniki prac Projektu zostaną opublikowane, z wyjątkiem informacji zdolnej zaszkodzić państwowym interesom Stanów. Wyglądało na to, że w mniemaniu Pentagonu, a przynajmniej tej jego komórki, która wzięła Projekt pod swoje skrzydła, posłanie z gwiazd przedstawia rodzaj planów superbomby czy innej broni ultymatywnej - koncepcja na pierwszy rzut oka raczej dziwaczna i więcej mówiąca o ogólnej atmosferze

politycznej aniżeli o cywilizacjach galaktycznych.

Odprawiwszy Grotiusa na trzy godziny, poszedłem nie spiesząc się na wrzosowiska i tam, w silnym słońcu, położyłem się na trawie, aby się zastanowić. Ani Grotius, ani Baloyne w liście nie zająknęli się o konieczności złożenia przeze mnie obietnicy, a może aż przysięgi dochowania sekretu, lecz taka „inicjacja” w Projekcie rozumiała się sama przez się.

Była to jedna z typowych sytuacji uczonego naszych czasów - w specyficznym powiększeniu, istny eksponat. Najłatwiej jest, dla zachowania czystych rąk, metodą strusiopłatową nie mieszać się do niczego, co - choćby w odległych konsekwencjach - zahacza o potęgowanie środków zagłady. Lecz to, czego nie chcemy robić, zawsze zrobią za nas inni. Powiada się, że nie jest to moralnym argumentem - zgoda. Można odpowiedzieć przypuszczeniem, że ten, kto godzi się na udział w takiej pracy będąc pełnym skrupułów, zdoła je w krytycznej chwili uruchomić, a jeśli nawet mu się nie uda, to i szanse podobnej nie będzie, gdy zastąpi go człowiek pozbawiony skrupułów.

Co do mnie, nie myślę się tak bronić. Powodowały mną inne racje. Jeśli wiem, że dzieje się coś niezwykle ważnego, a zarazem groźnego potencjalnie, zawsze wolę być w owym miejscu, aniżeli oczekiwać rozwoju wypadków z czystym sumieniem i pustymi rękami. Ponadto nie mogłem uwierzyć w to, aby cywilizacja stojąca nieporównanie wyżej od nas wysyłała w Kosmos informację dającą się przerobić na broń. Jeśli ludzie Projektu myśleli odmiennie, wcale mnie to nie poruszało. A wreszcie szansa, jaka nagle otwarła się przede mną, była nieporównywalna z niczym, co mogło mnie jeszcze oczekiwać w życiu.

Następnego dnia poleciliśmy z Grotiusem do Nevady, gdzie stał już wojskowy helikopter. Dostałem się w tryby sprawnej i niezawodnej maszynierii. Ten drugi lot trwał około dwóch godzin, prawie cały czas nad południową pustynią. Grotius dokładał starań, abym nie poczuł się jak nowo zwerbowany członek szajki gangsterskiej i w tym celu nie narzucał mi się, a także nie próbował jakiegoś gorączkowego wtajemniczenia w czarne sekrety, które czekały u celu.

Z wysokości osiedle przedstawiało się jako nieregularna gwiazda zatopiona w piaskach pustyni. Żółte buldożery łążyły po okolu wydmy jak żuki. Wylądowaliśmy na płaskim dachu najwyższego budynku osiedla, które nie sprawiało miłego wrażenia swą architekturą. Był to kompleks masywnych kłoców betonowych, wybudowany jeszcze w latach pięćdziesiątych jako centrum techniczne i mieszkalne nowego poligonu atomowego, ponieważ stare poligony stawały się nie do użycia w miarę wzrostu mocy ładunków. Nawet w odległym od nich Las Vegas szyby wylatywały po każdej większej eksplozji. Nowy poligon miał się znajdować w sercu pustyni, około 30 mil od osiedla, które zabezpieczono przed

możliwym podmuchem i opadem radioaktywnym.

Całą strefę zabudowaną okalał system skierowanych ku pustyni skośnych tarcz, których zadaniem było łamać falę uderzeniową, wszystkie budowle były bezokienne, o podwójnych murach, z wewnętrzną przestrzenią wypełnioną bodajże wodą. Komunikację sprowadzono do podziemia, budynki zaś mieszkalne i o przeznaczeniach technicznych zaprojektowano obłe i tak rozstawiono, aby nie mogło dochodzić do niebezpiecznej kumulacji sił udarowych wskutek wielokrotnych odbić i załamania fali podmuchowej.

Lecz była to prehistoria owej osady, ponieważ przed zakończeniem budowy zawarte zostało nuklearne moratorium. Stalowe drzwi budynków dokręcono wtedy na głucho, wyloty wentylacyjne zagwoźdzono, maszyny i urządzenia warsztatowe zapakowano do pojemników wypełnionych smarem i spuszczone do podziemi (pod poziomem ulic znajdował się drugi: składów i magazynów oraz trzeci poziom - kolejki pospiesznej). Miejsce to gwarantowało doskonałą izolację prac i dlatego ktoś w Pentagonie przeznaczył je Projektowi, może i dlatego również, że dawało się uratować tych kilkaset milionów dolarów, które poszły w beton i stal.

Pustynia nie dobrała się do wnętrza osiedla, lecz zalała je piaskiem, tak że na początku było mnóstwo roboty z oczyszczaniem, a jak się okazało, instalacja wodna nie działała, ponieważ zmienił się poziom wód gruntowych i trzeba było bić nowe studnie artezyjskie. Zanim trysnęła woda, przywożono ją helikopterami. O wszystkim tym dokładnie mi opowiadano, abym pojął, jak znacznie skorzystałem na tak późnym zaproszeniu.

Baloyne oczekiwał mnie na owym dachu, który stanowił główne lądowisko śmigłowców. Sam budynek mieścił administrację Projektu. Ostatni raz widzieliśmy się przed dwoma laty w Waszyngtonie. Jest to osoba, z której cielesnie wykroiliby się dwie, a duchowo - bodaj i cztery. Baloyne jest, i chyba pozostanie, większy od swych osiągnięć, ponieważ bardzo rzadko się zdarza, aby w tak obdarowanym człowieku wszystkie konie psychiczne ciągnęły równo w tę samą stronę. Podobny nieco do świętego Tomasza, który, jak wiadomo, nie w każdym mieścił się drzwiach, a trochę do młodego Assurbanipala (lecz bez brody), zawsze chciał robić więcej, niż mógł. Jakkolwiek czysta to supozycja, podejrzewam, że - wedle onej zasady i w bodaj rozleglejszym zakresie - na samym sobie dokonał w ciągu lat takich operacji psychokosmetycznych, o jakich - w odniesieniu do mojej osoby - mówiłem w Przedmowie. Bolejąc potajemnie (ale to moja hipoteza, powtarzam) nad własnym wyglądem duchowym i fizycznym - ponieważ był niepewnym siebie i nieśmiałym grubasem - przybrał sposób bycia, który można by nazwać ironią obrotową. Wszystko absolutnie mówił w cudzysłowie, z wyakcentowaną sztucznością i przesadą, spotęgowaną także samym wysłowieniem się, jak gdyby grał kolejno lub naraz wymyślane ad hoc role, każdego więc,

kto nie znał go długo i dobrze, szokował tym, że nigdy nie było wiadomo, co ma za prawdę, a co za fałsz, kiedy przemawia serio, a kiedy bawi się tylko rozmówcą.

Ów ironiczny cudzysłów stał się wreszcie jego naturą; mógł w nim wygłaszać horrendy, których nikomu innemu by nie wybaczone. Mógł nawet z siebie samego szydzić bez granic, gdyż ów chwyt, w zasadzie bardzo prosty, przez konsekwentne stosowanie obdarzył go niepochwytnością wręcz znakomitą.

Z żartu, z autoironii zbudował wokół swojej osoby takie systemy fortyfikacji niewidzialnych, że właściwie i ci, co - jak ja - znali go od lat, nie umieli przewidywać jego reakcji: przypuszczam, że dbał o to specjalnie i że wszystko, co niekiedy wprost na błazeństwo zakrawało, czynił z tajonym rozmysłem, który tylko wydawał się całkowitą improwizacją.

Przyjaźń nasza wzięła się stąd, że Baloyne najpierw lekcewał mnie, a potem mi zazdrościł. Jedno i drugie raczej mnie bawiło. Zrazu sądził, że jako filolog i humanista nie będzie potrzebował w życiu matematyki, a że był uduchowiony, przekładał wiedzę o człowieku nad wiedzę o naturze. Lecz potem wdał się w językoznawstwo jak w niebezpieczną aferę miłosną, więc począł zmagać się z panującymi aktualnie modami strukturalizmu i zasmakował, jakkolwiek opornie, w matematyce. Dostał się więc z niechęcią na mój teren i rozumiejąc, że jest tam ode mnie słabszy, umiał się do tego przyznać w taki sposób, że właściwie to ja, razem z moją matematyką, byłem ośmieszany. Czy powiedziałam już, że Baloyne przedstawiał postać renesansową? Lubilem jego irytujący dom, w którym zawsze tyłu było ludzi, że w cztery oczy porozmawiać z gospodarzem, dawało się nie wcześniej niż około północy.

To, co powiedziałem dotychczas, odnosi się do fortyfikacji, jakimi Baloyne otoczył swoją osobowość, lecz nie do niej samej. Trzeba specjalnej hipotezy, by domyślić się tego, co trwa intra muros. Przypuszczam, że lęk. Nie wiem, czego się obawiał - może siebie. Musiał mieć bardzo wiele do ukrywania - skoro takim wypracowanym otoczył się hałasem, tyle miał wciąż koncepcji, projektów i w tak zbędne wdawał się sprawy jako członek niezliczonych stowarzyszeń, konwersatoriów, zawodowy niejako odpowiedzialny na ankiety uczone i rozpisywane wśród uczonych, umyślnie obciążał się ponad miarę, ponieważ dzięki temu nie musiał z samym sobą przestawać: nigdy nie starczyło mu na to czasu. Załatwiał tedy problemy innych, a tak doskonale orientował się w ludziach, że łatwo stąd było o wniosek, jakoby doskonale orientował się też w sobie. Chyba fałszywy.

W ciągu lat zadał sobie tyle różnych przymusów, aż zeskorupiał w ową zewnętrzną, powszechnie widomą jego naturę - uniwersalnego aktywisty rozumu. Był więc Syzyfem z

wyboru; ogrom jego wysiłków kamuflował wszelką ich niewydarzoność, jeśli bowiem sam układał reguły i prawa działań, nikt nie mógł do końca i na pewno wiedzieć, czy urzeczywistnia wszystko, co sobie postanowił, czy się czasem nie potyka. Tym bardziej że chętnie klęskami swoimi się chełpił, podkreślał małość własnego intelektu, ale w cudzysłowie ostentacji. Odznaczał się specyficzną przenikliwością bogato obdarowanych, którzy potrafią ująć każdy, nawet obcy sobie problem od razu od właściwej strony - jakby odruchowo. Był tak pyszny, że stale przymuszał się - jak gdyby w zabawie - do pokory, i tak niespokojny, że nieustannie od nowa musiał się wykazywać, potwierdzać swoją wartość, jednocześnie jej zaprzeczając. Jego gabinet pracy był jakby projekcją jego ducha; wszystko tam było gargantuiczne: komody, biurko, w dzbanie koktajlowym można było cielę utopić; od wielkich okien ku ścianom rozpościerało się jedno biblioteczne pobojuwisko. Widać potrzebował tego napierającego zewsząd chaosu nawet korespondencyjnego.

Mówię tak o moim przyjacielu i tak mu się narażam, bo nie inaczej mówiłem poprzednio o sobie: nie wiem, co w ludziach Projektu zadecydowało o jego ostatecznym losie. Niejako na wszelki wypadek i z myślą o przyszłości dalszej przedstawiam więc także i takie części, których sam nie potrafię złożyć w żadną całość - może uda się to kiedyś komu innemu.

Jako zakochany w historii i zapatrzony w nią, Baloyne wjeżdżał w czasy nadchodzące niejako tyłem; nowożytność miał za niszczytelkę wartości, a technologie za instrumenty szatana. Jeśli przesadzam, to nieznacznie tylko. Był przekonany o tym, że kulminacja ludzkości nastąpiła już dość dawno temu, może w renesansie, i rozpoczął się długi, potęgujący szybkość zjazd w dół. Jakkolwiek był renesansowym homo animatus i homo sciens, lubował się w kontaktach z ludźmi, których zaliczam do najmniej interesujących, chociaż najgroźniejszych dla naszego rodzaju, mianowicie z politykami. O karierze politycznej nie marzył, a jeśli tak, ukrył to nawet przede mną. Ale wszelkich kandydatów na stanowiska gubernatorskie, ich małżonki, aspirantów do krzesła kongresowego lub już „gotowych” kongresmenów, razem z siwowłosymi, i sklerotycznymi senatorami, oraz owych mieszaińców, co są tylko pół- lub ćwierćpolitykierami i zajmują stanowiska osłonięte mgłą (ale mgłą w najlepszym gatunku), można było u niego zastać niezwykle często.

Moje wysiłki, aby podtrzymywać, jak głowę nieboszczyka, rozmowę z takimi ludźmi, a czyniłem to przez wzgląd na Baloyne'a, waliły się po pięciu minutach, podczas gdy on umiał mleć z nimi plewy godzinami - Bóg raczy wiedzieć, po co! Nigdy go jakoś wręcz o to nie spytałem, a teraz okazało się, że owe kontakty dały owoce, bo podczas lustrwania kandydatów na stanowisko naukowego kierownika Projektu wyjaśniło się, iż wszyscy, ale to

wszyscy doradcy, rzeczoznawcy, członkowie, wraz z przewodniczącymi i czterogwiazdkowymi generałami, jednego tylko Baloyne'a chcieli i jemu tylko ufali. On zresztą, jak wiem, wcale się do objęcia tego stanowiska nie palił. Był dostatecznie rozumny, aby pojąć, że prędzej czy później konflikt, i to diabelnie przykry, między tymi dwoma środowiskami, które miał funkcją swą połączyć, jest nie do uniknięcia,

Wystarczyło przypomnieć sobie a propos historię projektu Manhattan oraz losy ludzi, którzy nim kierowali na stanowiskach uczonych, a nie generałów. Podczas kiedy drudzy po prostu awansowali i mogli spokojnie wziąć się do pamiętników, pierwszych z dziwną regularnością spotykało „wypędzenie z obu światów” - polityki i nauki. Baloyne zmienił zdanie dopiero po rozmowie z prezydentem. Nie przypuszczam, aby dał się omamić jakimkolwiek argumentem. Po prostu sytuacja, w której prezydent prosił go, a on prośbę tę mógł spełnić, miała dlań dostateczną wartość, aby zaryzykował największą stawkę - całej własnej przyszłości.

Zresztą tutaj już popadam w ton pamfletu, bo poza wszystkim innym musiała być dlań istotnym bodźcem ciekawość. Pewną rolę grało i to, że odmowa przypominałaby stchórzenie, a stchórzyć pełną tego świadomością może tylko człowiek, któremu na co dzień wszelki lęk jest obcy. Lękliwy, niepewny, nie znajdzie odwagi, aby się aż tak przeraźliwie obnażyć, niejako potwierdzając przed samym sobą także rys wiodący swej natury. Jeżeli jednak desperacja tego rodzaju miała swój udział w jego decyzji, okazał się na pewno właściwym człowiekiem na owym możliwie najniewygodniejszym miejscu całego Projektu.

Opowiadano mi, że generał Easterland, pierwszy administracyjny szef MAVO, do tego stopnia nie umiał dać sobie z nim rady, że własnowolnie ustąpił ze swego stanowiska, Baloyne zaś roztoczył wokół siebie atmosferę i opinię człowieka łaknącego przede wszystkim ucieczki z Projektu i tak głośno marzył o tym, by Waszyngton przyjął jego dymisję, że następcy Easterlanda, pragnąc uniknąć nieprzyjemnych rozmów na szczycie, ustępowali mu, jak mogli. Kiedy poczuł się pewniej w siodle, sam wystąpił z wnioskiem o przyłączenie mnie do Rady Naukowej; groźba dymisji nie była już nawet potrzebna.

Spotkanie nasze odbyło się pod nieobecność reporterów i fleszów: zrozumiałe przecież, że o żadnej publicity nie mogło być i mowy. Wysiadając na dachu z helikoptera, widziałem, że naprawdę był wzruszony. Próbował mnie nawet uściskać (czego nie znoszę). Jego świta trzymała się w pewnej odległości; przyjmował mnie trochę jak władca udzielny i miałem wrażenie, że obaj jednakowo odczuwamy nieodjemną śmieszność tej sytuacji. Na dachu nie było ani jednego człowieka w mundurze; przemknęła mi myśl, że to Baloyne ukrył ich troskliwie, aby mnie nie zrażać, ale pomyliłem się - tylko w rozmiarach jego władzy, co

prawda: usunął ich bowiem z całego terenu swej jurysdykcji, jak się potem wyjaśniło.

Na drzwiach jego gabinetu ktoś wypisał kredką do ust, ogromnymi literami: COELIUM. Mówił do mnie, rzecz jasna, bez przerwy, a rozpromienił się oczekująco, kiedy, jak nożem ucięta, świta została za drzwiami i spojrzeliśmy sobie w oczy - sami.

Dopóki patrzyliśmy na siebie z sympatią czysto, aby, tak rzecz, zwierzęcą, nic nie zamać harmonii spotkania. Później jednak zacząłem wypytywać Baloyne'a o pozycję Projektu wobec Pentagonu i administracji - a konkretnie o rozmiary swobody dysponowania ewentualnymi wynikami prac. Próbował, choć bez przekonania, posłużyć się owym monumentalnym dialektem, którego używa departament stanu, więc okazałem mu więcej złośliwości, niż chciałem, przez co zapanowało między nami lekkie napięcie, zmyte dopiero czerwonym winem (Baloyne musi pić wino) podczas obiadu. Pojąłem później, że wcale nie zaraził się urzędowością, lecz mówił sposobem, który pozwala największą ilość dźwięków wyposażyć w minimum treści, bo jego gabinet naszpikowany był podsłuchem, który stanowił elektroniczny farsz wszystkich bodaj budynków z pracowniami i laboratoriami włącznie.

Dowiedziałem się o tym dopiero po kilku dniach od fizyków, wcale owym faktem nie przejętych; uważali to za stan naturalny, mniej więcej jak piasek na pustyni. Żaden z nich zresztą na krok się nie ruszał bez małego aparatu przeciwpodśluchowego i doprawdy jak dzieci cieszyli się tym, że udaremniają tak wszechstronnie roztoczoną nad sobą opiekę. Ze względów humanitarnych, aby tym zagadkowym (nigdy ich na oczy nie ujrzał) funkcjonariuszom, którzy musieli potem wszystko zarejestrowane przesłuchiwać, za bardzo się nie nudziło, przeciwpodśluchową elektronikę wyłączało się - taki panował obyczaj - przy opowiadaniu kawałów, zwłaszcza niecenzuralnych. Z telefonów jednak - tak mi doradzono - korzystać nie należało w sprawach nie dotyczących umawiania się na randki z dziewczętami pracującymi w administracji. Osób w mundurach ani takich, które przywodzą mundury na myśl, w całym miasteczku nie było, jakem rzekł, ani na lekarstwo.

Jedynym nienaukowcem, który brał udział w posiedzeniach Rady Naukowej, był doktor (ale praw) Wilhelm Eney, najlepiej ubrany człowiek Projektu. Reprezentował doktora Marsleya (który chyba przez przypadek był zarazem czterogwiazdkowym generałem). Eney wiedział doskonale o tym, że młodszy zwłaszcza naukowcy usiłują go naciągać, podając sobie jakieś karteczki z tajemniczymi wzorami i szyframi albo spowiadając się wzajemnie - gdy niby go nie spostrzegli - z niesłychanie radykalnych poglądów.

Kawały, które mu urządzano, przyjmował z anielskim spokojem, cudownie też umiał się zachować, gdy ktoś w kantynie hotelowej pokazywał mu nie większy od zapalki nadajniczek z mikrofonem, wydłubany spod kontaktu w mieszkalnym pokoju. Wszystko to

razem ani trochę mnie nie bawiło, choć mam raczej duży gruczoł humoru.

Eeney reprezentował bardzo realną siłę i ani jego maniery, ani też zamiłowanie do Husserla w najmniejszej mierze nie czyniły go sympatycznym. Rozumiał doskonale, że przytyki, dowcipy i drobne niegrzeczności, które świadczy mu otoczenie, są rekompensatą, bo wszak na dobrą sprawę to on był milcząco uśmiechniętym spiritus movens Projektu - albo raczej jego urękawiczoną zwierzchnością. Był jak dyplomata wśród tubylców, którzy usiłują wyładowywać na tak szanowanej osobie resentymenty bezsilności, a czasem, kiedy przyprze ich gniew, nawet coś podrażniają, lecz dyplomata łatwo znosi takie demonstracje, bo po to właśnie jest, i wie, że nawet gdyby został obrażony, nie jemu osobiście się to należało, lecz reprezentowanej przezeń potędze. Może się więc utożsamiać z nią, z czym bardzo mu wygodnie, gdyż taki stan depersonalizacji obdarza go poczuciem trwale zabezpieczonej wyższości.

Ludzi, którzy nie siebie przedstawiają, lecz tylko stanowią pewien namacalny i zmaterializowany, w gruncie rzeczy abstrakcyjny, choć szelki i motylek noszący symbol, lokalne ukonkretnienie organizacji zawiadującej osobami jak rzeczami - szczerze nie cierpię i nie jestem zdolny do przerabiania takich uczuć na ich żartobliwe bądź uszczypliwe ekwiwalenty. Toteż od początku Eeney obchodził mnie jak złego psa, bo wyczuł to doskonale; inaczej nie mógłby pełnić swojej funkcji. Pogardzałem nim, a on na pewno odpłacał mi z nawiązką swym bezosobowym sposobem bycia, chociaż zawsze był uprzedzająco grzeczny. Co mnie, naturalnie, jeszcze bardziej irytowało. Moja ludzka powłoka była dla ludzi takich jak on tylko pokrowcem, kryjącym w sobie potrzebny dla wyższych, im znanych, a mnie niedostępnych celów - instrument. Najbardziej dziwiło mnie w nim to, że zdaje się miał naprawdę jakieś poglądy. Zresztą może była to tylko doskonała imitacja.

Jeszcze bardziej nieamerykański, niesportowy był stosunek do Eeneya - doktora Saula Rappaporta, owego pierwoodkrywcy gwiazdowej wieści. Przeczytał mi raz fragment dziesiętnastowiecznej księgi, opisującej sposoby hodowania wieprzy tresowanych do szukania trufli; był to bardzo ładny ustęp, opowiadający podniosłym stylem, właściwym temu wiekowi, o tym, jak rozum człowieka wykorzystuje zgodnie ze swym posłannictwem pożądaną żarłoczność świń, którym rzuca się żołędzie, kiedy wykopią trufle.

Taka racjonalna hodowla miała, według Rappaporta, oczekiwać uczonych, i już ją właśnie wdrażano w życie, jak to pokazywał nasz przypadek. Wyłożył mi ten prognostyk zupełnie serio. Handlarz-grosista nie interesuje się światem duchowych przeżyć wytresowanego wieprza, który ugania się za truflami: ów świat dla niego nie istnieje poza rezultatami działalności świń i nie inaczej ma się rzecz z nami i naszymi mocodawcami.

Racjonalizację hodowli uczonych utrudniały co prawda relikty tradycji, owych zapatrywań nieprzytomnych, rodem z francuskiej rewolucji, lecz można się było spodziewać, że jest to stan przejściowy. Oprócz doskonale urządzonych chlewni, to jest laboratoriów lśniących, należało przygotować jeszcze inne urządzenia, które wyzwoliłyby nas od wszelkiej możliwości frustracji. Na przykład pracownik nauki zaspokajałby swoje instynkty agresji, w sali pełnej kukieł generałów i innych wielkorządców, doskonale nadających się do bicia, jak również znajdowałby specjalne miejsca, będące pochłaniaczami energii seksualnej, itp. Wyładowawszy się należycie tu i tam, będzie mógł - powiadał Rappaport - wieprz uczone bez wszelkich już zakłóceń oddawać się polowaniu na trufle, z pożytkiem władców, a ku zgubie ludzkości, jak odeń tego wymaga nowy okres historyczny.

Poglądów owych wcale nie taił i bawiło mnie obserwowanie reakcji kolegów na podobne jego wystąpienia - nie na oficjalnych zebraniach, rzecz oczywista. Co młodzi zaśmiewali się po prostu, a Rappaporta to gniewało, ponieważ w gruncie rzeczy myślał i mówił całkiem serio. Lecz na to nie było rady: doświadczenie osobiste życia jest zasadniczo niewymienne i to aż do nieprzekazywalności, Rappaport pochodził z Europy, którą magiczne „myślenie generalskie” oraz „senatorskie” (podług jego słów) utożsamia z ohydna czerwienią. Toteż nigdy by nie się dostał do Projektu, gdyby nie to, że stał się jego mimowolnym współtwórcą. Tylko z obawy przed możliwością „przecieków” skierowano go do naszej ekipy.

Wyemigrował do Stanów w 1945 roku. Nazwisko jego znane było garstce fachowców sprzed wojny; niewielu jest filozofów o prawdziwie głębokim wyszkoleniu matematycznym i przyrodniczym; należał do takich właśnie i okazał się przez to wielce przydatny w pracach Projektu. Mieszkaliśmy z Rappaportem drzwi w drzwi w hotelu osiedla i po niedługim czasie wszedłem z nim w bliższy kontakt. Opuścił kraj rodzinny jako trzydziestoletni człowiek, sam, bo zagłada pochłonęła całą jego rodzinę. Nigdy o tym nie mówił, z wyjątkiem pewnego wieczoru, kiedy to zdradziłem mu - jako jedynemu człowiekowi - mój i Prothera sekret. Uprzedzam wprawdzie wypadki, opowiadając tę historię tutaj, ale wydaje mi się to wskazane. Czy to, aby odplacić dziwacznie szczerością za takie wyróżnienie, czy z niewiadomych już powodów, opowiedział mi wtedy Rappaport, jak, na jego oczach, odbywała się pewna masowa egzekucja - w roku bodajże 1942 - w rodzinnym jego mieście.

Wzięto, go z ulicy jako przypadkowego przechodnia; rozstrzeliwano ich grupami na podwórzu niedawno zbombardowanego i jednym skrzydłem jeszcze płonącego więzienia. Rappaport opisywał szczegóły tej operacji bardzo spokojnie; samej egzekucji stłoczeni pod murem, który grzał ich plecy jak olbrzymi piec, nie widzieli, ponieważ strzelano za ułomkiem ściany; jedni z czekających, jak on, swojej kolejności zapadli w rodzaj odrętwienia, inni

próbowali się ratować - szalonymi sposobami.

Zapamiętał młodego człowieka, który, przyskoczywszy do niemieckiego żandarma, wołał, że nie jest Żydem - lecz wołał po żydowsku (w żargonie), ponieważ niemieckiego zapewne nie znał. Rappaport poczuł obłąkańczy komizm tej sytuacji i naraz najdroższą rzeczą stało się dlań zachować do końca sprawność umysłu, tę właśnie, która umożliwiła mu zachowanie intelektualnego dystansu do owej sceny. Musiał jednak - tłumaczył mi to rzeczowo i powoli jako człowiekowi „z drugiej strony”, który zasadniczo niczego z doświadczeń takich zrozumieć nie potrafi - znaleźć jakąś wartość zewnętrzną, cokolwiek dla oparcia umysłu, a ponieważ to było najzupełniej niemożliwe, postanowił uwierzyć w reinkarnację. Zachowanie tej wiary przez piętnaście do dwudziestu minut wystarczyłoby mu. Ale w sposób abstrakcyjny nawet tego nie potrafił uczynić, toteż odnalazł w grupie oficerów, oddalonych od miejsca egzekucji, jednego, który wyróżniał się swoim wyglądem.

Opisał mi go jakby z fotografii. Był to młody, doskonały bóg wojny, wysoki, postawny, w mundurze polowym, którego obszywki srebrne jak gdyby posiwiały lub spopieliły się nieznacznie od żaru; miał cały rynsztunek, krzyż żelazny pod kołnierzem, lornetkę w futerale na piersi, głęboki hełm, rewolwer z kaburą poręcznie przesuniętą ku klamrze pasa, a w urękawiczonej ręce trzymał chusteczkę, czystą i dobrze złożoną, którą przytykał chwilami do nosa, ponieważ egzekucje trwały tak długo - od samego rana - że płomienie objęły już część straconych wcześniej w kącie podwórza i buchało stamtąd gorącym smrodem palonych ciał. Zresztą - i o tym nie zapomniał Rappaport - z obecności słodkawego czadu trupiego w powietrzu zdał sobie sprawę dopiero, kiedy zobaczył chustkę w ręku upatrzonogo oficera. Powiedział sobie, że z chwilą, kiedy zostanie zastrzelony, wcieli się w owego Niemca.

Doskonale wiedział, że pomysł jest kompletną brednią, i to nawet w świetle każdej doktryny metafizycznej, razem z reinkarnacyjną, ponieważ „miejsce w ciele” było już zajęte. Lecz to jakoś mu nie przeszkadzało, owszem, im dłużej i chciwiej wpatrywał się w wybrańca, tym skuteczniej mógł się wczepiać w tę swoją myśl, która miała mu być podporą do ostatniej chwili, tak że już był niejako obdarzony wsparciem - tego człowieka. On miał mu pomóc.

Rappaport mówił całkiem spokojnie, lecz w słowach jego zadrgał, jak mi się zdawało, rodzaj podziwu dla „młodego boga”, który, tak doskonale dyrygował całą operacją, ani się z miejsca nie ruszając, ani nie krzycząc, nie wpadając w na pół pijany trans walenia i kopania, w którym pracowali jego podkomendni z żelaznymi blachami na piersiach. W owej chwili Rappaport rozumiał nawet i to, że podkomendni ci tak właśnie postępować muszą, że chowają się przed ofiarami w nienawiść do nich, a tej bez brutalnych czynów nie umieliby wywołać,

musieli łomotać Żydów kolbami, musiała spływać krew z rozciętych głów oskorupiając twarze, ponieważ czyniła je poczwarnymi, nieludzkimi, i w ten sposób - powtarzam za Rappaportem - nie pojawiała się w postępkach szpara, z której mogłoby wychynąć przerażenie czy litość.

Lecz młody bóg w siwo i srebrzyście szamerowanym uniformie nie potrzebował żadnych takich ani innych praktyk, by działać doskonale. Stał na miejscu lekko wzniesionym, ze swoją białą chusteczką, przytkniętą do nosa ruchem, w którym było coś salonowo-pojedynkowego - dobry gospodarz i wódz w jednej osobie. W powietrzu pływały płaty kopciuch miecione gorącym, które biło od pożaru; za grubymi murami, w zakratowanych oknach bez szyb, huczały płomienie, lecz ani jeden płatek sadzy nie padł na oficera ani na jego białą chustkę.

W obliczu takiej doskonałości Rappaportowi udało się zapomnieć o sobie, gdy raptem otworzyła się brama i wjechała ekipa operatorów filmowych. Przekazano po niemiecku jakieś rozkazy i strzały natychmiast umilkły. Rappaport nie wiedział ani wtedy, ani gdy mu to opowiadał, co zaszło. Być może, Niemcy zamierzali sfilmować zwał trupów, aby uczynić z ich obrazu scenę w kronice filmowej, demonstrującej postępowanie wroga (działo się to w strefie frontu wschodniego). Rozstrzelani Żydzi zostaliby pokazani jako ofiary bolszewików. Możliwe, że tak było, Rappaport nie interpretował jednak niczego, lecz tylko opowiadał widziane.

Zaraz potem, doszło do jego klęski. Niedobitków uszeregowano porządnie i sfilmowano, po czym, oficer z chustką zażądał jednego ochotnika. Rappaport zdał sobie natychmiast sprawę z tego, że powinien wystąpić. Nie wiedział dobrze, czemu właściwie musi, czuł jednak, że jeśli tego nie zrobi, będzie to dlań czymś strasznym. Doszedł do momentu, w którym cała moc myślowego postanowienia miała się obrócić w jeden krok naprzód - ale nie poruszył się nawet. Oficer dał im wtedy piętnaście sekund do namysłu i odwróciwszy się tyłem, rozmawiał cicho, od niechcienia z jakimś młodszym.

Rappaport jako doktor filozofii, ze znakomitą dysertacją logiczną, która przyniosła mu stopień naukowy, nie potrzebował przecież całego aparatu sylogizmów, aby pojąć, że jeśli nie wystąpi nikt, zginą wszyscy, więc ten, kto teraz wyjdzie przed szereg, właściwie już niczego nie ryzykuje. Było to proste, jasne i pewne. Ponowił wysiłek, co prawda już bez wiary - i znów ani drgnął; parę sekund przed upływem czasu ktoś przecież się zgłosił, znikł z dwoma żołnierzami za ułomkiem ściany i rozległo się kilka rewolwerowych strzałów. Młody ochotnik, ubrudzony własną i cudzą krwią, wrócił potem do gromady.

Już zmierzchało, gdy uchylono wielką kratę i zataczając się w chłodnym powietrzu

wieczoru, grupa niedobitków wybiegła na puste ulice.

Nie śmieli zrazu uciekać - ale po prostu nikt o nich się nie troszczył. Rappaport nie wiedział czemu w analizę postępowania Niemców nie wchodził; zachowywali się jak los, którego nie trzeba koniecznie wyklądać.

Ochotnik - czy trzeba to mówić? - poruszał ciała rozstrzelanych, a jeszcze żywych dobijano z rewolweru. Jak gdyby chcąc zbadać, czy ma słusność i czy rzeczywiście nie zrozumiałem z owej historii nic zupełnie, spytał mnie potem Rappaport, czemu oficer żądał ochotnika i gotów był, w jego nieobecności, zabić pozostałych przy życiu, chociaż to już było jakby „niepotrzebne” - w tym dniu przynajmniej - przy czym w ogóle nie wchodziła w grę ewentualność wyjaśnienia, że ochotnikowi nic się nie stanie. Wyznaję, że nie zdałem tego egzaminu, powiedziałem bowiem, że chyba Niemiec czynił to z pogardy, by nie wdawać się z ofiarami w rozmowy. Rappaport pokręcił przecząco swoją ptasią głową.

- Zrozumiałem to później - rzekł - dzięki innym rzeczom. Jakkolwiek mówił do nas, nie byliśmy ludźmi. Wiedział, że zasadniczo rozumiemy mowę ludzką, ale jednak ludźmi nie jesteśmy, i wiedział to dobrze. Gdyby nawet tego pragnął, żadnego wyjaśnienia nie mógł nam więc udzielić. Mógł z nami robić, co chciał, ale nie mógł wdawać się w pertraktacje, bo do pertraktacji potrzeba strony pod jakimś jednym względem chociaż równej temu, kto pertraktuje, a na tym podwórzu był tylko on i jego ludzie. Jest w tym logiczna sprzeczność, zapewne, lecz działał właśnie podług tej sprzeczności, i to dokładnie. Prości z jego ludzi wyższego wtajemniczenia nie posiadli, pozór człowieczeństwa, jakim były nasze ciała, nasze nogi, twarze, ręce, oczy, ten pozór zwodził ich nieco i dlatego zmuszeni byli masakrować owe ciała, aby je uniepodobnić do ludzkich, ale jemu takie prymitywne zabiegi już nie były potrzebne. Tego rodzaju wyjaśnienia zwykle traktuje się jako przenośnie, jako rodzaj baśni, ale to jest zupełnie dosłowne.

Więcej już o tym fragmencie jego przeszłości nigdyśmy nie mówili i nie tykaliśmy też innych. Musiało upłynąć nieco czasu, zanim przestałem - patrząc na Rappaporta - odruchowo wspominać ową scenę, którą mi tak plastycznie nakreślił: więzienne podwórze z lejami od bomb, ludzie z twarzami czerwono i czarno pożyłowanymi krwią od rozciętych kolbami czaszek, i oficer, w którego ciało chciał się - oszukańczo - przesiedlić. Toteż nie umiem powiedzieć, w jakiej mierze została w nim świadomość zagłady, której uszedł. Zresztą był Rappaport bardzo rozsądnym, a zarazem, dosyć zabawnym człowiekiem - najbardziej narażę mu się tym, że powiem, jak bawiło mnie - podpatrzone zresztą niechący - jego codzienne wyjście z pokoju. Za zakrętem korytarza hotelowego znajdowało się wielkie lustro. Rappaport, który cierpiał na żołądek i miał kieszenie wypchane buteleczkami

różnokolorowych pigulek, gdy udawał się rano ku windzie, zawsze wystawiał przed lustrem język, żeby sprawdzić, czy nie jest obłożony. Robił to codziennie, tak że gdyby tego zaniechał, myślałbym, że przytrafiło mu się coś nadzwyczajnego.

Na posiedzeniach Rady Naukowej nudził się jawnie, a szczególnie alergiczny okazywał się na - rzadkie zresztą i na ogół taktowne - wystąpienia doktora Wilhelma Eeneya. Ten, kto nie miał ochoty słuchać Eeneya, mógł przyglądać się mimicznemu akompaniamentowi jego słów na twarzy Rappaporta. Marszczył się, jakby poczuł nagle jakieś paskudztwo na języku, brał się za nos, za uchem się drapał, zerkał na mówiącego spode łba z wyrazem twarzy zdającym się znaczyć: „to chyba nie jest powiedziane na serio” - a gdy raz jeden Eeney, nie wytrzymawszy dłużej, spytał go wręcz, czy pragnie coś replikować, bardzo naiwnie zdziwiony, potrząsając wielokrotnie głową i rozkładając ręce, oświadczył, że nic, ale to zupełnie nic nie ma do powiedzenia.

Rozwodzę się nad tymi opisami, by pokazać Czytelnikowi centralne postaci Projektu od mniej oficjalnej strony, a zarazem, żeby go wprowadzić w specyficzną atmosferę środowiska szczelnie odseparowanego od świata. Prawdziwie daje do myślenia - osobliwością swoją - czas, w którym istoty tak nieprawdopodobnie różne, jak choćby tylko Baloyne, Eeney, Rappaport i ja, zeszyli się w jednym miejscu i to w misji „nawiązania Kontaktu”, stanowiąc tym samym substytut dyplomatycznego przedstawicielstwa ludzkości wobec Kosmosu.

Jakkolwiek różni, połączywszy się w organizm badający „gwiazdowy list”, utworzyliśmy zespół o własnej obyczajowości, tempie, formach ludzkich relacji, z ich subtelnymi niuansami oficjalnymi, półoficjalnymi i prywatnymi - co razem wytwarzało „ducha instytucji”, ale też i coś więcej, co socjolog nazwałby najchętniej „lokalną subkulturą”. Aura owa była wewnątrz Projektu - liczył przecież bez mała trzy tysiące ludzi w swojej fazie najbardziej dynamicznej - tyleż wyraźna i osobliwa, co, zwłaszcza na dłuższą metę, męcząca, dla mnie przynajmniej.

Jeden ze starszych uczestników Projektu, Lee Rainhorn, który jako zupełnie młody fizyk pracował ongiś w projekcie Manhattan, powiedział mi, że atmosfera obu tych przedsięwzięć była pod każdym względem nieporównywalna przez to, że „Manhattan Project” wysłał swych ludzi na eksplorację z natury typowo przyrodniczą, fizykalną, podczas kiedy nasz niejako cały tkwił we wnętrzościach kultury człowieka i nie mógł się z zależności od niej wyzwolić. Rainhorn nazywał MAVO eksperymentalnym testem kultury na jej kosmiczną inwariancję i denerwował zwłaszcza naszych kolegów-humanistów tym, że popisował się przed nimi, tonem naiwnym i łagodnym, coraz to nowymi wiadomościami - z ich podwórka. Studiował bowiem, niezależnie od prac swego (fizycznego) zespołu, całą

światową literaturę, głównie lingwistyczną, poświęcaną - od kilkunastu z górą lat - problemowi kosmicznych konwersacji, a zwłaszcza jego postaci zwanej „rozłamywaniem języków o zamkniętej semantyce”.

Otóż dokładna nieużyteczność piramidy owych prac - a bibliografia, z jaką też się zapoznałem, jeśli mnie pamięć nie myli, liczyła około pięć i pół tysiąca pozycji - była oczywista dla każdego człowieka Projektu. Najzabawniejsze było przy tym to, że podobne prace dalej, i to wcale gęsto, pojawiały się na świecie, który wszak o istnieniu „listu z gwiazd” nic nie wiedział - poza gronem wybrańców. Toteż na ciężkie próby narażona była zawodowa duma oraz poczucie solidarności tych lingwistów, którzy pracowali w Projekcie, kiedy Rainhorn - otrzymawszy pocztą kolejną porcję odpowiednich artykułów i dzieł - na półoficjalnych roboczych spotkaniach powiadamiał nas o nowościach z zakresu „semantyki gwiazdowej”. Bezprzydatność, jałowizna owych wszystkich, matematyką z lubością szpikowanych rozumowań była prawdziwie zabawna, jakkolwiek i zniechęcająca zarazem.

Dochodziło nawet do scysji, bo językoznawcy zarzucali Rainhornowi umyślną złośliwość. W ogóle tarcia między humanistami a przyrodnikami Projektu były na porządku dziennym. Pierwszych zwano u nas „Humami”, drugich zaś - „Fizami”, przy czym słownik wewnętrznego żargonu Projektu był wcale bogaty; zarówno nim samym, jak i formami współzycia obu „stronnictw” mógłby się z pożytkiem zainteresować kiedyś socjolog.

Dość złożone czynniki skłoniły Baloyne’a do zaliczenia w obręb ekipy MAVO całego pęku humanistycznych specjalności: nie na ostatnim miejscu i to, że wszak był z wykształcenia i zamiłowania humanistą. Lecz rywalizacja nie bardzo mogła się przejawiać jakimś płodnym sposobem, skoro antropologowie, nie dysponowali materiałem surowcem dla pracy. Toteż, ilekroć odbywały się zamknięte posiedzenia którejś sekcji „Humów”, na tablicy ogłoszeniowej dopisywał ktoś obok nazwy referatu litery „SF” (Science Fiction); sztabactwo to miało niestety uzasadnienie w jałowosci owych posiedzeń. Zebrania wspólne kończyły się prawie zawsze otwartymi kłótniami. Bodaj do najbardziej zołądających się należeli psychoanalicy, osobliwie agresywni w żądaniach; domagali się, aby właściwi fachowcy rozszyfrowali „warstwę literalną” gwiazdowego przesłania, a potem oni wezmą się już do określenia całego uniwersum symboli, jakim operuje cywilizacja „Nadawców”. Tu, naturalnie, aż prosiła się riposta w rodzaju śmiałej hipotezy, takiej na przykład, że owa cywilizacja rozmnaża się bezpłciowo, co niechybnie musi deseksualizować jej „symboliczną leksykę” i tym samym skazuje z góry wszelką próbę penetracji psychoanalitycznej na klęskę. Ten, kto tak mówił, zdobywał sobie zaraz epitet nieuka, bo wszak dzisiejsza psychoanaliza już panseksualizmem freudowskim nie jest, a kiedy jeszcze odezwał się na podobnym

posiedzeniu jakiś fenomenolog, kłębowskiemu sporów było końca.

Bo też mieliśmy istny *embarras de richesse*, jako całkiem zbędny nadmiar fachowców - „Humów” - reprezentowanych nawet przez tak ezoteryczne dziedziny, jak psychoanaliza historii czy plejografia (dalibóg nie pamiętam, czym właściwie zajmują się plejografowie, chociaż jestem pewien, że w swoim czasie mi to powiedziano).

Zdaje się, że Baloyne jednak niepotrzebnie uległ w tym względzie sugestiom Pentagonu: tamtejsi doradcy opanowali jedną tylko maksymę prakseologiczną i opanowali ją na zawsze. Powiada ona, że jeśli jeden człowiek wykopie dół o pojemności metra sześciennego w ciągu dziesięciu godzin, to sto tysięcy kopaczy dół ten wykopie w ułamku sekundy. I podobnie jak ciżba taka raczej by sobie głowy łopatom porozbijała, nim uszczknęłaby pierwszą grudkę ziemi, tak też i nasi nieszczęśni „Humowie” przeważnie albo z sobą, albo z nami za łby się wodzili, zamiast „efektywnie pracować”.

Jednakowoż na to, że Pentagon wierzył w prostą proporcję, panującą między inwestycjami a wynikami nie było żadnej rady. Myśl o tym, że opiekunami naszymi są osoby sądzące, iż problemowi, którego niej pokona pięciu specjalistów, da na pewno radę pięć tysięcy, mogła postawić włos na głowie. Biednym naszym „Humom” robiły się frustracje i kompleksy, ponieważ byli skazani, w istocie rzeczy, na kompletne, jakkolwiek przystrojone różnymi pozorami bezrobocie i kiedy przybyłem do Projektu, Baloyne w cztery oczy wyznał mi, że jego marzeniem - marzeniem ściętej głowy - było pozbycie się tego uczonego balastu. Nie wolno było nawet o tym mówić dla całkiem trywialnej przyczyny: kto raz wszedł do Projektu, nie mógł, ot tak sobie, wyjść z niego, ponieważ groziło to „odhermetycznieniem”, czyli ucieczką Tajemnicy w szeroki, niczego na razie nie podejrzewający świat.

Toteż Baloyne musiał być geniuszem dyplomacji! i taktu, a nawet wymyślał od czasu do czasu zajęcia czy właściwie ich namiastki dla „Humów” i do pasji doprowadzały go prędzej aniżeli do śmiechu dowcipy lecące pod ich adresem, bo od nowa jątrzyły zablźnione już zadrażnienia - kiedy na przykład w „skrzynce pomysłów” zjawił się projekt, by psychoanalitycy i psychologowie zostali „służbowo przeniesieni” ze stanowisk badaczy „listu gwiazdowego” na stanowiska lekarzy tych, co listu odczytać nie umieją i przez to cierpią od „stressów”.

Doradcy waszyngtońscy bruździli Baloyne’owi również tym, że co jakiś czas wpadali na ową ideę - tak na przykład bardzo długo i uporczywie domagali się organizowania wielkich sesji mieszanych, wedle popularnej zasady „brainstorming”, która polega na tym, że umysł samotnego myśliciela z wytężeniem rozważającego problem chce się zastąpić wielkim

gremium, chóralnie, zespołowo niejako „głośno myślącym” na zadany temat. Baloyne ze swej strony wypróbował różne taktyki „bierne”, „odwetowe” i „czynne” - przeciwstawiania się podobnym „dobrym radom”.

Jako ciężący, siłą rzeczy, do partii „Fizów”, będę uznany za stronniczego, lecz wyznać muszę, że zrazu wszelkie uprzedzenie było mi obce. Zaraz po przybyciu do Projektu zacząłem studiować językoznawstwo, bo wydało mi się to konieczne, i rychło wpadłem w głębokie zdumienie ujrzawszy, że na temat pojęć najpierwszych i najbardziej elementarnych nie ma w tej - tak ponoć ścisłej, tak rzekomo zmatematyzowanej i sfizykalizowanej gałęzi - ani śladu zgody. Toż autorytety nie mogą dojść jedności w tak fundamentalnej i niejako wstępnej kwestii, jak ta, czym właściwie są morfemy i fonemy.

Kiedy zaś pytałem, całkiem szczerze, odpowiednich ludzi, jak właściwie mogą pracować przy podobnym stanie rzeczy, owe naiwne pytania brano za dyktowane złośliwością docinki. Wszedłem bowiem - nie zdając sobie z tego w pierwszych dniach sprawy - między młoty i kowadła, myślałem, że należy drwa rąbać, nie zastanawiając się nad tym, jakie przy tym wióry lecą - i dopiero co życzliwsi, jak Rappaport czy Dill, prywatnie wtajemniczyli mnie w skomplikowaną psychosocjologię koegzystencji „Fizów” i „Humów”, zwaną też czasami „zimną wojną”.

Nie wszystko - muszę zauważyć - co robili „Humowie”, było bez wartości; tak na przykład ciekawie wypadły prace teoretyczne mieszanego zespołu Wayne’a i Traxlera, poświęcone teorii „automatów skończonych pozbawionych nieświadomości”, czyli zdolnych do „autodeskrypcji zupełnej” - a w ogóle sporo cennych prac urodziło się w środowisku „Humów”, z taką jedynie poprawką, iż związek tych prac z „gwiazdowym listem” był luźny albo i żaden zgoła. Mówię o tym wszystkim najdalszy doprawdy od myśli gnębienia „Humów”, tylko aby wskazać, jak wielką i zawiłą maszynę uruchomiono na Ziemi w obliczu Pierwszego Kontaktu i jak wiele miała ona roboty z samą sobą, z własnymi trybami, co nie sprzyjało na pewno osiągnięciu wytyczonego jej celu.

Niezbyt sprzyjające - pod względem komfortu także cielesnego - były i warunki naszego bytowania. W osadzie nie mieliśmy wcale prawie samochodów, bo niegdyś zbudowane drogi zaniósł wydmami, a w samym osiedlu chodziło miniaturowe metro, przygotowane jeszcze wówczas, gdy miało służyć poligonowi atomowemu. Wszystkie gmachy stały na olbrzymich betonowych nogach, szare i ciężkie pudła z obłymi bokami, a pod nimi, na betonie pustych parkingów, hulał tylko gorący wiatr, mocny jak z hutniczego pieca w tak ściśniętej przestrzeni, przeganiając ów okropny, czerwonawy, niezwykle drobny piasek, który dostawał się wszędzie, ledwie opuściło się hermetyczne pomieszczenia. Nawet

basen mieliśmy podziemny, inaczej kąpiel nie byłaby możliwa.

Sporo ludzi wolało chodzić jednak od gmachu do gmachu ulicami, w nieznośnej spiekocie, aniżeli używać podziemnego środka lokomocji, bo też całe to życie kretów mogło tym bardziej dawać się we znaki, że na każdym niemal kroku znajdowało się ślady przeszłości osiedla. Chociażby w postaci gigantycznych pomarańczowych liter SS (skarżył mi się na nie, pamiętam, Rappaport), świecących nawet w dzień; oznaczały kierunek schronu - był nim „Supershelter”, a może „Special Shelter”, już nie wiem. Nie tylko w podziemiach, ale i w naszych roboczych pomieszczeniach paliły się tabliczki: EMERGENCY EXIT, ABSORPTION SHIELD, na tarczach zaś betonowych, przed wejściami do budynków, tu i tam wywiedziono BLAST LOADING, z cyframi wskazującymi, jakiej mocy czołowe uderzenie podmuchu wytrzymać może dana struktura. W załomach korytarzy, na podestach schodów stały wielkie, szkarłatne pojemniki dekontaminacyjne, a już w podręcznych Geigerach można było przebierać.

W hotelu znów wszystkie co lżejsze przepierzenia, paki, szyby, stanowiące rodzaj odgrodzeń w hallu, były odpowiednio poznaczone wielkimi płonącymi napisami, które powiadały o tym, że podczas testów niebezpiecznie jest przebywać w danym miejscu nie obliczonym na wytrzymanie udarowej fali. Wreszcie na ulicach było jeszcze trochę ogromnych strzał, które niby mementa pokazywały, w jakim kierunku najsilniej rozprzestrzenia się podmuch i jakie są danym miejscu współczynniki odbicia jego fali. Wrażenie ogólne było takie, jakby człowiek przebywał w osławionym punkcie „zero” i jakby lada chwila niebo miało mu się rozłupać nad głową termojądrowym wybuchem. Niewiele tylko tych tabliczek z czasem zamalowano. Pytałem, czemu nie usunięto wszystkiego, ludzie zaś uśmiechali się i mówili, że usunięto mnóstwo tablic, syren, liczników, butli tlenu do przedmuchiwania, a tego, co zostało, prosiła nie tykać administracja osiedla.

Jako świeżo przybyły miałem wyostrzony wzrok i owe rudymenty atomowej prehistorii osiedla raziły mnie, zresztą do czasu, potem bowiem, gdy pogрузyłem się w problematyce „listu”, przestałem je, jak wszyscy, dostrzegać.

Początkowo warunki te wydały mi się nieznośne - nie myślę o klimatyczno-geograficznych tylko. Gdyby mi Grotius powiedział w Hampshire, że lecę do miejsca, w którym każda łazienka i każdy telefon są na podsłuchu, gdybym mógł sobie z dala obejrzeć Wilhelma Eeneya, nie tylko teoretycznie bym pojął, ale odczułbym, że wszystkie nasze swobody mogą zniknąć w chwili, kiedy wyprodukujemy to, czego się po nas spodziewają, a wtedy, kto wie, czy wyraziłbym tak łatwo zgodę. Ale nawet konklawe można doprowadzić do ludożerstwa, byle tylko postępować cierpliwie i powoli. Mechanizm adaptacji psychicznej

jest nieubłagany.

Gdyby ktoś powiedział pani Curie, że za pięćdziesiąt lat z jej radioaktywności powstaną gigatony i „overkill”, może by nie odważyła się pracować - a już na pewno nie powróciłaby do poprzedniego spokoju z przeżytej w owym zwiastowaniu grozy. Lecz my przyzwyczailiśmy się i ludzie, którzy wyliczają kilotrupy i megazwłoki, nikt nie uważa za wariatów. Nasza umiejętność przystosowania i powodowanej nim akceptacji wszystkiego jest jednym z naszych największych zagrożeń. Istoty, doskonale plastyczne przystosowawczo, nie mogą mieć nierozciągliwej moralności.

V

Milczenie Kosmosu, sławne *Silentium Universi*, skutecznie zagłuszone przez zgiełk lokalnych wojen połowy wieku, zostało uznane przez wielu astrofizyków za pewnik, skoro uporczywe radionasłuchy nie dały rezultatów - od projektu Ozma aż po wieloletnie badania Australijczyków.

Przez cały ów czas pracowali, poza astrofizykami, inni specjaliści, ci, co wymyślili Loglan i Lincos oraz szereg innych sztucznych języków jako narzędzi do nawiązywania międzygwiazdnej łączności. Dokonano wielu wynalazków, w rodzaju tego o ekonomii przesyłania - zamiast słów - obrazów telewizyjnych. Teoria i metodologia Kontaktu wezbrała z wolna w bibliotekę. Było już dokładnie wiadomo, w jaki sposób winna się zachować cywilizacja pragnąca skomunikować się z „Innymi”. Wstęp stanowi przesłanie sygnałów wywoławczych w paśmie szerokim, rytmicznych, wskazujących najpierw swoją naturę sztuczną, a potem - częstościami - gdzie, w jakich kilo- czy megacyklach poszukiwać należy emisji właściwej. Tę ma rozpocząć systematyczny wykład gramatyki, składni, słownika - był to prawdziwy *savoir vivre*, ułożony dla całego Kosmosu, obowiązujący powszechnie po najdalszą mgławicę.

Stało się jednak, że nieznaną nadawca popełnił fatalne *faux-pas*, bo przysłał list bez wstępów, bez gramatyki, bez dykcjonarza - ogromny list, utrwalony na bez mała kilometrze wstęg rejestracyjnych. Kiedy się o tym dowiedziałem, pierwszą moją myślą było, że albo list nie został przeznaczony dla nas i znaleźliśmy się - czystym przypadkiem - na linii sygnału między dwiema „rozmawiającymi” cywilizacjami, albo też był przeznaczony dla wszystkich takich cywilizacji, które, przekroczywszy pewien „próg wiedzy”, zdolne są zarówno odnaleźć trudno wykrywalny sygnał, jak i rozłamać jego znaczenie. Zgodnie z ewentualnością pierwszą - odbioru losowego - problem „niezastosowania się do reguł” nie istniał. Zgodnie z drugą - przybierał nową, niejako wzbogaconą swoiście postać: informacja (tak sobie wyobraziłem) została - niejako - zabezpieczona przed „niepowołanymi”.

Według naszej najlepszej wiedzy, nie znając ani jednostek kodowych, ani składni, ani słownika, nie można wiadomości rozszyfrować inaczej aniżeli metodą prób i błędów, przy zastosowaniu odsiewu częstościowego, przy czym na sukces można czekać dwieście lat, dwa miliony albo i okrągłą wieczność. Dowiedziawszy się, że do matematyków Projektu należą Bear i Sharon, a głównym programistą jest Radcliff, poczułem się nieswojo i wcale tego nie ukrywałem. To, że w ogóle zwrócono się do mnie, wyglądało - w takim położeniu - dziwnie, i

tylko to napełniło mnie lekką otuchą, ponieważ zadania nierozwiązalne istnieją w matematyce i są jednakowo nie do zwyciężenia dla trzeciorzędnych rachmistrzów, jak dla umysłów najgenialniejszych. Szansa jednak zdawała się istnieć - albowiem inaczej Baloyne usłuchałby Sharona i Beara. Widocznie uznali, że jeśli nie oni, to może ktoś inny odniesie sukces w tym niezwykłym starciu.

Wbrew licznym mniemaniom zbieżność pojęciowa języków wszystkich ziemskich kultur, jakkolwiek różnorodnych, jest uderzająca. Depeszę „Babcia umarła pogrzeb w środę” można przełożyć na dowolny język - od łaciny i Hindu po dialekty Apaczów, Eskimosów czy plemienia Dobu. Zapewne dałoby się to zrobić nawet z językiem epoki mustierskiej, gdybyśmy go znali. Wynika to stąd, że każdy człowiek musi mieć matkę matki, że każdy umiera, że rytuały pozbywania się zwłok są kulturowym niezmiennikiem i jest nim również zasada rachuby czasu. Jednakowoż istoty jedнопłciowe nie mogą znać rozróżnienia między matką a ojcem, a takie, które by się dzieliły jak ameby - nie musiałyby utworzyć pojęcia rodzica nawet jedнопłciowego. Nie doszłyby więc znaczenia „babci”. Istoty, które by nie umierały (ameby, dzieląc się, nie umierają) nie znałyby ani pojęcia śmierci, ani pogrzebu. Musiałyby zatem poznać anatomię, fizjologię, ewolucję, historię oraz obyczajowość człowieka pierwzej, niż zdolne byłyby dokonać tłumaczenia owego tak dla nas klarownego telegramu.

Przykład jest prymitywny, zakłada bowiem, że ten, kto odbiera sygnał, wie, co stanowi w nim znaki informacyjne, a co ich tło nieistotne. Wobec „listu z gwiazd” byliśmy w sytuacji odmiennej. Zarejestrowany rytm mógł stanowić np. same tylko znaki przestankowe, natomiast właściwe „litery” bądź ideogramy mogły nie dotrzeć wcale do powierzchni błony rejestrującej, stanowiąc impulsy, na które aparatura nie była wyczulona.

Osobną sprawą jest różnica poziomów cywilizacyjnych. Z pośmiertnej maski złotej Amenhotepa historyk sztuki wyczyta epokę i jej styl kulturalny. Z jej ornamentacji religiológ wyprowadzi ówczesne wierzenia. Chemik przedstawi, jaką stosowano wtedy metodę obróbki złota. Antropolog wskaże, czy egzemplarz gatunku sprzed 6000 lat różni się od człowieka współczesnego, a lekarz postawi diagnozę, że Amenhotep cierpiał na zaburzenia hormonalne, które akromegalicznie zdeformowały mu szczęki. W ten sposób przedmiot sprzed 60 wieków dostarcza nam, współczesnym, daleko więcej informacji, niż mieli jej twórcy, cóż bowiem wiedzieli oni o chemii złota, akromegalii i stylach kulturowych? Jeśli odwrócimy proceder w czasie i wyślemy Egipcjaninowi z epoki Amenhotepa list dzisiaj napisany, nie odczyta go, nie tylko dlatego, że nie dysponuje słowami ani pojęciami, którym mógłby nasze przyporządkować.

Tak wyglądały ogólne deliberacje wokół „gwiazdowego listu”. Informację o nim skomprimowano praktycznym zwyczajem w rodzaj wzorcowego tekstu, zapisanego na magnetofonie, a odgrywanego przed „Bardzo Ważnymi Osobami”, które nas odwiedzały. Zamiast streszczać ją własnymi słowami, zacytuję dosłownie.

„Zadaniem Projektu Master Voice jest wszechstronne zbadanie oraz próba przetłumaczenia tak zwanej świadomości z gwiazd, która stanowi według wszelkiego prawdopodobieństwa serię sygnałów wysłanych z rozmysłem, za pomocą sztucznych urządzeń technicznych, przez istotę lub istoty należące do nie określonej bliżej cywilizacji pozaziemskiej. Nośnikiem właściwej informacji jest strumień cząstek, zwanych neutronami, pozbawionych masy spoczynkowej, obdarzonych momentem magnetycznym 1600 razy mniejszym od momentu magnetycznego elektronów. Neutrino są najbardziej przenikliwym rodzajem znanych nam cząstek elementarnych. Na Ziemię przybywają takie cząstki ze wszystkich stron sklepienia niebieskiego. Wyróżnia się wśród nich cząstki generowane w gwiazdach (a więc i w Słońcu) procesami naturalnymi, np. reakcjami rozpadu beta, oraz w innych reakcjach naturalnych jąder atomowych, jako też cząstki, wytwarzane w zderzeniach neutronów z jądrami pierwiastków w atmosferze ziemskiej i w skorupie globu. Energia tych cząstek waha się od kilkunastu tysięcy do wielu bilionów elektronowoltów. Dzięki pracom Szygubowa wykryto teoretyczną możliwość zbudowania tak zwanego lasera neutronowego, czyli „onasera”, który wysyłałby korpuskularny promień monochromatyczny. Możliwe, że na takiej zasadzie pracuje nadajnik wysyłający odebrane na Ziemi sygnały. Dzięki pracom Hughesa, Lascaglii i Jeffreysa zbudowano w celach rejestrowania poszczególnych frakcji energetycznych emisji neutronowej urządzenie, zwane inwertorem lub przetwornicą neutronową, oparte na zasadzie Einschoffa (tak zwanej „wymiany pseudocząsteczkowej”), które, wykorzystując efekt Synicyjna-Moessbauera, potrafi filtrować pęki promieniowania z dokładnością do 30 000 Ev.

W czasie dłuższych rejestracji pęków niskoenergetycznych wykryto w paśmie 57 milionów Ev sygnał sztucznego pochodzenia, złożony z ponad dwu bilionów jednostek w przeliczeniu na kod binarny (dwójkowy), który to sygnał nadawany jest sposobem ciągłym (bez przerw). Sygnał ten, o radiancie stosunkowo bardzo rozległym, gdyż pokrywającym cały obszar alfy Małego Psa oraz jego otoczenie w promieniu 1,5 stopnia, przekazuje informację o nieznannej treści i przeznaczeniu. Ponieważ nadmiarowość w kanale przesyłowym jest prawdopodobnie przyzerowa, sygnał przedstawia się jako szum. O tym, że ten szum jest sygnałem, świadczy to, iż co 416 godzin, 11 minut i 23 sekundy cała modulowana sekwencja powtarza się od początku z dokładnością co najmniej dorównującą rozdzielczości używanej

na Ziemi aparatury.

Aby wykryć i zarejestrować ten sygnał jako sztuczny, spełnić trzeba następujące warunki: Po pierwsze, odbierać korpuskularne promieniowanie neutrinowe aparaturą o rozdzielczości co najmniej 30 000 Ev, skierowaną na radiant Małego Psa z dopuszczalnym odchyleniem 1,5 stopnia w każdą stronę od alfy tego gwiazdozbioru. Po drugie, trzeba wyfiltrować z całości emisji neutrinowej tego segmentu nieba pasmo leżące pomiędzy 56,8 a 57,2 milionów Ev. Po trzecie wreszcie, trzeba odbierać sygnał dłużej niż przez 416 godzin i 12 minut, a następnie porównać początek emisji z początkiem poprzedniej. Jeśli się tego nie uczyni, sygnał odebrany nie zdradzi niczym tego, że nie stanowi zwykłego (naturalnego) zjawiska szumowego. Dla szeregu powodów gwiazdozbiór Małego Psa jest okolicą interesującą astronomów neutrinowych. Pierwszy warunek może być tedy spełniony dość powszechnie tam, gdzie znajdują się tacy specjaliści, dysponujący odpowiednią aparaturą. Wyselekcjonowanie pasma emisji jest już mniej prawdopodobne, gdyż w regionie tym emisja posiada 34 maksima w innych energiach (tyle ich wykryto do chwili obecnej). Maksimum pasma 57 milionów Ev na widmie całej emisji ma wprawdzie kształt ząbka, ostrzejszego, tj. lepiej skupionego energetycznie od innych, wytwarzanych przez procesy naturalne, lecz nie jest to oznaka jakości znamiennej i osobliwość tę można w praktyce wykryć dopiero *ex post*, tj. gdy się wie, że sygnał w paśmie 57 milionów Ev jest sztuczny i zwraca się nań przez to specjalną uwagę.

Jeśli przyjąć, że spośród czterdziestu światowych obserwatoriów, wyposażonych w aparaturę Lascaglii-Jeffreysa, co najmniej 10 stale obserwuje radiant Małego Psa, to szansa wyfiltrowania przez jednego z nich sygnału wynosi okragło 1/3 (10:34) - *caeteris paribus*. Jednak czas rejestracji rzędu 416 godzin jest raczej uważany za długotrwały. Nie spotyka się takich rejestracji częściej niż w każdej 9-10 pracy badawczej. Można zatem ustalić z rozsądnym przybliżeniem, że odkrycie miało szansę zrealizowania, wynoszącą około 1: 30-40, i z analogicznym prawdopodobieństwem może być powtórzone poza terenem Stanów Zjednoczonych.”

Zacytowałem cały ten tekst, ponieważ jest interesujący również w drugiej swej części. Zawarte tam obliczenie probabilistyczne przedstawia się niezbyt poważnie. Jego umieszczenie podyktowała polityka kierownictwa Projektu, odrobinę cyniczna. Chodziło o niepokojenie Bardzo Ważnych Osób, jako iż szansa 1:30 nie wydaje się na ogół astronomicznie mała, a zaniepokojone wpływowe osoby mogły sprzyjać zwiększaniu funduszy inwestowanych w Projekt (najkosztowniejszą inwestycją były - oprócz wielkich maszyn cyfrowych - urządzenia automatycznej chemii syntez).

Aby rozpocząć pracę nad „listem”, należało zrobić początek, i to było właściwie najgorsze. Tautologia powyższego zdania jest pozorna. W dziejach pojawili się niezliczoną ilość razy myśliciele, którzy sądzili, że naprawdę można wyjść w poznawaniu od zera, i uczyniwszy z umysłu nie zapisaną kartę, zapełnić ją jedynym koniecznym porządkiem. Fikcja ta była motorem zdumiewających wysiłków. A przecież taki zabieg jest nie do przeprowadzenia. Niepodobna rozpocząć czegokolwiek bez przyjęcia założeń, przy czym to, czy uświadamiamy sobie taki akt, w niczym nie umniejsza jego realności. Założenia te tkwią już w samej biologicznej konstytucji człowieka, jak również w amalgamacie kultury, która jest członem wpasowanym pomiędzy organizmy i środowisko, a daje się urzeczywistnić, ponieważ czynności, jakie trzeba podjąć, aby przeżyć, środowisko nie ujednoznacznia, lecz pozostawia organizmom szczelinę swobody wyboru, dostatecznie przestronną dla pomieszczenia tysięcy możliwych kultur.

Rozpoczynając pracę nad gwiazdowym kodem należało zminimalizować wstępne założenia, ale nie można się było bez nich obejść. Jeśli były fałszywe, praca musiała pójść na marne. Jednym z takich założeń była dwójkowość kodu. Odpowiadała z grubsza zarejestrowanemu sygnałowi, lecz w to upostaciowanie miała też swój wkład sama technika zapisu. Nie zadowolając się sygnałem utrwalonym na taśmach, fizycy badali długo samą emisję neutrinową, która była „oryginałem”, gdy rejestrat na taśmach - tylko obrazem. Orzekli wreszcie, że kod można uznać za dwójkowy „z rozsądnym przybliżeniem”. Była w tym oświadczeniu apodyktyczność - nieunikniona. Kolejny problem polegał na ustaleniu, do jakiej kategorii sygnałów należy „list”.

Według naszej wiedzy mógł być albo „spisany” w jakimś języku sprawozdawczym, podobnym do naszego, operującym jednostkami znaczącymi, albo stanowić system sygnałów „modelujących” - w rodzaju telewizji, albo wreszcie „receptę produkcyjną”, czyli zestaw operacji potrzebnych dla wyprodukowania pewnego obiektu. Nareszcie mógł zawierać list opis takiego obiektu, więc pewnej „rzeczy”, w kodzie „akulturowym”, to znaczy takim, który odwołuje się wyłącznie do pewnych, dających się wykryć fizykalnie, niezmienników świata natury matematycznego typu. Odrębność tych czterech kategorii możliwych kodów nie jest całkowita. Obraz telewizyjny powstaje przez rzutowanie trójwymiarowych fenomenów na płaszczyznę, z rozdzielczością czasową, odpowiadającą mechanizmom fizjologicznym oka ludzkiego i mózgu. To, co my widzimy na ekranie, nie jest widzialne dla organizmów skądinąd wcale zaawansowanych w ewolucyjnym rozwoju, np. pies nie rozpoznaje w telewizorze (ani na fotografii) psa. Także granica pomiędzy „rzeczą” a „receptą produkcyjną” nie jest ostra. Komórka jajowa jest zarazem „rzeczą”, materialnym obiektem i „receptą

produkcyjną” ustroju, który się z niej rozwinie. Stosunki zachodzące więc pomiędzy nośnikiem informacji a nią samą mogą być niejednorodne i powikłane.

Znając tedy kruchość schematu klasyfikacyjnego, ale nie dysponując niczym lepszym, przystąpiono do prób eliminowania kolejnych jego wariantów. Względnie najłatwiejsze było sprawdzenie „hipotezy telewizyjnej”. W swoim czasie cieszyła się ona wielkim powodzeniem i była uznawana za najekonomiczniejszą. W rozmaitych kombinacjach próbowano więc zasilać kineskop telewizyjny sygnałem. Nie uzyskano ani śladu obrazów, cokolwiek przedstawiających człowiekowi, choć nie powstawał też, z drugiej strony, „kompletny chaos”. Na białym tle występowały powiększające się, rosnące, zlewające i niknące czarne plamy, przy czym całość sprawiała wrażenie „wrzenia”. Gdy sygnał wprowadzono tysiąc razy wolniej, obraz przypominał kolonie bakteryjne w stanie rozprzestrzeniania się, pochłaniania wzajemnego i rozpadu. Oko chwyciło pewien rytm i regularność procesu, jakkolwiek nic nie mówiącą.

Uruchomiono też badania kontrolne, wprowadzając do telewizora zapisy naturalnego szumu neutrinowego. Powstawał wtedy pozbawiony ośrodków kondensacji bezład trzepotania i migania, zlewający się w jednolitą szarość. Można było myśleć i o tym, że Nadawcy mają inną od naszej telewizję, nie optyczną, ale - na przykład węchową lub węchowo-dotykową. Lecz jeśli nawet byli zbudowani inaczej niż ludzie, nie ulegało wątpliwości, że górują nad nimi wiedzą, musieli więc dysponować także wiadomościami o tym, że nie wolno uzależniać szansy odbioru od tego, czy adresat jest fizjologią swą identyczny z nadawcą.

Tak więc i drugi wariant odrzucono. Pierwszy skazywał Projekt na niepowodzenie, bo, jak wspomniałem, bez słownika i składni nie można rozłamać naprawdę „obcego” języka. Pozostawały dwa ostatnie. Potraktowano je łącznie, ponieważ (i o tym mówiłem) rozróżnienie pomiędzy „rzeczą” a „procesem” jest względne. Aby sprawę obszerną przedstawić zwięźle - Projekt wystartował z tych właśnie pozycji, uzyskał pewne wyniki „materializując” niewielką część „listu”, a więc jak gdyby przekładając go skutecznie we fragmentach, lecz potem praca stanęła na martwym punkcie.

Zadanie, które mi postawiono, polegało na tym, aby wykryć, czy założenie (list jako „rzecz-proces”) jest prawdziwe. Nie wolno mi przy tym było odwoływać się do rezultatów zyskanych dzięki jego przyjęciu, bo byłby to błąd logiczny (błędne koło). Nie przez złośliwość tedy, lecz właśnie po to, abym się do problemu nie uprzedził stronnictwo, na początku przemilczano przede mną wszystkie osiągnięcia. Mogły bowiem stanowić - w pewnym sensie - wyniki „nieporozumienia”.

Nie wiedziałem nawet, czy matematycy Projektu brali się już do postawionego mi

zadania. Przypuszczałem, że próbowali, i znając ich fiasko, może bym sobie oszczędził zbędnych trudów, lecz Dill, Rappaport i Baloyne uznali, że najostrożniej będzie nic mi nie mówić.

Jednym słowem, wezwano mnie, abym ratował honor planety. Musiałem porządnie napiąć muskulaturę matematyczną i - chociaż nie bez tremy - cieszyłem się na to. Wyjaśnienia, rozmowy, sakramentalne wręczenie zapisu gwiazdowego zajęły pół dnia. „Wielka czwórka” odprowadziła mnie potem do hotelu, pilnując się wzajemnie, aby nikt nie zdradził przede mną żadnej z rzeczy, jakich nie wolno mi było na razie znać.

VI

Od wylądowania na dachu, poprzez wszystkie spotkania i rozmowy, nie opuszczało mnie wrażenie, że odgrywam rolę uczonego w raczej kiepskim filmie. Wrażenie to spotęgował jeszcze pokój, a raczej apartament, w którym mnie ulokowano. Nie pamiętam, czy miałem kiedyś do dyspozycji tak wiele niepotrzebnych rzeczy. W gabinecie stało biurko na miarę prezydenta, naprzeciw niego - dwa aparaty telewizyjne i radiowy. Fotel miał regulację do podnoszenia, obracania i kładzenia, pewno, aby można było na nim podczas walk umysłowych uciąć w przerwie drzemkę. Obok znajdował się wielki kształt pod białym pokrowcem. Wziąłem go zrazu za jakąś maszynę gimnastyczną albo konia na biegunach (nawet koń by mnie już nie zdziwił), ale był to zupełnie nowy, bardzo ładny arytmometr kriotronowy IBM, który rzeczywiście mi się przydał. Pragnąc dokładniej podłączyć człowieka do maszyny, inżynierowie IBM żądali od niego, by rachował także nogami. Maszyna miała kasownik pedałowaty i naciskając go zawsze odruchowo oczekiwałem, że pojedę ku ścianie, tak był ten pedał podobny do akceleratora. W ściennej szafie za biurkiem odkryłem dyktafon, maszynę do pisania, a takie mały bar, bardzo starannie wypełniony.

Lecz najosobliwszą rzeczą była biblioteka podręczna. Ten, kto ją kompletował, był zupełnie pewien, że książki są tym więcej warte, im więcej kosztują. Były więc encyklopedie, dzieła z historii matematyki i historii nauki - nawet o kosmogonii Majów. Panował tam idealny ład w obrębie grzbietów oraz opraw, jak również kompletny bezsens w drukowanej treści - przez cały rok nie skorzystałem ani razu z mojej biblioteki. W sypialni było także pięknie. Odkryłem w niej elektryczny termofor, apteczkę oraz miniaturowy aparat dla głuchych. Nie wiem do dziś, czy był to dowcip, czy nieporozumienie. Wszystko razem stanowiło skutek dokładnego wypełnienia rozkazu, który brzmiał: „stworzyć doskonałą kwaterę dla doskonałego matematyka”. Ujrawszy na stoliku obok łóżka Biblię, uspokoiłem się - naprawdę zadbano o mój komfort.

Księga, zawierająca kod gwiazdowy, którą mi wręczono uroczyście, nie była zbyt ciekawa - przynajmniej w pierwszej lekturze. Początek jej brzmiał: 0001101010001111100110111111001010010100. Reszta była podobna. Jedyna dodatkowa informacja głosiła, że jednostka kodowa liczy zapewne 9 elementarnych znaków (zerojedynkowych).

Zawładnąwszy nową siedzibą, wziąłem się do rozmyślań. Rozumowałem mniej więcej tak: Kultura to coś zarazem koniecznego i przypadkowego, jak wyściółka gniazda,

schronienie przed światem, mały przeciw-świat, na który ten wielki wyraża milczącą zgodę, zgodę obojętności, bo nie ma w nim odpowiedzi na pytania o dobro i zło, urodę i szpetotę, prawa i obyczaje. Język, wytwór kultury, jest jak szkielet gniazda, spaja wszystkie cząstki wyściółki i jednoczy je w kształt, który zamieszkującym gniazdo wydaje się konieczny. Jest odwołaniem do tożsamości istot zagnieżdżonych, mianownikiem ich wspólnoty, niezmiennikiem podobieństwa, więc ustaje tym samym tuż za brzegiem owej subtelnej konstrukcji.

Nadawcy musieli o tym wiedzieć. Spodziewano się - jako treści sygnału z gwiazd - matematyki. Wielką karierę zrobiły, jak wiadomo, sławetne trójkąty pitagorejskie, geometrią Euklidesa miały się przez próżnię pozdrawiać cywilizacje. Nadawcy wybrali inaczej - uważałem to za słuszne. Językiem etnicznym nie mogli się oderwać od swojej planety - bo każdy język jest przygwożdżony do lokalnego podłoża. Matematyka znów jest oderwaniem nazbyt dokładnym. Jest rozerwaniem więzów nie tylko lokalnych, ograniczeń, które stały się wzorcami upadków i cnót, jest rezultatem poszukiwań takiej wolności, która wyzbywa się wszelkich dotykalnych sprawdzianów. Działaniem budowniczych, pragnących, aby świat nigdy i w niczym nie mógł zakłócić ich dzieła, toteż nie można powiedzieć matematyką o świecie nic - czystą nazywa się dlatego właśnie, bo jest oczyszczona z materialnych nalotów i to doskonale oczyszczenie jest jej nieśmiertelnością. Ale właśnie przez to jest dowolna, jako rodzicielka możliwych, byle niesprzecznych światów. Spośród nieskończonego mnóstwa możliwych matematyk wybraliśmy jedną, przesądziła o tym nasza historia swoimi perypetiami jednorazowymi i nieodwracalnymi.

Matematyką można zasygnalizować tylko, że się Jest, że się Istnieje. Jeżeli chce się działać na odległość bardziej efektywnie, przesłanie recepty produkcyjnej staje się nieuchronne. Ale recepta taka zakłada technologię, a technologia jest stanem ulotnym, przemijającym, przejściem od jednych surowców i sposobów do innych. A więc opis „rzeczy”? Ale i rzecz można opisać na nieskończoną ilość sposobów. To był impas.

Jedna sprawa nie dawała mi spokoju. Gwiazdowy kod nadawano w sposób ciągły, bezustannymi powtórzeniami, i to było niezrozumiałe, utrudniało bowiem rozpoznanie sygnału jako sygnału właśnie. Nieszczęsny Laserowitz nie ze wszystkim był obłąkany: strefy periodycznego milczenia wydawały się doprawdy potrzebne, więcej, konieczne - jako wskazanie sztuczności sygnału. Strefy ciszy zwróciłyby uwagę każdego obserwatora. Dlaczego więc tak nie postąpiono? Nie mogłem oderwać się od tego pytania. Próbowałem je odwrócić - brak przerw wydawał się brakiem informacji wskazującej rozumne pochodzenie emisji. A jeżeli to była właśnie informacja dodatkowa? Co mogła znaczyć? To, że „początek”

i „koniec” komunikatu są nieistotne. Że można go odczytać zaczynając od dowolnego miejsca.

Koncepcja ta zafascynowała mnie. Rozumiałem teraz dobrze, czemu moi przyjaciele tak się pilnowali, by nie powiedzieć mi nic o sposobach, jakimi zaatakowali „list”. Zgodnie z ich planem, byłem całkowicie nie uprzedzony. Zarazem podjąć musiałem, aby tak rzec, walkę na dwa naraz fronty: wprowadzić głównym „przeciwnikiem”, którego motywy usiłowałem odgadnąć, był nieznany nadawca, zarazem jednak nie mogłem na każdym etapie rozumowania - nie myśleć równocześnie i o tym, czy matematycy Projektu szli tą samą drogą, co ja? O ich pracy wiedziałem jedno tylko, że nie dała definitywnego rezultatu, nie tylko w tym sensie, że nie rozszyfrowali do końca „listu”, ale i tym, iż nie byli pewni, a więc nie udowodnili, że „list” jest takim rodzajem kategoryalnym wiadomości, jaki założono: „rzeczą-procesem”.

Nie inaczej niż moi poprzednicy, uważałem, że kod jest nazbyt lakoniczny. Mógł przecież zostać zaopatrzony w część wstępną, ukazującą prostymi relacjami, jak trzeba go odczytać. Tak się to przynajmniej wydawało. Jednakowoż lakoniczność kodu nie jest jego własnością obiektywną, lecz zależy od rozmiarów wiedzy odbiorcy, a ściślej - od różnicy wiedzy posiadanej przez nadawcę i odbiorcę. Tę samą informację uzna jeden odbiorca za wystarczającą, a inny za zbyt „lakoniczną”. Każdy najprostszy obiekt zawiera nieskończoną potencjalnie ilość informacji. Jakkolwiek więc uszczegółowimy przesłany opis, zawsze będzie dla jednych - nazbyt dokładny, a dla innych - fragmentaryczny. Trudności, jakie napotkaliśmy, wskazywały, że nadawca zwracał się do odbiorców prawdopodobnie bardziej zaawansowanych aniżeli ludzie w danym momencie historycznym.

Oderwana od przedmiotu informacja nie tylko jest niezupełna. Stanowi zawsze jakiś rodzaj uogólnienia. Tego, do czego się odnosi, nigdy nie wyznacza z całkowitą dokładnością. Na co dzień jesteśmy odmiennego zdania. Wynika to stąd, że owa nieostrość wyznaczania obiektów przez informację jest w życiu potocznym bardzo nikła. Podobnie bywa i w nauce. Jakkolwiek wiemy już, że prędkości nie dodają się arytmetycznie, nie stosujemy relatywistycznej poprawki, gdy dodajemy do siebie chyżość statku i auta jadącego po jego pokładzie. Poprawka jest bowiem, dla szybkości dalekich od świetlnej, tak nikła, że pozbawiona znaczenia. Otóż istnieje też informacyjny odpowiednik tego relatywistycznego efektu: pojęcie „życia” jest praktycznie tożsame dla dwu biologów, z których jeden żyje na Hawajach, a drugi w Norwegii. Jednakże olbrzymi rozziw międzywilizacyjny sprawił, że pozorna tożsamość mnóstwa pojęć musiała ulec rozchwianiu. Zapewne, gdyby Nadawcy posługiwali się, jako wskazanymi obiektami, zbiorem ciał niebieskich, nie byłoby tego

kłopotu. Ale jeśli wskazywali na atomy? Atomy jako „rzeczy” w znacznym stopniu zależą od wiedzy o nich. Osiemdziesiąt lat temu atom był „bardzo podobny” do maleńkiego systemu słonecznego. Dzisiaj nie jest już do niego podobny.

Powiedzmy, że przesyłają nam sześciokąt. Można go uznać za plan molekuly chemicznej albo plastra pszczelego, albo budynku. Tej geometrycznej informacji może odpowiadać nieskończona ilość przedmiotów. Ustalić, o co chodziło Nadawcy, można dopiero określwszy dokładnie materialny budulec. Jeśli, jak w przykładzie, elementem ma być cegła, klasę rozwiązań to wprawdzie zmniejszy, ale nadal będzie ona zbiorem mocy nieskończonej, bo można wszak wybudować nieskończenie wiele budowli sześciokątnych. Przesłany plan należałoby wyposażyć w dokładne wymiary. Istnieje jednak budulec, którego cegiełki same określają właściwe wymiary. Są to atomy właśnie. Przy ich łączeniu nie można ich dowolnie zbliżać lub rozsuwać. Dlatego mając przed sobą tylko sześciokąt, uważałbym, że Nadawcy chodziło o molekulę związku chemicznego, zbudowanego z sześciu atomów albo grup atomowych. Taka konstatacja bardzo poważnie ogranicza pole dalszych poszukiwań.

Załóżmy, powiedziałem sobie, że „list” jest opisem rzeczy, i to na poziomie molekularnym. Kwintesencją wstępnego namysłu było uznanie „treści” listu za pozbawioną początku i końca, a zatem za kołową. Mogła to być „kołowa rzecz” lub taki sam proces. Różnica między jednym a drugim, jak się powiedziało, zależy po części od skali postrzegania. Gdybyśmy żyli bilion razy wolniej i o tyleż dłużej, gdyby sekunda odpowiadała w owym wyobrażeniu całemu stuleciu, zapewne uznalibyśmy kontynenty globu za procesy, ujrzawszy naocznie, jak bardzo są zmienne: poruszałyby się bowiem przed nami nie gorzej aniżeli wodospady czy morskie prądy. A gdybyśmy znów żyli bilion razy szybciej, uznalibyśmy wodospad za rzecz - gdyż przedstawiałby się nam jako coś wysoce nieruchomego i niezmiennego. Rozróżnieniem pomiędzy „rzeczą” a „procesem” nie trzeba się więc było kłopotać. Chodziło już tylko o to, by udowodnić, a nie tylko domyślać się, że „list” jest „kołem”, podobnie jak „kołem” jest wzór molekularny benzenu. Jeżeli nie chcę przesłać wizerunku tej molekuly na płaszczyźnie i pragnę go przekodować w postać liniową, w szereg następujących po sobie sygnałów, miejsce pierścienia benzenu, od którego rozpocznę opis, nie ma żadnego znaczenia. Każde jest tak samo dobre.

Z tych to pozycji ruszyłem do przełożenia problemu na język matematyki. Tego, co zrobiłem, nie potrafię wyraźnie przedstawić, ponieważ potoczny język nie ma odpowiednich pojęć ani słów. Mogę tylko wyjawić ogólnie, że badałem czysto formalne własności „listu” jako obiektu matematycznie interpretowanego, na cechy, które są ośrodkiem zainteresowania algebry topologicznej i algebry grup. Posługiwałem się przy tym transformacją grup

przekształceń, która daje tak zwane infragrupy albo grupy Hogartha (nazwano je w ten sposób, ponieważ to ja je odkryłem). Gdybym otrzymał w wyniku strukturę „otwartą”, o niczym by to jeszcze nie świadczyło, bo mogłem po prostu wprowadzić w moją pracę błąd spowodowany fałszywym założeniem (takim założeniem mogło być np. twierdzenie o ilości znaków kodowych w jednym „wyrazie” listu). Lecz stało się inaczej. „List” zamknął mi się pięknie, jak odgraniczony od reszty świata przedmiot albo jak kołowy proces (mówiąc ściślej, jak OPIS, jak MODEL takiej rzeczy).

Przez trzy dni układałem program dla maszyn cyfrowych, które rozwiązały zadanie w czwartym. Rezultat powiadał, że „coś się jakoś zamyka”. Owym „czymś” był „list” - w całokształcie wzajemnych relacji swoich znaków, a w kwestii, „jak” do zamknięcia dochodzi, mogłem snuć tylko pewne domysły, ponieważ dowód mój był pośredni. Wykazał to tylko, iż „opisana rzecz” NIE jest „topologicznie otwarta”. Ujednoznacznienie „sposobu zamknięcia” za pomocą użytych środków matematycznych nie mogłem; zadanie takie było o kilka rzędów trudności cięższe od tego, jakie potrafiłem pokonać. Dowód był więc bardzo ogólny czy aż - ogólnikowy. Nie każdy jednak tekst wykazałby podobne własności. Na przykład partytura symfonii albo przekodowany liniowo obraz telewizyjny, lub zwykły tekst językowy (opowieść, traktat filozoficzny) nie zamykają się w taki sposób. Natomiast zamknąłby się opis bryły geometrycznej lub przedmiotu tak złożonego, jak genotyp bądź żywy organizm. Co prawda genotyp zamyka się inaczej niż bryła; jednakże wdając się bardziej szczegółowo, w rozważanie takich różnic raczej wprawię czytelnika w pomieszenie, aniżeli zdołam wyjaśnić, co właściwie zrobiłem z „listem”.

Muszą tylko podkreślić, że od wtargnięcia w jego „sens”, a mówiąc jeszcze bardziej potocznie, w to, o co tam „chodziło”, pozostałem tak daleko, jak przed wykonaniem tej pracy. Z nieprzeliczalnej liczby cech „listu” poznałem, i to pośrednio tylko, jedną, odnoszącą się do pewnej generalnej własności jego całościowej struktury. Ponieważ udało mi się tak dobrze, usiłowałem później zaatakować owo „drugie zadanie” - ujednoznacznienia struktury w jej „zamknięciu”, lecz podczas pracy w Projekcie nie dobiłem się żadnych wyników. Trzy lata później, już poza Projektem, ponowiłem wysiłki, ponieważ problem ten chodził za mną jak zmora; osiągnąłem tyle, że dowiodłem, iż przy użyciu aparatu algebry topologicznej i transformacyjnej zadania tego rozwiązać NIE można. Tego, naturalnie, biorąc się do rzeczy, nie mogłem wiedzieć. W każdym razie dostarczyłem poważnego argumentu na rzecz twierdzenia, że naprawdę otrzymaliśmy z Kosmosu coś takiego, czemu, ze względu na stopień zwartości, zogniskowania, spójności, dających „zamknięcie”, można przypisać cechy „obiektu” (to jest opisu obiektu, bo posługuję się tu skrótem).

Przedstawiałem pracę nie bez niepokoju. Okazało się jednak, że zrobiłem coś, o czym nikt nie pomyślał, a stało się tak, bo już podczas wstępnych dyskusji zwyciężyła koncepcja, że list musi być algorytmem (w sensie matematycznym), więc pewną funkcją ogólnorekurencyjną, i poszukiwaniem wartości tej funkcji udławiono wszystkie maszyny cyfrowe. Było to o tyle rozropne, że jeśliby się tylko zadanie udało rozwiązać, przyniosłoby już informację, jak drogowskaz kierującą ku dalszym etapom przekładowej pracy. Lecz rząd złożoności „listu” jako algorytmu był taki, że zadania nie rozwiązano. Natomiast „kołowość” listu spostrzeżono wprawdzie, lecz uznano za niezbyt istotną, bo nie obiecywała - w owej wstępnej epoce wielkich nadziei - szybkich, a zarazem znacznych sukcesów. Potem zaś już tak wszyscy ugrzęźli w ujęciu algorytmicznym, że nie mogli się od niego wyzwolić.

Można byłoby sądzić, że odniosłem na samym początku niemałe zwycięstwo. Udowodniłem, że list jest opisem zjawiska kołowego, a ponieważ wszystkie badania empiryczne szły w tym właśnie kierunku, obdarzyłem je niejako błogosławieństwem dowodu matematycznego, gwarantującego, że trop jest dobry. Zjednoczyłem tym skłóconych, albowiem między informacjonistami-matematykami a praktykami panował coraz większy rozbrat, który wreszcie skulminował w odwołaniu się antagonistów do mnie. Przyszłość miała wykazać, jak niewiele zdziałiałem - wychodząc obronną ręką ze starcia z jednym tylko, ziemskim współzawodnikiem.

VII

Jeśli zapytacie przyrodnika, z czym kojarzy mu się pojęcie kołowego procesu, odpowie najpewniej, że z życiem. Domniemanie, jakoby przysłano nam opis czegoś żywego, co będziemy mogli zrekonstruować, wydawało się zarazem szokujące - i pociągające. Przez dwa miesiące po opisanych wypadkach przebywałem w Projekcie jako uczeń, studiując po kolei to, czego w ciągu roku dokonały wszystkie grupy operacyjne, zwane też „zespołami uderzeniowymi”. Mieliśmy ich sporo - biochemii, biofizyki, fizyki ciała stałego, połączonych potem częściowo (struktura organizacyjna Projektu w trakcie jego istnienia komplikowała się coraz bardziej i niektórzy powiadali, że już jest bardziej złożona od samego „listu”) w laboratorium syntez.

Pion teoretyczny, obejmujący informacjonistów, lingwistów, matematyków i fizyków-teoretyków, działał niezależnie od tamtego. Wszelkie zdobycze badań konfrontowane były na poziomie najwyższym - Rady Naukowej, gdzie zasiadali koordynatorzy grup oraz „Wielka Czwórka”, która stała się „Piątką” po moim przybyciu.

Projekt miał dwa, gdy się pojawiłem, konkretne osiągnięcia materialne, które były właściwie jednym i tym samym, niezależnie powtórzonym w zespołach biofizyki i biochemii. Tu i tam wytworzono - najpierw na papierze, a raczej w pamięci maszynowej - substancję „wyczytaną” z listu, którą nazwano - przez ową autarkię, dwa razy - „Żabim Skrzekiem” i „Panem Much”.

Jakkolwiek dublowanie wysiłków mogło się wydawać marnotrawstwem, miało swoją dobrą stronę - bo jeśli dwu ludzi, nie porozumiewając się, analogicznie przetłumaczy zagadkowy tekst, można sądzić, że naprawdę dotarli do jego „niezmienników”, że to, co uzyskali, jest w nim zawarte obiektywnie i nie stanowi wyniku ich uprzedzeń. Co prawda i taka konstatacja może być uznana za dyskusyjną. Dla dwu mahometan te same niewielkie „kawałki” Ewangelii są „prawdziwe” - w odróżnieniu od całej reszty. Jeśli przedprogramowanie ludzi jest identyczne, zbieżne mogą być rezultaty ich poszukiwań, choćby się i nie komunikowali. Gdyż osiągnięciom stawia granice - w danej epoce historycznej - poziom ogólny wiedzy. Dlatego na przykład tak podobne były atomistyczne a niezawisłe rozwiązania uzyskiwane przez fizyków Wschodu i Zachodu, dlatego nie mogli jedni odkryć zasady lasera tak, aby pozostała drugim nie znana. Zbieżności nie wolno więc w jej poznawczym sensie przeceniać.

Żabi Skrzek - taką nazwę nosił u biochemików - stanowił substancję półpłynną, w

jednych, galaretowatą w innych warunkach; w temperaturze pokojowej, pod normalnym ciśnieniem i w niezbyt wielkiej ilości, przedstawiał się jako lśniąca, kleista ciecz, przypominająca rzeczywiście okryte śluzową otoczką jaja żabie, skąd właśnie poszła nazwa. Biofizycy wyprodukowali od razu około hektolitra tej pseudoplazmy, która zachowując się - w bezpowietrznym pojemniku - odmiennie od Żabiego Skrzeku, w związku z pewnym dziwnym efektem ochrzczona została mianem bardziej demonicznym.

W budowie tego tworu znaczną rolę grał węgiel, ale również krzem i ciężkie pierwiastki, praktycznie w ziemskich organizmach nieobecne. Reagował on na pewne bodźce, wytwarzał energię, bo ją rozsiewał w postaci ciepła, ale nie znał przemiany materii - w rozumieniu biologicznym. Wydało się zrazu, że jest to - niemożliwe, a przecież urzeczywistnione - perpetuum mobile, w postaci co prawda koloidu, a nie „maszyny”. Jako zamach na uświęcone prawa termodynamiki został poddany bardzo srogim badaniom. W końcu nukleonicy doszli tego, że energię podtrzymującą jego stan - rodzaj „cyrkowej sztuczki”, akrobatycznego popisu nietrwałych w odosobnieniu gigantycznych molekuł - czerpie z reakcji jądrowych „zimnego typu”. Inicjował je, osiągnąwszy pewną masę, zwaną krytyczną, istotna była przy tym nie tylko ilość substancji, ale i jej konfiguracja.

Owe reakcje było trudno wykryć, ponieważ całą energię, jaka się w nich wydzielala, zarówno promienistą, jak kinetyczną odłamków jądrowych, pochłaniał bez reszty i obracał „na własne potrzeby”. Dla specjalistów rewelacja okazała się wręcz wstrząsająca. W gruncie rzeczy jądra atomowe są wewnątrz każdego organizmu ziemskiego „ciałami obcymi” czy neutralnymi przynajmniej. Proces życiowy nigdy nie dociera do zawartych w nich możliwości energetycznych nie umie wykorzystać olbrzymich, zmagazynowanych w nich mocy - atomy są w tkance właściwie tylko powłokami elektronowymi, bo one jedynie uczestniczą w biologicznych (chemicznych) reakcjach. Stąd też atomy radioaktywne, które dostają się do ustroju, „zawleczone” tam wodą, pokarmem czy powietrzem, pełnią w nim rolę intruzów, „zamaskowanych” tylko zewnętrznym (to jest powłok elektronowych) podobieństwem, dzięki któremu „udają” przed niezdolną do takich rozróżnień żywą tkanką - zwykłą, normalną, czyli niepromieniotwórcze cząsteczki. Każdy ich „wybuch”, każdy rodzaj rozpadu jądrowego takiego nieproszonego gościa stanowi dla żywej komórki mikroskopijną katastrofę - zawsze szkodliwą, jakkolwiek w nikłym stopniu.

Tymczasem Żabi Skrzek nie mógł się bez takich procesów obejść, one były jego pokarmem i powietrzem, bo innych źródeł energii nie potrzebował, a nawet nie mógł z nich korzystać. Żabi Skrzek stał się fundamentem gmachu hipotez, istnej ich wieży Babel, niestety, bo tak się między sobą różniły. Według najprostszych hipotez stanowił Żabi Skrzek

protoplazmę, z której zbudowani są nadawcy gwiazdowego kodu. Dla wyprodukowania go spożytkowano, jak zaznaczyłem, tylko drobną część - zapewne nie przekraczającą 3-4% - całej kodowej informacji, tę, którą udało się „przełożyć” na operacje syntezy. Zwolennicy pierwszego poglądu sądzili, że cały kod jest opisem jednego Nadawcy i gdyby udało się go w całości zrealizować, stanąłby przed nami żywy i rozumny osobnik, pochodzący z galaktycznej cywilizacji, przetelegrafowany do ziemskich odbiorników strumieniem neutrinowej emisji.

Zgodnie z innymi, zbliżonymi przypuszczeniami przesłano nie tyle „rysopis atomowy” dojrzałego organizmu z gwiazd, ile rodzaj zarodka, jaja zdolnego do rozwoju czy też płodu. Mógł to być też płód odpowiednio zaprogramowany dziedzicznie i gdyby zmaterializowano go na Ziemi, mógłby okazać się dla ludzi równie kompetentnym partnerem, co ów osobnik dojrzały z pierwszego wariantu.

Nie brakowało podejść radykalnie odmiennych. Według innej ich grupy czy też rodziny (bo hipotezy każdego kręgu łączyło swoiste pokrewieństwo) kod opisuje nie „osobę” jakąś, lecz „maszynę informacyjną”, więc rodzaj narzędzia, a nie przedstawiciela rasy, co go wysłała. Jedni rozumieli przez taką maszyną coś w rodzaju zbudowanej z Żabiego Skrzeku biblioteki czy też „plazmatycznego pojemnika pamięciowego”, może zresztą zdolnego komunikować zawarte w sobie treści, a nawet „prowadzić dyskusje” na ich temat. Inni - raczej „plazmatyczny mózg” analogowy, cyfrowy bądź mieszanego typu, który nie będzie mógł udzielać odpowiedzi na pytania dotyczące Nadawców, ale który stanowi niejako „technologiczny podarek”, kod zaś jest aktem wręczenia - poprzez próżnię - jednej cywilizacji przez inną jej najdoskonalszego instrumentu do przekształcania informacji.

Te hipotezy wszystkie miały z kolei swoje wersje „czarne” czy też „demoniczne”, biorące się, jak powiadali niektórzy, z nadmiernego zaczytywania się w książkach Science Fiction. To, co przysłano, czy miał to być „osobnik”, „płód” czy „maszyna”, miało, według nich, po zmaterializowaniu dążyć do opanowania Ziemią. I znów biegł wewnątrz tego segmentu „wierzeń” podział - bo jedni stronnicy teorii „opanowania Ziemi” sądzili, że chodzi o zaplanowany w Galaktyce „akt inwazji”, inni natomiast - że właśnie „życzliwości kosmicznej”, ponieważ takim to sposobem wysokie cywilizacje podejmują się dokonania „akuszerijnego zabiegu” względem innych - ułatwiając narodziny „doskonalszej” struktury społecznej, w lokalnym, a nie w Nadawców interesie.

Wszystkie owe hipotezy (było ich więcej jeszcze) nie tylko miałem za fałszywe, ale i za nonsensowne. Uważałem, że gwiazdowy kod nie określa ani „plazmatycznego mózgu”, ani „maszyny informacyjnej”, ani „organizmu”, ani „zarodka”, ponieważ wyznaczony przezeń obiekt w ogóle nie figuruje w kategoriach naszych pojęć, że to jest plan kościoła przesłany

australopitekom, biblioteka udostępniona neandertalczykowi. Uważałem, że kod nie był przeznaczony dla cywilizacji stojącej na tak niskim szczeblu rozwoju jak nasza, i że nie zdołamy przez to niczego z nim sensownie począć.

Nazywano mnie za to nihilistą, a Wilhelm Eeney donosił swym mocodawcom, że sabotuję Projekt - o czym dowiedziałem się mimo nieposiadania własnej sieci podsłuchowej.

Pracowałem już miesiąc niemal nad Głosem Pana, kiedy ukazał się nam w całkiem nowym świetle dzięki pracom zespołu biologów. Mieliśmy w Projekcie tak zwaną Księgę Małego Psa, do której każdy mógł wpisywać swoje postulaty, krytykę cudzych hipotez, projekty własne, pomysły albo i wyniki badań. Rezultat biologów zajął w niej poczesne, kto wie, czy nie centralne miejsce. To Romney wpadł na myśl przeprowadzenia doświadczeń zupełnie odmiennego charakteru od tych, jakie absorbowały jego kolegów. Romney był (prócz Rainhorna) jednym z nielicznych w Projekcie uczonych starszej generacji. Kto nie czytał jego „Powstania Człowieka”, ten nic o ewolucji nie wie. Poszukiwał przyczyn rozumu - i odnajdywał je w owych zbiegach trafów, które, neutralne w zdarzaniu się, nabierają potem, w świetle wstecz skierowanej refleksji, szyderczych znaczeń, skoro kanibalizm okazuje się sojusznikiem umysłowego rozwoju, lodowcowe zagrożenie - przesłanką prakultury, ogryzanie kości - natchnieniem powstania narzędzi, a przejęte jeszcze od ryb i gadów zespolenie narządów rozrodczych z wydalniczymi - szkieletem topograficznym nie tylko erotyki, ale i metafizyk oscylujących pomiędzy skalaniem i anielstwem. Wydobył z zygzaków ewolucji całą jej świetność i nędzę, demonstrując, jak serie losowe stają się w odchyleniach prawem natury. Książka ta najbardziej jednak zdumiewa przenikającym ją duchem współczucia - nigdzie *expressis verbis* nie wyrażonego.

Nie wiem, jak Romney wpadł na swój wielki pomysł. Na pytania odpowiadał tylko mruknięciami. Zespół jego, zamiast „listem” utrwalonym na taśmach, zajmował się „oryginałem” - to jest samą nieustannie z nieba płynącą emisją neutrinową. Przypuszczam, że Romney zastanawiał się nad tym, dlaczego właśnie potok neutrinowy obrany został przez Nadawców za nośnik informacji. Jak o tym mówiłem, istnieje emisja neutrinowa niebios naturalna - pochodząca z gwiazd. Ta, która dzięki odpowiedniej modulacji niesie „list”, stanowi tylko wąziutkie pasmo owej całości. Romney musiał rozważać to, czy pasmo (odpowiadające pojęciu „długości fali” w radiotechnice) wybrane zostało przez Nadawców przypadkowo, czy też za tą decyzją stały jakieś racje specjalne. Zaplanował więc serię doświadczeń, w których niezliczone substancje poddawano raz - działaniu zwykłego promieniowania neutrinowego gwiazd, a raz - emisyjnego strumienia „listu”. Mógł to robić, ponieważ przezorny Baloyne, sięgając głęboko do szkatuły rządowej, zaopatrzył Projekt w

zestaw inwertorów neutrinowych o wysokiej rozdzielczości. Ponadto promieniowanie spadające z nieba wzmacniano kilkaset milionów razy. Fizycy zbudowali odpowiednie po temu amplifikatory.

Neutrino są najprzenikliwszymi z elementarnych cząstek. Wszystkie, a zwłaszcza niskoenergetyczne, mogą przesywać tak dobrze przestwory galaktyczne, jak niezliczone ciała materialne, planety, gwiazdy, bo materia jest dla nich nieporównanie bardziej przezroczysta niż szkło dla światła. Na dobrą sprawę doświadczenia nie powinny były dać godnego uwagi rezultatu. Stało się jednak inaczej.

W komorach, umieszczonych na głębokości czterdziestu metrów (było to bardzo płytko jak na doświadczenia z neutrinami) stały mamutowe wzmacniacze podłączone do inwertorów. Coraz mocniej koncentrowany strumyk neutrinowy, bijący z metalowego trzpienia grubości ołówka, trafiał rozmaite ciała płynne, stałe, gazowe, które ustawiono na jego drodze. Pierwsza seria eksperymentów, w których napromieniowano tym sposobem najróżniejsze substancje emisją niebios naturalną, nie dała, zgodnie z oczekiwaniami, żadnych ciekawych wyników.

Natomiast neutrinowa wiązka, która stanowiła nośnik „listu”, objawiła zdumiewającą własność. Z dwóch grup wysokomolekularnych roztworów bardziej trwała chemicznie okazała się ta, którą poddano napromieniowaniu. Zaznaczam, że zwyczajny „szum” neutrinowy nie posiadał takiego działania. Miał je tylko potok zmodulowany przez informację. Było tak, jakby jego neutrino, przenikające wszystko niezwykłym deszczem, wchodziły przecież w jakieś - dla nas niepochwytne i nieznanne - stosunki z drobinami koloidu i przez to uniewrażliwiały go na działania czynników powodujących normalnie rozkład ich wielkich molekuł, prucie się i pęknięcie w szwach więzi chemicznej. Jak gdyby ta neutrinowa emisja „faworyzowała” wielkie molekule specjalnego rodzaju, jakby sprzyjała powstawaniu, w ośrodku wodnym, w miarę przepojonym specyficznymi substancjami - tych atomowych konfiguracji, które stanowią kościec chemiczny *życia*.

Neutrinowy strumień, którym przybywał do nas „list”, był zbyt rozrzedzony, żeby podobny efekt dało się wykryć bezpośrednio. Dopiero wielosetmilionowe jego zagęszczenie pozwoliło ujrzeć ten efekt - w roztworach napromieniowywanych całymi tygodniami. Lecz nasuwał się stąd wniosek, że także emisja nie wzmocniona ma tę samą „przychylną życiu” własność, a tylko przejawia ją w okresach liczonych nie na tygodnie, ale na setki tysięcy, a raczej - na miliony lat. Już w pozahistorycznej przeszłości ten opad wszechprzenikliwy powiększał, jakkolwiek w ułamkowy sposób, szanse powstania życia w oceanach, ponieważ pewne typy dużych cząsteczek otaczał jakby pancerzem niewidzialnym, uodporniając je na

chaotyczny obstrzał brownowskich ruchów. Gwiazdowy sygnał nie stwarzał sam życia, lecz tylko wspomagał je, w jego najwcześniejszej, najbardziej elementarnej fazie, skoro temu, co raz się połączyło, utrudniał rozkład.

Moeller, fizyk i współpracownik Romneya, pokazując mi wyniki tych doświadczeń, posłużył się porównaniem Nadawców do śpiewaka, który potrafi tak zaśpiewać w trzymaną przed ustami szklanę, że pięknie ona pod wpływem powstającego rezonansu drgań głosowych. To, o czym śpiewa ów człowiek, nie ma zapewne żadnego powiązania z takim skutkiem śpiewu; i podobnie, krój, kolor, spoistość papieru, na jakim napisano do nas list, nie musi się żadnym konkretnym sposobem odnosić do jego treści. Ale równie dobrze może zachodzić taki związek informacji właściwej i jej materialnego nośnika, kiedy bowiem otrzymujemy niewielki, błękitny, przepojony subtelnymi perfumami liścik od kobiety, raczej nie spodziewamy się znaleźć w nim steku przekleństw albo schematu sieci kanalizacyjnej miasta. O tym, czy związek może zachodzić, jak i o tym, czy posiada on jakieś specjalne znaczenie, decyduje zazwyczaj kultura jako miejsce, w którym zachodzi nawiązanie łączności. Efekt Romneya-Moellera stanowił jedno z naszych największych osiągnięć, a zarazem, jak to zwykle działo się w Projekcie, jedną z najbardziej osobliwych tajemnic, które przysparzały badaczom bezsennych nocy. Liczba hipotez, co wytrysły na tym miejscu, nie ustępowała wcale ich odpowiednikom oplatającym, jak winorośl, substancję „wyprowadzoną” z właściwej informacji, to jest z treści gwiazdowego przesłania - jaką był Żabi Skrzek. Czy pomiędzy owym „śluzem nuklearnym” a „biosympatią” neutrinowego kodu zachodzi związek, a jeśli tak, co on znaczy - oto były pytania!

VIII

Inicjatorami wciągnięcia mnie do Projektu byli Baloyne, Bear i Prothero. Jak zorientowałem się w ciągu pierwszych tygodni, zadanie, jakie mi postawiono na początku, zwieńczone sukcesem, którego się spodziewano, nie stanowiło głównej przyczyny dokooptowania mnie do Rady Naukowej. Specjalistów, i to najlepszych, miał Projekt dosyć; sęk był w tym, że nie dysponował właściwymi, ponieważ takich na świecie nie było. Ja, który już tyle razy sprzeniewierzałem się czystości matematyki, przenosząc się z jednej dyscypliny do drugiej, w obszarze sporym, bo rozciągającym się od kosmogonii po etologię, nie tylko liznałem przy tym różnorodnych wiadomości, nie to było najważniejsze, ale przywykłem w trakcie ponawianych przenosin do obrazoburczego postępowania.

Jako przybyszowi z zewnątrz, nie przywiązanemu serdecznie do świętych i uświęconych spraw terenu, w który wkraczałem, najłatwiej przychodziło mi kwestionowanie tego, na co innym, zasiedziały w danej nauce, nie podnosiła się ręka. Toteż częściej niż budować zdarzało mi się burzyć zastany porządek, owoc kontynuowanych z zaparciem trudów. Właśnie takiego człowieka życzyli sobie kierownicy Projektu. Większość ludzi w jego zespołach - przyrodznawcy zwłaszcza - gotowa była kontynuować dotychczasowe prace, nie bardzo zważając na to, czy będą się układały w jednolitą całość, odpowiadającą owemu molochowi informacyjnemu przybyłemu z gwiazd, który zrodził bezlik interesujących zagadnień szczegółowych i prowadził realnie - dałem tego przykłady - ku znacznym odkryciom.

Zarazem jednak czołówka, owa Wielka Czwórka, poczyniała, może nie całkiem jasno jeszcze, pojmować, że rozpoczyna się już takie badanie drzew, spoza którego ginie, coraz trudniej uchwytne, obraz lasu; że rutyna, porządnie już wyważona i wcale sprawna w swym biegu systematycznych działań, może pochłonąć sam Projekt, rozpuścić go w morzu pojedynczych faktów i przyczynków, a tym samym utracona zostanie szansa ogarnięcia tego, co zaszło. Ziemia otrzymała sygnał z gwiazd, wiadomość tak pełną treści, że wydziobanymi z niej okruszynami mogły się żywić niezłożone zespoły badawcze przez całe lata, a jednocześnie sama owa wiadomość rozplywała się w mgławicę, której niepojętość, przesłaniana mrowiem małych osiągnięć, stawała się coraz mniej drażniąca. Może działały po prostu obronne mechanizmy psychiczne, może nawyki ludzi wdrożonych do tego, aby docierać do prawidłowości zjawisk, a nie do zadawania pytań o przyczyny, które te właśnie, a nie inne prawidłowości wcieliły w świat.

Na takie pytania odpowiedzi miała tradycyjnie udzielać filozofia, religia, ale nie przyrodnicy - uczeni, którzy odcinają się od pokus pojmowania motywów stojących za kreacją. Ale tu było całkiem inaczej: dyskredytowana w historycznym rozwoju nauk empirycznych postawa odgadywacza motywów stawała się ostatnią, rokującą jeszcze nadzieję zwycięstwa. Zapewne, przypisywanie człekokształtnych motywów temu, co sprawiło własności atomów, nadal było objęte metodologicznym zakazem, lecz jakies - niechby najodleglejsze - podobieństwo Nadawców kodu do jego odbiorców było czymś więcej niż myśl uspokajającą mrzonką, bo hipotezą, na której ostrzu ważyły się losy całego Projektu. I o tym byłem przekonany od pierwszej chwili, kiedy postawiłem nogę na terenie osiedla MAVO - że brak wszelkiego podobieństwa udaremni zrozumienie gwiazdowego przesłania.

Żadnemu z przypuszczeń o naturze wiadomości nie ufałem ani przez chwilę. Prztelegrafowany osobnik, plan „wielkiego mózgu”, plazmatycznej „maszyny informacyjnej”, syntetycznego „władcy”, który miał Ziemię opanować - wszystko to były zapożyczenia z tego ubożego arsenału konceptów, jakimi dysponowała cywilizacja w jej obiegowej wersji technologicznej. Były te koncepcje odzwierciedleniem, podobnie jak tematy powieści fantastycznych, życia społecznego, i to przede wszystkim w jego amerykańskiej postaci, której eksport poza granice Stanów powiódł się w połowie stulecia. Były to albo modne nowinki, albo wyobrażenia zbudowane na zasadzie gry „my ich albo oni nas” - i nigdy płaskość fantazjowania, jego przykucie do Ziemi w wąskiej szczelinie historycznego czasu nie objawiały mi się jawniej, niż kiedy słyszałem o tych hipotezach, pozornie śmiałych, a w gruncie rzeczy zasmucająco naiwnych.

W czasie dyskusji u głównego informacjonisty Projektu, doktora Mackensie, kiedy udało mi się - wywracaniem takich pomysłów - rozdrażnić obecnych, jeden z młodszych współpracowników Mackensiego spytał, czym sygnał jest według mego zdania, bo z energii moich zaprzeczeń wynika, że muszę to wiedzieć.

- Może jest Objawieniem - odpowiedziałem. - Pismo Święte nie musi być wydrukowane na papierze i oprawione w płótno ze złotymi tłoczeniami. Może być też bryłą plazmatyczną... chociażby Żabiego Skrzeku.

Nie powiedziałem tego serio, lecz oni, którzy swoją ignorancję gotowi byli wymienić na cokolwiek, byle noszące pozór pewności, zaczęli naprawdę zastanawiać się nad moimi słowami. I zaraz też im się wszystko pięknie ułożyło: że to jest Słowo, które, staje się Ciałem... (chodziło o efekt „sprzyjania biogenezie”, zwany efektem Romneya-Moellera), że pobudki, które skłaniają kogoś, aby wspierał rozwój życia w skai galaktycznej, nie mogą być „pragmatyczne”, interesowne, techniczne... bo, aby tak postępować, należy uznać pierwej

biogenezę - w całym Kosmosie - za zjawisko pożądane i dobre. Że to jest niejako akt „kosmicznej życzliwości”, który okazuje się - z tej strony oglądany - głoszeniem (ale sprawczym, czynnym, realnie skutkującym) „Dobrej Nowiny”, osobliwy tym, iż zdolna jest ona do samorealizacji - bez zwróconych ku niej chętnych uszu.

Opuściłem ich, tak rozgorączkowanych, że nie zauważyli tego nawet, i wróciłem do siebie. Jediną rzeczą, której byłem pewny, stał się efekt Romneya-Moellera; gwiazdowy kod zwiększał prawdopodobieństwo kreacji życia. Biogeneza była zapewne i bez tego możliwa - tyle że w dłuższym czasie i w mniejszym bodaj procencie wypadków. Konstatacja ta miała w sobie coś krzepiącego - ponieważ istoty, które działały tak, doskonale pojmowałem.

Czy można, było sądzić, że ta czysto materialna, życiosprawcza strona sygnału jest całkowicie niezależna, totalnie odcięta od jego treści? To, by nie przedstawiał on żadnej w ogóle informacji „z sensem”, poza „protekcynym” swym stosunkiem do życia, było niemożliwe - dowód stanowił choćby Żabi Skrzek. A więc czyżby owa treść znajdowała się w pewnej równoległości do tego, co sprawiał jej nośnik? Zdawałem sobie sprawę z tego, na jak grząski wstępuję teren; koncepcja kodu jako przesłania, które także i swoją treścią miało „uszcześliwić”, „czynić dobro” - nasuwała się już sama. Czy jednak - jak powiedziano pięknie u Woltera - kiedy padyszachowi wiozą zboże, kapitan troszczy się o to, jakie wygody mają myszy na statku?

Gości ze świata zewnętrznego nazywało się u nas nie „Vipami” („Very important persons”), lecz „Femami”, od „Feeble Minded”. Przewisko to ukuto nie tyle nawet dla powszechnego mniemania o słabości umysłowej wszystkich ważnych osób, lecz po prostu przez to, że borykaliśmy się z kłopotami, powstającymi, kiedy typowe dla Projektu zagadnienia trzeba było wyklądać ludziom nie znającym fachowego języka nauki. Aby uprzystępnąć im kwestię stosunku „życiosprawczej formy” gwiazdowego przesłania do jego „treści” - z której na razie wywiedliśmy tylko Pana Much - wymyśliłem następujące porównanie.

Powiedzmy, że zecer złoży na linotypie werset z metalowych czcionek. Werset ten ma określone znaczenie językowe. Ponadto zaś może być tak, że jeśli pociągnie się po metalowych literach odpowiednim elastycznym rylcem, zdolnym do drgań, powstanie dźwięk, który przypadkiem może mieć wartość akordu harmonicznego. Byłoby jednak zupełnie nieprawdopodobne, żeby tak powstające dźwięki ułożyły się - za sprawą najczystszej przypadku - w pierwsze takty Piątej Symfonii Beethovena. Gdyby tak się stało, sądzilibyśmy raczej, że owa muzyczność nie jest wywołana trafem, lecz ktoś umyślnie tak właśnie poskładał litery, wybierając właściwe ich rozmiary oraz odstęp między nimi. To, co

jako „uboczna harmonia dźwięków” byłoby dla odlanego składu drukarskiego bardzo mało prawdopodobne, dla komunikatu, jaki przedstawia „gwiazdowy list”, stanowiło już nieprawdopodobieństwo równe niemożliwości.

Mówiąc innymi słowy: życiosprawczość tego komunikatu nie mogła być dziełem przypadku. Nadawca, musiał nadać rozmyślnie takie modulowane drgania neutrinowemu promieniowaniu, żeby przejawilo własność „wspierania biogenezy”. Otóż ta współobecność „formy” i „treści” nieubłaganie zdawała się domagać specjalnych wyjaśnień, a przypuszczenie najprostsze sugerowało, że skoro „forma” sprzyja życiu, to i treść winna być jakoś - podobnie - „dodatnia”. Jeżeli natomiast odrzucało się hipotezę takiej „wszechżyliczności”, która przyłączyła do „życiosprawczego działania wprost” odpowiednią treść listu jako „sprzyjającą adresatom”, to było się niejako skazanym na ujęcie diametralne, wedle którego Nadawca „życzliwego” przez „życiosprawczość” przesłania dostarczał (diabolicznie) treści mogących przyprawić odbiorców o zgubę.

Jeżeli mówię, że „było się skazanym na interpretację diaboliczną”, to nie dlatego, jakoby właśnie takie było moje zdanie: notuję po prostu to, co rzeczywiście zachodziło w Projekcie. Uporczywość, przejawiana w hipotetyzowaniu, widnieje zresztą we wszystkich opublikowanych doniesieniach opowiadających historię MAVO. Zawsze była ta uporczywość dwubiegunowa: albo „list” miał stanowić akt „życzliwości opiekuńczej”, dzielenia się wiedzą instrumentalną, którą nasza cywilizacja ma za dobro najwyższe, albo też - akt zręcznie kamuflowanej agresji: gdyby to, co powstać ma przez materializację „listu”, dążyło do zawładnięcia Ziemią, ludzkością czy też do jej zniszczenia nawet. Zawsze przeciwstawiałem się takiej bezwładności domniemań. Nadawcy mogli np. być istotami racjonalnymi, które skorzystały z tego, że nadarzyła się „energetyczna okazja”: kiedyś uruchomiły „emisję biofilną”, a potem, pragnąc nawiązania łączności z rozumnymi mieszkańcami planet, ze zwykłej oszczędności, zamiast budować umyślne nadajniki, posłużyły się źródłem energii już pracującym i nałożyły na potok neutrinowy - pewien tekst, który z jego „życiosprawczym” charakterem nie musiał mieć nic wspólnego. Podobnie sens depeszy, jaką przesyłamy, nie stoi w żadnym stosunku jednoznaczny do własności fal elektromagnetycznych telegrafu bez drutu.

Jakkolwiek było to do pomyślenia, nie takie panowały u nas opinie. Powstały nawet hipotezy wielce wymyślne - że, na przykład, „list” działa „dwupoziomowo”. Sprawia życie, niby ogrodnik rzucający ziarno w ziemię; potem jednak przychodzi powtórnie, aby zbadać, czy wschodzący plon jest „właściwy”. „List” miał właśnie, na swym „drugim” poziomie, to znaczy treściowo, stanowić odpowiednik ogrodniczego sekatora - jako czynnik, co likwiduje

„zdegenerowane psychozoiki”. Znaczyło to, że Nadawcy bez pardonu i litości chcą unicestwić te cywilizacje, powstałe ewolucyjnie, które nie tak się rozwijają „jak należy”, więc np. takie, które tworzą klasy „samopożerających się”, „destrukcyjnych” etc. Pilnowali wiać niejako początku i końca biogenezy, korzeni i korony ewolucyjnego drzewa. Treściowa strona listu miała obdarzać pewien typ odbiorcy rodzajem brzytwy, żeby nią sobie sam gardło poderznął.

Fantazję tę odrzucałem. Obraz cywilizacji, która ma „zdegenerowane” czy „niedorozwinięte” takim niezwykłym sposobem unicestwiać, uznałem za jeszcze jedną projekcję - w zagadkę listu, jako „test asocjacyjny” - lęków właściwych naszej epoce, i za nic więcej. Efekt Romneya-Moellera świadczył jak gdyby o tym, że Nadawca ma egzystencję, jako życie, za rzecz „dobrą”. Ale na postawienie następnego kroku - na przypisanie „internacjonalnej dobroci” także informacyjnej „podszewce” kodu już się nie ważyłem, tak samo, jak na przydanie jej znaku ujemnego. Pomysły „czarne” wynikły ich twórcom mechanicznie, kiedy to, co nam wręczano listem, uznali za godne tylko podejrzliwości dary Danaów: instrument, ale taki, co Ziemię zniewoli, istota, ale mająca nami zawładnąć.

Wszystkie te koncepcje tłukły się między diabelstwem i anielstwem jak muchy między szybami. Próbowałem postawić się w sytuacji Nadawcy. Nie posłałbym niczego, co mogłoby zostać wykorzystane wbrew moim intencjom. Dostarczyć narzędzi jakichkolwiek, nie wiedząc komu, to tyle, co dzieciom granaty rozdawać. Co zatem przesłano? Plan idealnego społeczeństwa, wyposażony w „ryciny” przedstawiające źródła energetyczne dla tego społeczeństwa (w postaci Pana Much)? Ale taki plan to system uzależniony od własnych elementów, czyli od poszczególnych istot. Nie może istnieć jeden, optymalny dla wszystkich miejsc i czasów. Plan taki musi uwzględniać też osobniczą biologię - a nie wierzyłem w to, by człowiek przedstawiał pod tym względem jakąś stałą kosmiczną.

Zrazu nie wydawało się, żeby „list” mógł stanowić komunikat będący fragmentem „międzyplanetarnej rozmowy”, któryśmy całkiem przypadkowo podsłuchali. Nie godziło się to bowiem z trwałą powtarzalnością emisji; rozmowa nie na tym polega przecież, żeby jeden partner w kółko, całymi latami, powtarzał wciąż jedno i to samo od początku. Lecz tu znów wchodziła w grę skala czasowa; komunikat, w niezmiennej postaci, spływał na Ziemię od dwu co najmniej lat - to było pewne. Może „rozmawiały” z sobą urządzenia automatyczne i aparatura jednej strony wysyłała swoją wypowiedź dopóty, dopóki nie otrzymała hasła, że wypowiedź została odebrana? W takim wypadku powtórki trwać mogły i tysiąc lat, jeśli tylko rozmawiające cywilizacje były dostatecznie od siebie oddalone. Nie wiedzieliśmy nic o tym, czy na „emisję życiosprawczą” nie można nakładać rozmaitych treści - to było a priori

całkiem prawdopodobne.

Mimo to wersja „rozmowy podsłuchanej” wyglądała bardzo nieprawdopodobnie. Jeśli „pytania” dzieli od uzyskiwanych „odpowiedzi” czas rzędu stuleci, trudno nazwać taką wymianę informacji „rozmową”. Należało się spodziewać raczej tego, że każda ze „stron” będzie przekazywała drugiej istotne wiadomości o sobie. Winniśmy więc byli odbierać nie jedną emisję, ale co najmniej dwie. Tak jednak nie było. „Eter” neutrinowy, o ile wskazywały na to urządzenia astrofizyków, był doskonale pusty - poza owym jednym pasmem przesyłowym. Było to bodaj najtwardsze jądro zagadkowego orzecha. Najprostsze wytłumaczenie powiadało, że nie ma ani rozmowy, ani dwu cywilizacji, lecz jest jedna tylko, nadająca izotropowy sygnał. Przy takiej konstatacji należało od nowa wracać do łamania sobie głowy nad podwójnością owego sygnału... da capo al fine.

Zapewne - list mógł zawierać coś stosunkowo prostego. Mógł na przykład być tylko schematem maszyny do nawiązywania łączności z Nadawcami. Był wtedy „planem nadajnika” - na „elementach” typu Żabiego Skrzeku. My, jak małe dziecko, głowiące się nad schematem radioaparatu, nie zdołaliśmy złożyć niczego więcej oprócz paru najprymitywniejszych śrubek. Mogła to być „ucieleśniona” teoria psychokosmogoniczna, wyjawiająca, jak powstaje, jak jest rozmieszczone i jak funkcjonuje rozumne życie w Metagalaktyce. Kiedy się odrzucało „manichejskie” uprzedzenia jako sugestie podszeptujące, że Nadawca koniecznie musi życzyć nam albo źle, albo dobrze (albo „dobrze i źle” naraz, np., kiedy by wedle swych kryteriów był dla nas intencjonalnie „dobry”, a wedle maszyn „zły”) - odgadywanie płodziło coraz swobodniej pomysły podobne do wymienionych i stawało się grzęzawiskiem, nie mniejszym od owego profesjonalnego zawężenia, które empiryków Projektu uwięziło w złotych klatkach ich sensoryjnych odkryć. Sądziło, niektórzy przynajmniej, że badaniem Pana Much można będzie wreszcie dojść do sedna; tajemnicy Nadawców - jak po nitce do kłębka. Uważałem, że to jest wtórna racjonalizacja: ponieważ nie mieli nic nad Pana Much, trzymali się go kurczowo w swym dociekaniu. Przyznałbym im słuszność, gdyby szło o problem przyrodoznawczy - lecz mieliśmy inny przed sobą; z analizy chemicznej atramentu, jakim napisano do nas list, nigdy się nie wywiedzie umysłowych cech piszącego.

Może należało uszkromić zamierzenia i dochodzić intencji Nadawców stopniowymi przybliżeniami? Lecz tu wracało palące pytanie, czemu połączyli w jedno ten komunikat przeznaczony dla rozumnych odbiorców z biofilnym działaniem?

Na pierwszy rzut oka wydawało się to niezwykle, niesamowite nawet. Najpierw, ogólne rozważania wskazywały, że cywilizacja Nadawców musi być wprost niewiarygodnie

stara. Emisja sygnału - obliczyliśmy to szacunkowo - wymagała poboru mocy rzędu co najmniej słonecznej. Wydatek taki nie może być obojętny nawet dla społeczności dysponującej wysoko rozwiniętą astroinżynierią. Musieli więc Nadawcy działać w przeświadczeniu, że taka „inwestycja” jest - jakkolwiek nie dla nich - opłacalna, w sensie: realnej, życiosprawczej skuteczności. Lecz obecnie planet, na których panują warunki odpowiadające ziemskim sprzed czterech miliardów lat, jest w całej Metagalaktyce stosunkowo niewiele. Nawet bardzo mało. Metagalaktyka jest bowiem gwiazdowym czy mgławicowym organizmem więcej aniżeli dojrzałym; za jakiś miliard lat pocznie „chylić się ku starości”. Okres młodzieńczy, bujnej i gwałtownej planetogenezy, już w niej minął. Wychynęła z niego właśnie, między innymi, Ziemia. Nadawcy musieli o tym wiedzieć. Nie od tysięcy lat zatem ani od milionów nawet posyłali ów sygnał. Obawiałem się - trudno inaczej nazwać uczucie, które towarzyszyło takim myślom - że czynią to od lat miliarda! Ale jeśli tak było, to - pozostawiając na stronie problem całkowitej niewyobrażalności dla nas tego, w jaki właściwie twór przekształca się społeczność po tak straszliwym geologicznym czasie - odpowiedź na pytanie o przyczynę „dwustronności” sygnału okazywała się raczej prosta, trywialna nawet. Mogli od najdawniejszych czasów wysyłać „czynnik życiosprawczy” - a kiedy postanowili zająć się komunikacją międzyplanetarną, zamiast budować specjalne po temu technologie i nadajniki, wystarczyło wykorzystać strumień emisji już bijącej w Kosmos. Dość było odpowiedniego, dodatkowego zmodulowania tego strumienia. A więc dla prostej, inżynierskiej oszczędności zadali nam tę zagadkę? Przecież problemy, jakie stawiał program modulacji, musiały być technicznie oraz informacyjnie potworne - tak, dla nas były nimi, ale dla nich? Tutaj znów traciłem grunt pod nogami. Badania trwały tymczasem: próbowano, niezliczonymi sposobami oddzielić „frakcję informacyjną” sygnału od „biofilnej”. Nie udawało się. Byliśmy bezradni, lecz jeszcze nie zrezygnowani.

IX

Pod koniec sierpnia poczułem się tak wyjąłowany umysłowo, jak bodaj nigdy jeszcze. Potencjał twórczy, zdolność do podźwignięcia problemów zmienia się w człowieku przyływami i odpływami, z których trudno zdać sobie samemu sprawę. Nauczyłem się stosować jako rodzaj testu - lekturę moich własnych prac, tych, które uważam za najlepsze. Jeśli dostrzegam w nich potknięcia, luki, jeśli widzę, że można było rzecz przeprowadzić lepiej, próba wypada pomyślnie. Jeżeli jednak odczytuję własny tekst nie bez podziwu, oznacza to, że jest ze mną niedobrze. Tak stało się właśnie na przełomie lata. Potrzebna okazała się - o tym wiedziałem też z długoletniej praktyki - dystrakcja, a nie odpoczynek. Zachodziłem więc coraz częściej do doktora Rappaporta, mego sąsiada, na wielogodzinne nieraz rozmowy. O samym kodzie gwiazdowym mówiliśmy rzadko i niewiele. Raz zastałem go przy dużych paczkach, z których wysypywały się zgrabne, lśniące kolorowe tomiki z bajecznymi okładkami. Spróbował wykorzystać jako „generator różnorodności”, której nam nie dostawało w conceptach, płody fantazji literackiej - tego popularnego zwłaszcza w Stanach gatunku, zwanego przez uporczywe nieporozumienie Science Fiction. Nie czytał takich książek jeszcze nigdy; był zły, oburzony nawet, ponieważ rozczarowały go swoją jednostajnością. - Oprócz fantazji jest w nich wszystko - powiedział. Zapewne, doszło do nieporozumienia. Autorzy nibynaukowych bajek dostarczają publiczności tego, czego ona pragnie: truizmów, obiegowych prawd, stereotypów, dostatecznie przebranych, uduchowionych, aby odbiorca mógł jednocześnie pograć się w bezpiecznym zadziwieniu i pozostać nie wytraconym ze swojej życiowej filozofii. Jeśli istnieje w kulturze postęp, to pojęciowy przede wszystkim, a tego literatura, zwłaszcza fantastyczna, nie tyka.

Rozmowy z doktorem Rappaportem były dla mnie cenne. Cechowała go tak charakterystyczna drapieżność i bezwzględność sformułowań, którą chętnie bym sobie przyswoił. Tematy naszych dyskusji były uczniackie: rozprawialiśmy o człowieku. Rappaport był „termodynamicznym psychoanalitykiem” po trosze i powiadał na przykład, że właściwie wszystkie podstawowe motory napędowe ludzkich działań można wyprowadzić wprost z fizyki - jeśli tylko dostatecznie szeroko pojętej.

Pad do destrukcji daje się wywieść wprost z termodynamiki. Życie jest oszustwem, próbą malwersacji, usiłowaniem obejścia praw, skądinąd nieuchronnych i nieubłaganych; izolowane od reszty świata, natychmiast wchodzi na drogę rozpadu, ta równia pochyła prowadzi do stanu normalnego materii, trwałej równowagi, która oznacza śmierć. Aby trwać,

musi się żywić porządkiem, a ponieważ - wysoko uorganizowanego - nie ma go nigdzie poza życiem, skazane jest na samopożeranie się; trzeba niszczyć, aby żyć, karmić się ładem, który o tyle jest pokarmem, o ile pozwala się zrujnować. Nie etyka, lecz fizyka ustala taką prawidłowość.

Pierwszy zauważył to bodaj Schroedinger, ale on, zakochany w swoich Grekach, nie dostrzegł tego, co można by za Rappaportem nazwać hańbą życia, skazą immanentną, zakorzenioną w samej strukturze rzeczywistości. Oponowałem, powołując się na fotosyntezę rośliny, one nie niszczą, a przynajmniej nie muszą niszczyć innych żywych ustrojów, dzięki spożywaniu kwantów słonecznych, na to Rappaport odpowiadał, że cały świat zwierzęcy jest pasożytem roślinnego. Drugą cechę człowieka, tę zresztą, którą dzieli on z wszystkimi niemal organizmami, płciowość, też, filozofując po swojemu, wywodził z termodynamicznej statystyki w jej informacyjnym odgałęzieniu. Bezład czyhający na wszelkie uporządkowanie sprawia, że informacja ulega zawsze w przekazach zubożeniu; aby przeciwdziałać śmiertelnemu szumowi, aby rozpowszechnić chwilowo zdobyty ład, koniecznie należy zestawiać wciąż ze sobą „teksty dziedziczne” konfrontacja taka, „szytywanie”, które ma na celu usunięcie „omyłek”, stanowi właśnie usprawiedliwienie i przyczynę powstania dwupłciowości. A więc w informacyjnej fizyce przekazów, w teorii przesyłu tkwią sprawcy płci. Zestawienie każdorodzeniowe dziedzicznej informacji było musem, conditio, sine qua życie nie mogłoby się utrzymać, cała reszta biologiczna, algedoniczna, psychiczna, kulturowa - jest już pochodną, lasem konsekwencji, co wyrósł z tego twardego, prawami fizyki ukształconego ziarna.

Zwracałem mu uwagę na to, że takim trybem uniwersalizuje dwupłciowość, czyni ją stałą Wszechświata; uśmiechał się tylko, nigdy nie odpowiadał wprost. W innym wieku, w innej epoce zostałby bez wątpienia srogim mistykiem, systemotwórcą, w naszej, trzeźwionej nadmiarem odkryć rozrywających jak szrapnele każdą systemową spójność, jednocześnie przyspieszającej jak nigdy postęp i zniechęconej do niego, był tylko komentatorem i analitykiem.

Mówił mi raz, pamiętam, że rozważał możliwość zbudowania czegoś w rodzaju metateorii systemów filozoficznych albo też takiego programu ogólnego, który pozwoliłby twórczość tę zautomatyzować: odpowiednio nastawiona maszyna produkowałaby najpierw systemy istniejące, a potem, w lukach pozostałych przez niedopatrzienia lub niekonsekwencję wielkich ontologów, wytwarzałyby nowe - ze sprawnością automatu produkujące śrubki lub trzewiki I nawet zabrał się do tej roboty, ułożył słownik, składnię, reguły transpozycji, kategoriale hierarchie, coś w rodzaju metateorii typów, semantycznie doksztalczonej, lecz

uznał potem zadanie za jałowe, niewartą dalszego wysiłku zabawę, gdyż nic z niej nie wynikało oprócz samej możliwości generowania owych sieci, klatek czy gmachów, a niechby i kryształowych pałaców, zbudowanych ze słów. Był mizantropem i nic dziwnego, że przy jego łóżku, jak przy moim Biblia, leżał Schopenhauer. Koncepcja podstawienia pod pojęcie materii pojęcia woli wydawała mu się zabawna.

- Równie dobrze można by właściwie określić „to” - tajemnicą po prostu - mówił - i kwantować, rozsiewać, uginać na kryształach, skupiać i rozrzedzać tajemnicę; jeśli się znów uzna, że „wola” może być wyobcowana totalnie z wnętrza czujnych jestestw, a jeszcze przypisze się jej jakiś rodzaj „samoruchu”, ową skłonność do wiecznej bieganiny krzątliwej, która tak jest w atomach irytująca, bo sprawia same kłopoty; nie tylko matematyczne, cóż właściwie broni nam pogodzenia się z Schopenhauerem? - Twierdził, że czas renesansu owej schopenhauerowskiej wizji jeszcze nadejdzie. Zresztą wcale nie był tylko apologetą tego małego, wściekłego, zapamiętałego Niemca.

- Jego estetyka jest niekonsekwentna. Zresztą może nie umiał tego wyrazić, nie pozwalał mu „genius temporis”. W latach pięćdziesiątych byłem raz świadkiem próbnej eksplozji atomowej. Czy pan wie, panie Hogarth (inaczej się do mnie nie zwracał), że nie ma nic piękniejszego nad kolory grzyba atomowego? Żaden opis, żadne zdjęcia barwne nie są w stanie oddać tego cudu, który trwa zresztą kilkanaście sekund, potem, od dołu, wschodzi brud wciągnięty ssaniem, kiedy ogniowy pęcherz się rozpręży. Później ogniowa kula, jak balon zerwany, ucieka w chmury, i cały świat staje się na mgnienie wyrzeźbiony w różu - Eos Rhododaktylos... Dziewiętnasty wiek twardo wierzył, że to, co mordercze, musi być ohydne. My wiemy już, że może być piękniejsze od gajów pomarańczowych. Potem wszystkie kwiaty zdają się zgaszone, mętne - i to dzieje się w miejscu, w którym radiacja zabija w ułamku sekund!

Słuchałem go schowany w fotelu, a nieraz, wyznam, traciłem nawet wątek tego, co mówił. Mój mózg, jak stary koń mleczarza, wracał uparcie na jeden i ten sam szlak, kodu, tak że rozmyślnie przymuszałem się, by nie wracać w ową stronę, bo zdawało mi się, że jeśli zostawię ją odłogiem, coś tam może samo zakiełkuje. Takie rzeczy zdarzają się czasem.

Innym moim rozmówcą był Tihamer Dill, właściwie - Dill junior, fizyk, którego ojca znałem - ale to cała historia. Dill senior wykładał matematykę jeszcze na uniwersytecie w Berkeley. Był wtedy dość znanym matematykiem starszego pokolenia, z opinią doskonałego pedagoga jako równy i cierpliwy, choć wymagający - dlaczego nie znalazłem uznania w jego oczach, nie wiem. Zapewne, różniliśmy się stylem myślenia, ponadto fascynowała mnie dziedzina ergodyki, którą Dill lekceważył, ale czułem zawsze, że nie chodzi tylko o kwestie

czysto matematyczne. Przychodziłem do niego z moimi pomysłami, do kogóż miałem iść, a on gasił mnie jak świecę, od niechcienia, odsuwał na bok to, co pragnąłem przedstawić, wyróżniając jednocześnie mego kolegę, Myersa. Czuwał nad nim jak nad wschodzącym pączkiem różanym.

Myers szedł w jego ślady, przyznając zresztą, że niezły był w kombinatoryce, którą już wtedy miałem jednak za gałąź usychającą. Uczeń rozwijał myśl mistrza, więc mistrz wierzył w niego - ale jednak nie było to takie proste. Może Dill żywił do mnie odruchową, animalną niejako antypatię? Czy byłem zbyt natrętny jako nazbyt pewny siebie, swoich możliwości? Głupi byłem na pewno. Nie rozumiałem nic, ale nie czułem do Dilla ani krzty żalu. Owszem, Myersa nie cierpiałem i pamiętam jeszcze milczącą, rozkoszną satysfakcję, której doznałem po latach podczas przypadkowego z nim spotkania. Pracował jako statystyk w jakiejś firmie samochodowej, bodajże w General Motors.

To, że Dill tak całkowicie się zawiódł na swym wybrańcu, nie wystarczyło mi jednak. Życzyłem sobie zresztą nie jego klęski, lecz nawrócenia na wiarę we mnie. Toteż nie było chyba takiej większej z moich młodzieńczych prac, której bym nie kończył wyobrażając sobie wzrok Dilla na moim manuskrypcie. Wiele wysiłku kosztował mnie dowód, że Dillowska kombinatoryka wariacyjna jest tylko niedoskonałą aproksymacją ergodycznego teorematu! Żadnej chyba rzeczy ani przedtem, ani potem nie polerowałem z takim trudem; i nie jest nawet bezsensowne przypuszczenie, że cała koncepcja grup, później nazwanych grupami Hogartha, wzięła się z owej cichej pasji, w której trwałym napływie przeorałem aksjomatykę Dilla, a potem, jak gdyby chcąc jeszcze coś zrobić ponadto, jakkolwiek właściwie nic nie było już tam do roboty - zabawiłem się w matematyka, żeby całej owej anachronicznej koncepcji przypatrzeć się niejako z wysoka, mimochodem, chociaż niejedyn z tych, co już mi wróżyli wtedy wielki lot, dziwił się moim tak marginalnym zainteresowaniem.

Oczywiście nikomu nie wyznałem właściwego motoru, ukrytych motywów owej pracy. Czego się spodziewałem właściwie? Nie liczyłem przecież na to, że Dill doceni mnie, przeprosi za Myersa, wyzna, jak bardzo się mylił. Myśl o jakiejś Canossie tego krogulczego i jakby bezwiecznego, krzepkiego starca była zbyt absurdalna, aby przez chwilę chociaż mogła postać mi w głowie. Niczego więc zgoła nie wyobrażałem sobie w postaci ziszczenia. Sprawa była już zbyt na to wstydliva i ciasna. Nieraz ktoś ceniony, szanowany, kochany nawet przez wszystkich najbardziej dba w skrytości ducha o kogoś stojącego obojętnie poza kręgiem apologetów, chociaż może i drugorzędnego w oczach świata, nieważnego całkiem.

Kim był w końcu Dill senior? Szeregowym wykładowcą matematyki, jakich są w Stanach dziesiątki. Ale takie racjonalizacje nic by mi nie pomogły, tym bardziej że wtedy nie

wyjawiałem nawet sobie sensu i celu moich idiosynkrazji ambicjonalnych. Otrzymując jednak z drukami sprasowane, świeże, jakby w nowym blasku stojące egzemplarze prac, miewałem chwile jasnovidzenia, jawił mi się suchy, tyczkowaty Dill, sztywny, z twarzą podobną do twarzy Hegla z portretów, a Hegla nie znośiłem, czytać go nie mogłem, bo taki był pewny tego, że to sam Absolut przemawia przez niego ku większej chwale pruskiego państwa. Hegel nie miał, jak sądzę teraz, nic do rzeczy - podstawiałem go na miejsce innej osoby.

Z daleka widziałem Dilla parę razy na zjazdach i konferencjach, obchodziłem go udając, że go nie poznaję. Raz nawet sam do mnie zagadał, grzecznie, wymijająco, a ja udałem, że muszę właśnie wyjść, właściwie niczego już nie chciałem od niego - jak gdyby potrzebny był mi tylko w wyobrażeniu. Po publikacji mojej głównej pracy doszło do deszczu pochwał, do pierwszej biografii, czułem się bliski niewysłowionego celu i właśnie wtedy spotkałem go. Słuchy o jego chorobie doszły mnie wprawdzie, ale nie przypuszczałem, żeby mogła go aż tak odmienić. Zobaczyłem go w wielkim magazynie samoobsługowym. Popychał przed sobą wózek z puszkami, a ja szedłem tuż za nim. Otaczał nas tłum. Dostrzegłem szybkim, ukradkowym spojrzeniem jego workowate obrzmiałe, odęte policzki i jednocześnie z rozpoznaniem poczułem coś w rodzaju rozpacz. Był to zmalaty, brzuchaty starzec o mętym wzroku, z nie domkniętymi ustami, powłóczący nogami w wielkich kaloszach; na kołnierzu tajał mu śnieg. Popychał swój wózek, popychany przez zbiegowisko, a ja wycofywałem się pospiesznie, przerażony, z jego pobliża, dbając o to tylko, żeby jak najszybciej wyjść, a właściwie uciec. Straciłem w okamgnieniu przeciwnika, który bodaj nigdy nie dowiedział się o tym, że nim był. Przez jakiś czas potem czułem w sobie pustkę jak po utracie kogoś bardzo bliskiego. Ów rodzaj podniecającego wyzwania, zmuszającego do napięcia całej mocy myśli, znikł raptownie. Prawdopodobnie ów Dill, który stale za mną chodził i patrzył zza mego ramienia na pokreślone rękopisy, nigdy nie istniał. Kiedy przeczytałem lata później o jego śmierci, nie obeszła mnie już nic. Ale długo trwało, nim zasklepiło się we mnie to opróżnione miejsce.

Wiedziałem, że ma syna. Dilla juniora poznałem dopiero w Projekcie. Matkę miał, zdaje się, Dill junior Węgierkę i stąd osobliwe imię, które przywodziło mi na myśl Tamerlana. Choć junior, nie był już młody. Należał do podstarzałych młodzianków. Są ludzie jakby przeznaczeni tylko dla jednego wieku. Baloyne na przykład wycelowany jest w potężnego starca, który wydaje się jego formą właściwą, ku jakiej dąży z pośpiechem, bo wie, że nie tylko nie straci wówczas energii, ale ją ubilibijni jeszcze i stanie poza wszelkim posądzeniem o słabość. Bywają ludzie, konserwujący rysy nieodpowiedzialnego dojrzewania. Takim był Dill junior. Z ojca miał postawę - solenności, wypracowania każdego gestu: nie należał na

pewno do ludzi, którym jest wszystko jedno, co dzieje się w każdej chwili z ich rękami albo i twarzą. Był tak zwanym „fizykiem niespokojnym”, trochę jak ja - niespokojnym matematykiem, ponawiał bowiem przenosiny i przez pewien czas pracował w zespole biofizyków Andersona. U Rappaporta doszło między nami do zbliżenia, które kosztowało mnie nieco wysiłku, bo nie był mi Dill sympatyczny, lecz przemożem się, niejako przez pamięć seniora. Jeżeli to jest niedostatecznie zrozumiałe, mogę tylko przyświadczyć, że dla mnie właściwie też, ale tak było.

Wielospecjaliści zwani u nas czasem „uniwersałami”, byli w wielkiej cenie; Dill należał do twórców syntezy Żabiego Skrzeku. Ale tematów, związanych bezpośrednio z Projektem, na wieczornych konwersatoriach Rappaporta raczej unikano. Przed pracą u Andersona Dill znalazł się - bodaj z ramienia UNESCO - w grupie badawczej, która miała opracować projekty przeciwdziałania demograficznej eksplozji ludzkości. Opowiadał o tym z satysfakcją. Było tam trochę biologów, socjologów, genetyków wraz z antropologami. Oczywiście i sławy w postaci noblistów.

Jeden z nich uważał wojnę atomową za jedyne zbawienie przed potopem ciał. Rozumowanie przedstawiało się zresztą poprawnie. Ani pigułki, ani perswazja nie zahamują przyrostu naturalnego. Niezbędne jest jakieś planujące wtargnięcie w obręb rodziny. Nie w tym rzecz, że każdy projekt brzmi albo makabrycznie, albo groteskowo, jak np. propozycja, by „zezwolenie na dziecko” można było zdobyć dopiero zgromadziwszy pewną ilość punktów, za walory psychofizyczne, za umiejętności wychowawcze i tak dalej.

Można wymyślać takie mniej lub bardziej racjonalne programy, ale nie można wprowadzić ich w życie. Rzecz zawsze w końcu wiedzie do ograniczenia tych swobód, jakich tknąć nie odważył się, od narodzin cywilizacji, żaden ustrój. Żaden ze współczesnych nie miał na to, ani dość siły, ani autorytetu. Wypadłoby walczyć i z najpotężniejszym z popędów ludzkich, i z większością kościołów, i z fundamentem praw człowieka, danym tradycją. Natomiast po kataklizmie atomowym sroga reglamentacja związków i urodzin byłaby doraźną i życiową koniecznością, bo inaczej zwyrodniała od radiacji plazma dziedziczna dałaby początek niezliczonej rójce potworów. Taka doraźna reglamentacja mogła potem przejść w system ustawowy, zawiadujący rozmnażaniem się gatunku, już jako korzystnym sterowaniem jego ewolucją i liczebnością.

Wojna atomowa jest, zapewne, przeraźliwym złem, lecz jej dalsze konsekwencje mogą okazać się dobre jako zbawienne. W tym duchu wypowiedziała się część uczonych, inni sprzeciwili się i do sformułowania zaleceń jednoznacznych nie doszło.

Historia ta wzburzyła Rappaporta, im zaś bardziej się gorączkował, tym chłodniej, z

wewnętrznym uśmiechem odpowiadał mu Dill. Intronizacja rozumu jako władcy - mówił Rappaport - jest równoznaczna z oddaniem się w opiekę obłądowi logiczności. Radość ojca, wywołana tym, że jego dziecko podobne jest do niego, nie ma żadnej racjonalnej wartości, zwłaszcza gdy ojciec to osobnik tuzinkowy, nieutalentowany - ergo, należy zakładać „banki spermy” ludzi najużyteczniejszych społecznie i sztucznym zapłodnieniem rozmnażać dzieci podobne do takich rozplodowców, więc wartościowe. Ryzyko związane z założeniem rodziny można uznać za wysiłek marnowany społecznie, ergo, należy kojarzyć pary wedle kryteriów selekcji uwzględniającej dodatnie skorelowanie cech fizycznych i psychicznych małżonków. Nie zaspokojone pożądaniami budzą frustracje, zakłócające równy bieg społecznych procesów - ergo wszystkie pożądaniami należy albo zaspokajać naturalnie, albo równoważnikami technicznymi, bądź wreszcie usuwać chemicznie lub chirurgicznie ośrodki, które te pożądaniami rodzą.

Przed dwudziestu laty podróż z Europy do Stanów trwała siedem godzin; kosztem osiemnastu miliardów dolarów skrócono ten czas do pięćdziesięciu minut. Wiadomo już, że dzięki dalszym miliardom ten czas lotu uda się skrócić o połowę. Pasażer, wysterylizowany na ciele i umyśle (żeby nie zawlókł do nas ani azjatyckiej grypy, ani azjatyckich myśli), naładowany witaminami i widowiskiem filmowym z puszką, będzie mógł przenosić się z miasta do miasta, z kontynentu na kontynent, z planety na planetę - coraz pewniej i szybciej, a wizja takiej fenomenalnej sprawności instrumentów opiekuńczych ma zatkać nam usta, byśmy nie zdołali spytać, do czego właściwie te błyskawiczne peregrynacje służą. Tempa takiego nie mogło znieść nasze stare, zwierzęce ciało, przenosiny z półkuli na półkulę zbyt szybkie rozstrajają rytm jego snu i czuwania, lecz szczęśliwie wynaleziono środek chemiczny, który ów rozstrój usuwa. Co prawda środek ów czasem sprowadza depresję, ale są inne, podnoszące na duchu; wywołują one chorobę wieńcową, lecz można z kolei w tętnice serca wtykać rurki polietylenowe, żeby się nie zatykały.

Uczony w takich sytuacjach zachowuje się jak tresowany słoń, którego poganiacz ustawia czołem do przeszkody. Posługuje się siłą rozumu, jak słoń - siłą mięśni, to znaczy na zlecenie; jest to niezwykle wygodne, ponieważ uczony dlatego okazuje się gotowy na wszystko, bo za nic już nie odpowiada. Nauka staje się zakonem kapitulantów; rachunek logiczny ma zostać automatem zastępującym człowieka jako moralistę; podlegamy szantażowi „wiedzy lepszej”, która ośmiela się twierdzić, że wojna atomowa może być czymś wtórnym dobrym dlatego, ponieważ wynika to z arytmetyki. Dzisiejsze zło okazuje się jutrzejszym dobrem, ergo, to zło też jest pod pewnymi względami dobre. Rozum przestaje słuchać intuicyjnych podszeptów emocji, ideałem staje się harmonia doskonale

skonstruowanej maszyny, ma się nią stać cywilizacja w całości i każdy jej członek z osobna.

Tym samym cywilizacyjne środki wymieniono na cele i za ludzkie wartości podstawiono wygody; reguła nakazująca zastępować korki w butelkach kapslami, a kapsle - plastikowymi kapturkami, odskakującymi od prztyczka palcem, jest niewinna jako ciąg udoskonaleń, który ma ułatwić nam otwieranie flaszek. Ta sama reguła, zastosowana do perfekcjonowania ludzkiego mózgu, staje się czystym szaleństwem; każdy konflikt, każdy trudny problem zrównany zostaje z opornym korkiem, który należy wyrzucić, i, zastąpić odpowiednią łatwizną. Baloyne nazwał Projekt - Masters Voice, bo to hasło jest dwuznaczne: głosu jakiego Pana właściwie mamy słuchać - tego z gwiazd, czy tego z Waszyngtonu? W gruncie rzeczy jest to operacja „Lemon Squeeze” - wyciśnięcia, jak cytryny, nie naszych mózgowic, ale kosmicznego przesłania, lecz biada mocodawcom i ich sługom, jeśli się naprawdę uda.

Takimi rozmowami wieczornymi zabawialiśmy się w drugim roku trwania prac MAVO, w wyraźniejszej aurze niedobrych przeczuć, które zwiastowały to, co niebawem miało „Operację Lemon Squeeze” wypełnić treścią nie ironiczną już, ale złowrogą.

X

Jakkolwiek Żabi Skrzek i Pan Much były tą samą substancją, przechowywaną tylko na rozmaite sposoby w zespole biofizyków i biologów, na terytorium każdego używano wyłącznie lokalnie obowiązującej nazwy, w czym, jak sobie myślałem, przejawiał się pewien drobny rys charakterystyczny historii nauki. Gdyż ani przypadkowe skręty dróg badawczych, ani okoliczności akcydentalne, które asystowały porodowi odkryć, nie odklejają się całkowicie od ich ostatecznego kształtu. Zapewne, niełatwo jest rozpoznać te relikty właśnie przez to, że, zastygłe przenikają do wnętrza teorii i w wszystkich ujęć późniejszych jako wytłoczony ślad, jako piętno trafu, który skamieniał w regułę myśli.

Nim zobaczyłem Żabi Skrzek po raz pierwszy u Romneya, zastosowano do mnie klasyczną już procedurę obowiązującą przybyszów z wielkiego świata. Wysłuchałem najpierw owego zwięzłego wykładu z taśmy magnetofonowej, który zacytowałem, następnie, po dwuminutowej podróży metrem, dostałem się do budynku chemii syntez, gdzie pokazano mi wznoszący się w osobnej sali, pod dwupiętrowym szklistym kołpakiem, niby powiększony do rozmiarów atlantozaura szkielet rozwielitki, model trójwymiarowy jednej drobiny Żabiego Skrzeku. Poszczególne grupy atomowe przedstawiały podobne do gron, czarne, purpurowe, liliowe i białe kule, połączone przezroczystymi rurkami polietylenu. Marsh, stereochemik, demonstrował mi poszczególne rodniki amonu, grupy alkilowe oraz podobne do dziwnych kwiatów „reflektory molekularne”, które wchłaniały energię powstającą w jądrowych reakcjach. Reakcje owe pokazywano, uruchomiwszy aparaturę, która zaświecała kolejno neonowe rurki i lampki ukryte we wnętrzu modelu, sprawiające wówczas wrażenie futurystycznej reklamy, skrzyżowanej z choinką. Ponieważ oczekiwano tego po mnie, przejawiałem podziw i mogłem iść dalej.

Właściwe procesy syntezy toczyły się w podziemiach gmachu, pod nadzorem maszyn programujących, w pojemnikach otoczonych izolującymi cylindrycznymi powłokami, bo na pewnych etapach przejściowo powstawały dość przenikliwe promieniowania korpuskularne, ustające jednak, gdy synteza dobiegała końca. Główna hala syntezy zajmowała cztery tysiące metrów kwadratowych. Dalsza droga wiodła z niej do tak zwanej srebrnej części podziemia, gdzie - jak w skarbcu - spoczywała podyktowana przez gwiazdy substancja. Był tam okrągły pokój, czy też komora bezokienna, o ścianach z wypolerowanego na lustro srebra; wiedziałem, czemu było to konieczne, ale zapomniałem już. Oblany zimnym blaskiem świetlówek, na masywnym postumencie, stał szklany zbiornik, podobny do sporego

akwarium, prawie pusty - tylko dno jego zalegała warstwa silnie opalizującej, nieruchomej, sinawej cieczy.

Pomieszczenie dzieliła na dwie części szklana płyta; naprzeciw zbiornika ział w niej otwór z zamontowanym w grubym obwałowaniu - zdalnym manipulatorem. Marsh opuścił najpierw dziób szczypiec, podobny do instrumentu chirurgicznego, ku powierzchni płynu, a kiedy go podniósł, z końca zwisała roziskrzona w świetle nić, która nie miała w sobie nic z lepkiej cieczy. Wyglądało to tak, jakby kleisty płyn wydzielił z siebie elastyczne, ale dość twarde włókno, które oscylowało leniwie niczym struna. Gdy znów opuścił manipulator i zręcznie potrząsnął nim tak, że to włókno spadło, powierzchnia płynu, błyskająca odbitym światłem, nie przyjęła go; skurczyło się, zgrubiało, zmienione w rodzaj połyskliwej larwy, i powędrowało robaczkowymi ruchami jak prawdziwa gąsienica, a kiedy dotknęło szkła, zatrzymało się i zawróciło. Wędrowka ta trwała około minuty - potem ów osobliwy twór rozmazał się, jego zarysy jakby się rozpuściły i, wessany, powrócił do macierzy.

Ów trick z „gąsieniczką” był tylko mało znaczącym popisem. Kiedy zgaszono wszystkie światła i powtórzono doświadczenie w ciemności, ujrzałem w pewnej chwili bardzo słaby, ale wyraźny błysk, jakby między dnem zbiornika a stropem zapaliła się na ułamek sekundy gwiazdka. Marsh powiedział mi potem, że nie jest to luminescencja. Gdy nić ulega przerwaniu, w miejscu tym tworzy się warstewka monomolekularna, która już nie jest w stanie utrzymać pod kontrolą procesów jądrowych i powstaje wtedy coś w rodzaju mikroskopijnej reakcji lawinowej - a błysk jest efektem wtórnym, ponieważ uczynnione elektrony, przerzucone na wyższe poziomy energetyczne, opuszczając je raptownie, wydzielają równoważną ilość fotonów. Pytałem, czy widzą szansę praktycznego wykorzystania Żabiego Skrzeku? Nadzieję mieli mniejszą już, aniżeli tuż po syntezie, Żabi Skrzek zachowywał się bowiem podobnie jak żywa tkanka pod tym względem, że jak ona wyłącznie dla siebie zużytkowuje energię reakcji chemicznych, tak on swojej nuklearnej nie dawał sobie odjąć.

W zespole Grotiusa, który wyprodukował Pana Much, panowały obyczaje wyraźnie odmienne; zstępowało się tam do podziemi z zachowaniem nadzwyczajnych ostrożności. Doprawdy nie wiem, czy Pana Much dlatego umieszczono dwa piętra pod poziomem gruntu, że go tak nazwano, czy też ochrzczono go tak, ponieważ powstał w podziemnych pomieszczeniach, przywodzących na myśl jakiś Hades.

Najpierw, jeszcze w laboratorium, nakładało się odzież ochronną, złożoną z wielkiego przezroczystego kombinezonu, opatrzonego kapturem, i tlenowego zbiornika na szelkach. Było z tym trochę zachodu, który przy całej swojej rzeczowości miał jednak w sobie coś

obrzędowego. O ile wiem, zachowania się uczonych w laboratorium nikt jeszcze nie badał pod względem antropologicznym, jakkolwiek nie ulega dla mnie wątpliwości, że nie wszystko, co oni robią, jest konieczne. Te same przygotowania i czynności doświadczalne można urzeczywistniać bardzo rozmaicie, ale gdy raz, się utrwali pewne postępowanie, staje się w danym kręgu, w danej szkole, obyczajem o mocy normy - prawie że dogmatu.

Do Pana Much zstępowałem w asyście dwu ludzi - przewodnikiem był mały Grotius, przy czym ruszyliśmy w drogę dopiero wtedy, gdy, pomanipulowawszy pokrętłami, napuszczono nam tlenu do wnętrza przezroczystej odzieży, tak że każdy z nas stał się podobny do połyskliwego balonu z właściwą pesteczką osoby w środku. Przed wyjściem sprawdzano jeszcze odzież na szczelność, bardzo prosto, zbliżając płomień świecy do poszczególnych części kombinezonu, w którym panowało niewielkie nadciśnienie: operacja ta przypominała zabieg magiczny, jakiegoś okadzania na przykład.

Wszystko to razem komponowało się w całość solenną, poważną, jak gdyby spowolnioną rytualnie, zapewne dlatego, że w owym lśniącem balonie z polietylenu nie można się było szybko ruszać. Ponadto nie bardzo można było, siedząc w owej powłoce, rozmawiać, więc i komunikowanie się na migi sprawiało rosnące wrażenie, że uczestniczę w liturgicznej praktyce. Oczywiście można było powiedzieć, odpierając takie obiekcje, że kombinezon chronił przed promieniowaniem beta, że był wprawdzie utrudnieniem dla ruchów, lecz zarazem, dzięki przezroczystości, pozwalał dobrze widzieć itd., ale bez większego trudu potrafiłbym, jak sądzę, obmyślić proceder inny, jakkolwiek mniej malowniczy, a zwłaszcza pozbawiony nalotu dyskretnych aluzji do symbolicznego sensu nazwy Pana Much.

W osobnym pokoju, z betonową podłogą, rodzaj ocembrowania otaczał pionową studnię. Jeden po drugim zeszliśmy na dół po żelaznej drabince wmurowanej w jej ścianę, nieprzyjemnie szeleszcząc kombinezonami, w niemiłym gorącu, jakie panowało wewnątrz tego odzienia przywodzącego na myśl rybnie pęcherze. Na dole biegł wąski chodnik, trochę jakby w starej kopalni, w regularnych odstępach oświetlonych zakratowanymi lampkami. Tych akcesoriów już ludzie Grotiusa nie sprokurowali, o czym donoszę lojalnie; zespół wykorzystał po prostu podziemną część gmachu, która służyć miała ongiś celom bardziej militarnym, bo związanym z wybuchami termojądrowymi poligonu. Kilkadziesiąt metrów dalej mury załśniły, pokrywała je bowiem lustrzana srebrna blacha. Był to jedyny szczegół taki sam; jak w „srebrnym podziemiu” biofizyków. Lecz tego się właściwie nie zauważało, podobnie jak nie dostrzega się erotycznego charakteru nagości w gabinecie lekarskim; doznawaniem naszym rządzi całość powstającego efektu, a nie własności poszczególnych

elementów. Srebro ścian u biofizyków kojarzyło się ze sterylnością jakiegoś przybytku chirurgicznego, a w podziemiu nabierało bardziej tajemniczego charakteru, skoro niby w jakimś panopticum powtarzało wynaczone odbicia naszych pęcherzowatych postaci.

Daremnie rozglądałem się po otoczeniu szukając dalszej drogi, bo korytarz kończył się szerszym ślepym uchyłkiem. Z boku, na wysokości głowy, widniały drzwiczki żelazne, które Grotius odemknął, i w grubym murze otwarła się wtedy wnęka, rodzaj strzelnicy, przy czym obaj moi towarzysze cofnęli się, abym mógł dokładnie zajrzeć do środka. Otwór zamykało z drugiej strony coś na kształt czerwono-błęszczącej tafli, jakby to był płat mięsa szczelnie dociśniętego do grubej szyby. Poprzez kaptur, który okrywał mi twarz, przez równomierny podmuch tlenu płynącego z butli, poczułem skórą czoła i policzków ucisk, który zdawał się być efektem nie tylko gorąca. Patrząc dłużej, dostrzegłem bardzo powolny ruch, nie całkiem równomierny, jakby obdarłej ze skóry i przylepionej do szkła podeszwy olbrzymiego ślimaka, usiłującego pełzać daremnymi skurczami mięśni. Owa masa za szkłem zdawała się napierać na nie z nieznaną siłą - pełznąć na miejscu powoli, lecz nieustannie.

Grotius uprzejmie, lecz stanowczo odsunął mnie od wnęki, zamknął na powrót pancerne drzwiczki i wydobyl z przewieszzonego przez ramię chlebaka szklaną kolbę, po której ściankach łąziło kilka zwykłych pokojowych much. Gdy przybliżył ją do zamkniętej klapy - a uczynił to ruchem wymierzonym i zarazem solennym - muchy najpierw znieruchomiały, potem rozwinęły skrzydełka i w następnej sekundzie zawirowały w kolbie czarnymi oszalałymi kulkami - wydało mi się, że słyszę ich jadowite bzykanie. Jeszcze trochę przybliżył naczynie do klapy - muchy tłukły się coraz gwałtowniej - włożył kolbę do schowka, zawrócił i poszedł z powrotem do kuchni.

Dowiedziałem się wreszcie, skąd poszła nazwa. Pan Much był po prostu Żabim Skrzekiem - w ilości znaczniejszej niż około 200 litrów; zresztą owa przemiana zachodziła stopniowo; co się tyczyło tego naprawdę osobliwego efektu z muchami, nikt nie miał najbledszego wyobrażenia o jego mechanizmie, zwłaszcza że wykazywały go oprócz much tylko nieliczne błonkoskrzydłe. Pająki, żuki i mnóstwo innych owadów, które cierpliwie znosili biologowie do owej czeluści, w ogóle nie reagowały na obecność rozgrzewanej toczącymi się w niej reakcjami substancji. Mówiło się o falach, promieniach, dobrze, że nie o telepatii. U much, których węzły brzuszne porażono farmakologicznie, efekt się nie przejawiał. Ale ustalenie to było raczej trywialne. Nieszczęsne muchy narkotyzowano, wycinano im po kolei, co się tylko dało, unieruchamiano im na przemian nóżki i skrzydełka, lecz w końcu dowiedziano się tego tylko, że gruba warstwa dielektryku ekranuje skutecznie efekt. Był więc fizyczny, a nie „cudowny”. Zapewne. Lecz nadal nie wiadano, co go

wywołuje. Zapewniono mnie, iż rzecz się wyjaśni - pracowała nad tym osobna grupa bioników i fizyków. Jeśli coś wykryła, do dzisiaj nic mi o tym nie wiadomo.

Zresztą nie był Pan Much niebezpieczny dla żywych organizmów znajdujących się w jego pobliżu; nawet muchom w końcu nie działało się nic złego.

XI

Z nastaniem jesieni, kalendarzowej tylko, bo słońce, jak w sierpniu, stało nad pustynią, od nowa, choć trudno rzec, że z nowymi siłami, wziąłem się do kodu. To, co w Projekcie uważano za jego sukces największy i co nim na pewno było pod względem technicznym, syntezę Żabiego Skrzeku, nie tylko zaniedbywałem w moich spekulacjach, ale w gruncie rzeczy pomijałem, jak gdybym miał ów osobliwy produkt za artefakt. Ci, co go stworzyli, zarzucali mi, że powoduję się uprzedzeniem irracjonalnym, zakorzenionym w prywatnej awersji do owej substancji - jakkolwiek śmiesznie to brzmiało. Sugerowali też, Dill na przykład, że nieco dramatyczna celebra, jaką ludzie obu zespołów otoczyli ów „śluz nuklearny”, obudziła we mnie rezerwę skierowaną na samego Pana Much albo że miałem owym empirykom za złe dodanie do jednej tajemnicy, samego kodu, drugiej, tego wytworu o nieznanym przeznaczeniu.

Nie godziłem się z tym, bo także efekt Romneya powiększył naszą ignorancję, lecz właśnie w nim upatrywałem - wtedy przynajmniej - pewną szansę dotarcia do postawy Nadawców, a przez to i do treści samego przesłania. W nadziei, że wzbogacę moją inwencję, przestudiowałem mnóstwo prac poświęconych historii odczytania genetycznego kodu człowieka i zwierząt. Czasem wydawało mi się mgliście, że paralełą zjawiska, przed którym stałem, jest owa „podwójność” każdego organizmu, który jest zarazem i sobą, i nośnikiem informacji adresowanej sprawczo do przyszłych czasów, do pokoleń.

Cóż jednak właściwie można było począć z taką analogią? Arsenal środków pojęciowych, jakimi mogła mnie obdarzyć epoka, wydawał mi się chwilami zatrważająco ubogi. Wiedza nasza stała się rozmiarem olbrzymia tylko wobec człowieka, nie wobec świata. Pomiedzy rozprężającą się w kumulatywnej eksplozji czołówką technik instrumentalnych a biologią człowieka powstaje na naszych oczach niepokonanie rozrastający się rozziw, który rozdziera ludzkość na front zbieraczy wiadomości i jego odwody oraz na płodne tłumy, obdarzane równowagą dzięki napelnianiu mózgów papką informacyjną, tak samo prefabrykowaną, jak papka pokarmowa dla trzewi. Rozpoczyna się wielkie rozmrowienie, skoro został przekroczony - nikt nie wie dokładnie, kiedy - próg, za którym zapas nagromadzonej wiedzy już nigdy nie zostanie ogarnięty przez jakikolwiek pojedynczy umysł.

Nie tyle wzbogacać ową wiedzę, ile najpierw unieważniać jej olbrzymie złoża tam, gdzie zalega drugorzędna, a tym samym zbędna informacja - to wydaje mi się pierwszą powinnością nowej nauki. Techniki informacyjne utworzyły sytuację rajy, w którym rzekomo

każdy, kto by tego chciał, może poznać wszystko, lecz jest to kompletna fikcja. Wybór równający się rezygnacji jest nieunikniony - jak oddychanie.

Gdyby ludzkość nie była tak nieustannie dżgana, drażniona i przypalana lokalnym zagryzaniem się nacjonalizmów, zderzeniami interesów (często pozornych), nadmiarem zgromadzonym w jednych punktach globu, przy równoczesnym niedostatku w innych (a przecież już w technicznych naszych możliwościach spoczywa umiejętność - zasadnicza przynajmniej - rozwiązania tych sprzeczności), może by dopiero pojęła, jak bardzo owe małe, krwawe fajerwerki, z poruszającym je na dystans kapitałem nuklearnym Wielkich, przesłaniają jej to, co dzieje się tymczasem „samo”, puszczone luzem i pozbawione kontroli. Polityka uznawała glob, zupełnie jak w poprzednich wiekach (teraz - już razem z otaczającą go przestrzenią doksieżykową) - za szachową deskę rozgrywek, kiedy tymczasem owa deska podstępnie zmieniała się, nie była już oparciem nieruchomym, podstawą, lecz raczej tratwą, rozszczepianą uderzeniami niewidzialnych prądów, niosących ją w stronę, w którą nikt nie patrzył.

Proszę wybaczyć mi tę metaforykę. Ależ tak, futurologowie rozmnożyli się jak grzyby, od czasu, kiedy Hermann Kahn unaukowił profesję Kasandry, lecz nikt jakoś z nich nie powiedział wyraźnie tego, że zdaliśmy się w całości na łaskę i niełaskę technologicznego rozwoju. Role tymczasem odwracały się: ludzkość stawała się dla technologii środkiem czy instrumentem osiągnięcia celu zasadniczo nieznanego. Poszukiwanie broni skutecznej ułtymatywnie zamieniło uczonych w poszukiwaczy kamienia filozoficznego, który tym się tylko różnił od ideału alchemików, że zapewne istniał. Czytelnik prac futurologicznych miał przed sobą wykresy i tablice drukowane na kredowym papierze, a powiadamiające go o tym, kiedy pojawią się reaktory wodorohelowe i kiedy ulegnie uprzemysłowieniu telepatyczna własność umysłu. Przyszłe takie odkrycia przewidywano za pomocą zbiorowych głosowań w gronie odpowiednich specjalistów, przy czym sytuacja ta była o tyle groźniejsza od historycznych, że stwarzała fikcję wiedzy na miejscu, które dawniej wedle powszechnego rozeznania wypełniała najczystsza ignorancja.

Wystarczyło przepatrzyć historię nauki, aby dojść do uprawdopodobnionego nią przeświadczenia, że o kształcie przyszłości zadecyduje to, czego nie wiemy dzisiaj i co jest nieprzewidywalne. Sytuację komplikował w historycznie nie poznany sposób stan „lustra” lub „podwójnego tańca”, skoro jedna strona świata zmuszona była możliwie dokładnie i szybko powtarzać wszystko, co w sferze zbrojeń robiła druga, i właściwie nie można było często ustalić, kto pewien kolejny ruch czy krok uczynił jako pierwszy, a kto go tylko wiernie naśladował. Wyobraźnia ludzkości zamarzyła niejako, porażona wizją atomowej zagłady, która

była jednak dostatecznie oczywista dla obu stron, aby sparaliżować własną realizację. Zafascynowanie układanymi przez strategów i uczone ciała doradcze „scenariuszami Apokalipsy” termojądrowej paraliżowało umysły tak, że nie widziano już dalszych, jakkolwiek kto wie, czy nie bardziej niebezpiecznych możliwości schowanych w rozwoju. Stan bowiem równowagi był nieustannie podgryzany przez kolejne odkrycia i wynalazki

W latach siedemdziesiątych panowała przez czas pewien doktryna „ekonomicznego wyniszczenia pośredniego” wszelkich potencjalnych przeciwników, którą sekretarz obrony, Kayser, określił maksymą: „nim gruby schudnie, chudy zdechnie”. Pojedynek współzawodnictwa na jądrowe ładunki zastąpił wszak najpierw wyścig rakietowy, a potem - doszło do budowania jeszcze bardziej kosztownych „raket przeciw rakietom”. Jako następny krok eskalacji zaświtała szansa zbudowania „tarczy laserowej”, ostrokołu laserów gamma, które miały kraj otoczyć palisadą niszczących promieni: koszt budowy urządzeń takich obliczano już na czterysta do pięciuset miliardów dolarów. Po tym posunięciu spodziewać się wolno było następnego, jako wprowadzenia na orbity - olbrzymich fabryk-satelitów, wyposażonych w gamma lasery, których rój, szybując nad terytorium przeciwnika, mógł spalić je całe w ułamku sekund ultrafioletowym promieniowaniem. Koszt owego „pasa śmierci” przekraczał już w szacunkach siedem bilionów dolarów. Walka na wyniszczenie ekonomiczne - dzięki produkowaniu broni coraz bardziej kosztownych i wycieńczających przez to cały organizm państwowy - poważnie planowana, nie dała się jednak urzeczywistnić, bo trudności budowy super- i hiperlaserów okazały się na razie nie do technicznego przewyciężenia. Tym razem litościwa Natura własnością swych mechanizmów uratowała nas przed nami, lecz był to przecież tylko traf szczęśliwy.

Tak przedstawiało się globalnie myślenie polityków i dyktowana przez nie strategia nauki. Tymczasem cała tradycja historyczna kultury zaczynała się nam obluźniać, jak ładunek wypełniający okręt, kołysany zbyt gwałtownie. Wielkie historiozoficzne koncepcje, podmywane w fundamentach, wielkie syntezy, wsparte na wartościach odziedziczonych po przeszłości, stawały się brontozaurami skazanymi na zapaść, oczekiwało je strzaskanie o niewiadomy brzeg kolejnych odkryć, które miały się przed nami wynurzyć. Nie było już bowiem takiej mocy ani takiej potworności, skrytej w trzewiach materialnego świata, których by nie wywleczono na scenę jako broni, gdyby tylko się wyłoniły; tak więc w rzeczywistości wcale nie graliśmy już z Rosją, lecz z Przyrodą samą, ponieważ to od Przyrody, a nie od Rosjan zależało, jakim kolejnym odkryciem nas obdarzy, i byłoby przecież szaleństwem sądzić, że będąc nam wielce życzliwą, dostarczy ona takich tylko środków, które ułatwią przeżycie gatunkowi. Szansa pojawienia się na horyzoncie badawczym takiego odkrycia,

które zapewniłoby nam supremację w skali planety całkowitą, spotęgowałaby wysiłki i środki rzucane, ponieważ ten, kto by pierwszy osiągnął taki cel, zostałby hegemonem globu: o tym powszechnie się mówiło. Jak jednak można było wierzyć w to, że słabnący antagonista pozwoli ulegle nałożyć sobie jarzmo? Toteż cała ta doktryna była wewnętrznie sprzeczna jako równoczesne niszczenie istniejącej równowagi sił - przy nieustannym jej odnawianiu.

Dostaliśmy się, jako cywilizacja, w technologiczną pułapkę, i o losach naszych miało już decydować to tylko, jak są urządzone pewne, nam nie znane jeszcze związki poziomów energii i materii. Gdy mówiłem takie rzeczy, nazywano mnie zazwyczaj defetystą zwłaszcza w kręgach uczonych, którzy oddali swe sumienia w arendę departamentowi stanu. Ludzkość wzajemnie wczepiona we włosy i w gardła, dopóki przesiadała się z wielbłądów i mułów na rydwany, bryki, koczki, do samochodów, maszyn parowych, czołgów, mogła jeszcze liczyć na przetrwanie - poprzez rozerwanie okowów tego wyścigu. W połowie wieku totalna groza sparaliżowała politykę, lecz jej nie odmieniła, strategia pozostała ta sama, dni stawiano, przed miesiącami, lata nad wiekami, a należało postępować odwrotnie, pojęcie interesu gatunku wypisać na sztandarach, okiełznać technologiczny wzlot, żeby się nie stał upadkiem.

Tymczasem powiększał się materialny rozróżnienie pomiędzy Wielkimi a Trzecim Światem, zwany przez ekonomistów „rozciągającą się harmonią” - odpowiedzialne osobistości, trzymające w ręku los innych, mówiły, że rozumieją to, że taki stan nie może się bezgranicznie przedłużać, lecz nie robiły nic, jakby w oczekiwaniu cudu. Należało koordynować postęp, ale mu nie ufać jako automatyzmowi, w jego coraz to szybszej samoczynności, przecież szaleństwem była wiara, że robić wszystko, co tylko technicznie możliwe, jest tym samym, co działać mądrze i bezpiecznie, przecież nie mogliśmy liczyć na cudowną przychylność Natury, której coraz to więcej części, obracanych w pokarm ciał i maszyn, wpuszczaliśmy do wnętrza cywilizacji. Ależ to mógł być koń trojański, słodki jad, trujący nie dlatego, że świat źle nam życzył, ale dlatego, że działaliśmy na oślep.

Nie mogłem pomijać tego tła w mojej pracy. Musiałem myśleć o nim, kiedy zastanawiałem się nad dwustronnością przesłania. Dyplomaci, w niewzruszonych frakach, z przyjemnym drżeniem kolan oczekiwali już Momentu, kiedy zakończymy wreszcie naszą nieoficjalną, mniej ważną, wstępną robotę, a oni, cali w orderowych gwiazdach, polecą do gwiazd składać papiery akredytujące i porozumiewać się protokolarnie notami z miliardoletnią cywilizacją. Myśmy mieli im tylko zbudować most. Oni - przeciąć jego wstęgę.

Lecz jak to wyglądało naprawdę? W jakimś zakątku Galaktyki pojawiły się kiedyś istoty, które, pojawiwszy fenomenalną rzadkość życia, postanowiły wmieszać się do Kosmogonii - i skorygować ją. Potomstwo starej cywilizacji dysponowało molochem wiedzy

niewyobrażalnym dla nas; jeśli mogło tak starannie połączyć - życiosprawczy impuls z najwyższą nieingerencją w każdy lokalny przebieg ewolucyjny. Sygnał sprawczy nie był słowem, co się w ciało obraca, ponieważ brakło mu wszelkich określeń tego, co ma powstać. Zabieg był w zasadzie swojej prosty, tyle że powtarzany przez czas podobny do wieczności, stanowiąc rodzaj trwałych brzegów szeroko rozpostartych, między którymi o własnych już siłach ruszyć miał proces specjacji. Wsparcie było najostrożniejsze z możliwych. Żadnych uszczegółowień, żadnych konkretnych dyrektyw, żadnych instrukcji natury fizycznej czy chemicznej - nic, oprócz wzmocnienia stanów termodynamicznie nieprawdopodobnych.

Wzmacniacz probabilistyczny był niewymownie słaby i działał jedynie przez to, że, wszechobecny, każdą przeszkodę penetrował, ogarniając niewiadomą część Galaktyki (może całą? - nie wiedzieliśmy, ile podobnych promieni niewidzialnych wysyłają). Nie był to akt jednorazowy, lecz obecność, która trwałością swoją współzawodniczyła z gwiazdą, ale zarazem ustawała, ledwo pożądaný proces ruszał. A ustawała, ponieważ wpływ promieniowania na ukształtowane organizmy równał się praktycznie zeru.

Trwałość emisji przerażała mnie. Zapewne, mogło być i tak, że Nadawcy nie znajdują się już wśród żywych, a proces, uruchomiony przez ich astroinżynierów w gwieździe lub w zespole gwiazd, będzie biegł póty, dopóki wystarczy energii słonecznych nadajników. Zakonspirowanie naszych prac wydawało mi się - w podobnym zestawieniu - zbrodnią. Nie szło przecież ani o odkrycie, ani o górę odkryć, lecz o otwarcie oczu na świat. Byliśmy dotąd ślepymi szczeniakami. W ciemności Galaktyki jaśniał rozum, który nie próbował narzucić nam swej obecności, lecz przeciwnie, najstaranniej ukrywał ją.

Niewymownie płaskimi wydawały mi się hipotezy dotychczasowe, do powstania Projektu popularne, objijające się między biegunami pesymizmu, który nazywał *Silentium Universi* stanem naturalnym, oraz tego optymizmu bezmyślnego, który oczekiwał wieści wyraźnie sylabizowanych, jakimi cywilizacje rozsypane wokół gwiazd miały się porozumiewać jak dzieci w przedszkolu. Jeszcze jeden mit rozpadł się, myślałem, jeszcze jedna prawda weszła nad nami - i, jak zwykle prawdom, tej także nie umieliśmy sprostać.

Pozostawała druga, znacząca strona sygnału. Dziecko może zrozumieć pojedyncze zdania wyjęte z dzieła filozoficznego, ale całości nie ogarnie. Nasza sytuacja była podobna. Dziecko może zostać olśnione treścią pojedynczych zdań i my też dziwiliśmy się drobnym fragmentom rozszyfrowanego. Ponieważ długo ślęczałem nad gwiazdowym tekstem, obcując z nim w powtarzanych od nowa próbach, zżyłem się z nim w osobliwy sposób i wielokrotnie, jakkolwiek czysto intuicyjnie tylko, z poczuciem, że przerasta mnie jak góra, dostrzegałem, wciąż we mgle, wspaniałość jego budowy, a więc wymieniałem niejako zmysł matematyczny

na estetyczny - może zresztą dochodziło do zespolenia obojga.

Każde zdanie książki znaczy coś, także wyrwane z kontekstu, ale w jego obrębie zespala się ze znaczeniami innych zdań, tych, co je poprzedziły, i tych, co nastąpią. Z takiego przesiąkania, narastania i kumulowania ogniskowego wyniku w końcu owa znieruchomiła w czasie myśl, jaką jest dzieło. W gwiazdowym kodzie nie tyle szło o znaczenie elementów, „niby zdań”, ile o ich przeznaczenie, do którego nie mogłem dotrzeć. Lecz miał on harmonię wewnętrzną, czysto matematyczną już, taką, jaka w wielkiej katedrze objawia się także patrzącemu, który ani nie pojmuje jej przeznaczenia, ani nie zna praw statyki i kanonów budownictwa, ani stylów wreszcie, wcielonych, zaprzęgniętych w kształty. Ja byłem takim patrzącym i zapatrzonym. Tekst był niezwykły przez to, że nie miał żadnych własności „czysto lokalnych”. Zworniki bez łuków i obciążenia nie są zwornikami; oto nielokalność architektury. Syntezę Żabiego Skrzeku poprzedziło wyszarpięcie z kodu jego elementów, którym przypisano atomowe i stereochemiczne „znaczenia”.

Było w tym coś z wandalizmu, jakby na podstawie Moby Dicka brano się do zarzynania wielorybów i wytapiania z nich tłuszczu. Można tak postępować, rzeźnia wpisana jest w Moby Dicka, jakkolwiek w sposób najzupełniej odwrotny, diametralny, ale daje się to zlekceważyć, pociąć na kawałki, poprzestawiać dowolnie. A więc, mimo całej mądrości patronującej mu, kod był aż tak bardzo bezbronny. Niebawem miałem przekonać się, że może być gorzej, moje obawy dostały nową pożywkę, toteż nie wypieram się sentymentalizmu tych uwag.

Pewne partie kodu, jak wskazała częstościowa analiza, pozornie powtarzały się, tak jak słowa w zdaniach, ale odmienne sąsiedztwo wywoływało drobne różnice ukształtowania impulsów, które nie zostały uwzględnione przez naszą - dwójkową - wersję informacyjną. Zniecierpliwieni empirycy, którzy mogli się wszak powoływać na owe skarby zamknięte w „srebrnych podziemiach”, upierali się, że mogą to być tylko zniekształcenia wywołane wieloparsekową wędrówką potoków neutrinowych przez otchłanie, objawem i tak znikomej zresztą, w tym świetle, desynchronizacji sygnału, jego rozmazywania się. Postanowiłem to sprawdzić. Zażądałem dokonania nowej rejestracji sygnału - a przynajmniej jego znaczniejszego fragmentu - i zestawilem otrzymany od astrofizyków nowy tekst z analogicznymi wycinkami pięciu kolejnych wyników niezależnych - dawniejszego odbioru.

Dziwne było, że nikt tego dotąd, tak dokładnie nie zrobił. Jeżeli bada się czyjś podpis na autentyczność i stosuje coraz to potężniejsze szkła powiększające, dochodzi wreszcie do tego, że w wyolbrzymieniu widziane pasma, które są atramentowymi kreskami liter na papierze, zaczynają się rozpadać - na elementy rozprzestrzenione po oddzielnych, grubych jak

sznury konopne włóknach celulozy, i niepodobna określić, na jakiej granicy powiększenia ustaje wpływ piszącego, kształty nadane pismu jego „charakterem”, a rozpoczyna się obszar działania statystycznych ruchów i drgań włókienkowych ręki, pióra, nierównomierności ściekania atramentu, nad którymi piszący żadnej już nie ma władzy. Można jednak dojść tego - porównując szereg podpisów, właśnie szereg, a nie dwa tylko, bo wtedy wybije się to, co jest trwałą regularnością, i odetnie od tego, co stanowi wpływ fluktuacji każdorazowo zmiennych.

Udało mi się wykazać, że „rozmazania”, „desynchronizacja”, „rozpływanie się” sygnału tkwią tylko w wyobrażeniach adwersarzy. Dokładność powtórzeń dochodziła do samej granicy rozdzielczości używanej przez astrofizyków aparatury rejestrującej - a ponieważ trudno było przypuścić, że z nastawieniem na tak akurat wykalibrowaną aparaturę nadawano tekst, oznaczało to, iż ta dokładność jest większa niż nasza możliwość jej zbadania, wykrywającego kres sprawności nadajnika.

Wywołało to niejake zamieszanie. Odtąd nazywany byłem „prorokiem Pana” lub „wołającym na puszczy”. Pracowałem więc pod koniec września w rosnącym odosobnieniu. Były chwile, szczególnie po nocach, kiedy między moim bezsłownym myśleniem a tekstem zadziergało się takie pokrewieństwo, jak gdybym już ogarniał prawie jego całość, i w szczególnym zamieraniu, jak przed skokiem bezcielesnym, wyczuwałem drugi brzeg, lecz nigdy nie starczyło ostatniego wysiłku.

Teraz wydają mi się owe stany złudzeniem. Zresztą łatwiej mi uznać dzisiaj, że nie tylko ja nie umiałem, nie mogłem, ale że zadanie przekraczało siły każdego człowieka. Tak podówczas, jak obecnie miałem problem za nie dający się pokonać atakiem zespołowym, ktoś jeden musiał otworzyć zamknięcie, odrzuciwszy nawyki wyuczonych rozumowań, ktoś jeden albo nikt. Takie zdawanie sprawy z własnej bezsilności jest, zapewne, żałosne, może egoistyczne także. Wygląda na to, że szukam usprawiedliwień. Ale jeśli gdziekolwiek należy odrzucić miłość własną, ambicję, zapomnieć o diabełku serca modlącym się do sukcesów, to chyba w tej sprawie. Poczucie izolacji, wyobcowania było wtedy dojmujące. Najdziwniejsze jest to, że owa klęska, jednoznaczna przecież, pozostawiła mi we wspomnieniu smak wzniosłości i że te godziny, te tygodnie są mi dzisiaj, kiedy o nich myślę, drogie. Nie przypuszczałem, że coś takiego może mi się zdarzyć.

XII

W opublikowanych sprawozdaniach i książkach najmniej albo i nic zgoła mówi się o tym, jaki był mój bardziej „konstruktywny” wkład do Projektu, ponieważ przyjęło się, dla unikania wszechmożliwych zadrażeń, przemilczanie mego udziału w „konspirującej opozycji”, która - gdzieś o tym czytałem - mogła stać się „największym występkiem” i nie mnie przypadła zasługa, że do tego nie doszło. Przechodzę tedy do przedstawienia mej zbrodni.

Z początkiem października upały nie osłabły ani trochę, dziennie, rozumie się, bo nocą temperatura spadała już na pustyni poniżej zera. Nie opuszczając za dnia budynków, wieczorem, przed nastaniem silniejszego chłodu, udawałem się na krótkie przechadzki, dbając o to, by nie stracić z oczu wieżowców osiedla, bo w pustyni, jak mnie ostrzegano, wśród jej wysokich wydm, łatwo można zabłądzić. Zdarzyło się to nawet raz jakiemuś technikowi, ale wrócił koło północy, bo kierunek drogi ukazała mu łuna światła. Nie znałem dotąd pustyni - była całkiem odmienna od wyobrażeń, jakie o niej miałem, ukształtowanych filmem czy lekturą. Była zarazem doskonale jednostajna i niezwykle różnorodna. Najbardziej pociągał mnie widok ruchomych wydm, owych zwolnionych wielkich fal, które swą ostrą, świetną geometrią postaciowały perfekcję rozwiązań, stosowanych przez Naturę tam, gdzie czepliwy, czasem nachalny, czasem zażarty żywioł biosfery nie ściera się z jej martwym obszarem.

Wracając raz z takiej przechadzki spotkałem, nieprzypadkowo, jak się okazało, Donalda Prothero. Potomek w drugim pokoleniu starej rodziny kornwaliskiej został najbardziej angielskim ze znanych mi Amerykanów.

Zasiadając w Radzie między ogromnym Baloyne’em i tyczkowatym Dillem, na niespokojnym tle Rappaporta i żurnalowym Eeneya, był postacią osobliwą przez to właśnie, że nic nie było w nim osobliwego. Upostaciowana przeciętność, twarz zwykła, nieco ziemista, po angielsku długa, z silnymi oczodołami i solidną szczęką, z wieczną fajką w ustach, głos beznamiętny, naturalny spokój, brak wszelkiej wyraźniejszej gestykulacji - tak tylko, samym odejmowaniem cech mogę go sprezentować. A przy tym umysł pierwszej klasy.

Muszę wyznać, że myślałem o nim z pewnym niepokojem, ponieważ nie wierzę w ludzką doskonałość, osoby zaś pozbawione dziwactw, tików, obsesji, nalotu jakiejś niewielkiej manii, punktów zacietrzewienia, podejrzewam o systematyczne udawanie (każdy sądzi podług siebie) albo o nijakość. Zapewne, wiele zależy od tego, od której strony poznajemy człowieka. Jeśli, jak mnie zwykle przychodziło, najpierw zaznajamiałem się z

kimś poprzez jego prace, w moim fachu skrajnie abstrakcyjne, więc niejako od strony najbardziej uduchowionej, impet zetknięcia się z owym całkowicie cielesnym organizmem, który odruchowo przedstawiałem sobie podług owej platońskiej wydzielin - bywał szokiem.

W obserwowaniu tego, jak sama myśl, samo oderwanie wysokie - poci się, mruga, w uchu podłubie, lepiej lub gorzej panując nad ową własną maszyną, która, ducha dźwigając, duchowi tak często przeszkadza, zawsze było dla mnie coś z ikonoklastycznej, złośliwym humorkiem podszytej satysfakcji. Pamiętam, jak wiozł mnie raz pewien znakomity filozof, który przyznawał się do solipsyzmu, i opona mu siadła. Przerwawszy dyskurs na temat feerii złudzeń, jaką wszelki byt stanowi, zabrał się zupełnie zwyczajnie, stękając nieco nawet, do windowania wozu, wytaczania koła rezerwowego, a ja patrzyłem na to z dziecinnym zadowoleniem, jakbym ujrzał Chrystusa zakatarzonego. Używając złudzenia-klucza, zakręcał kolejno nakrętki-fantasmagorie, potem spojrzął z rozpaczą na ręce pokryte brudem, właściwie mającym tylko wartość snu, wedle jego doktryny - ale jakoś mu to wcale do głowy nie przychodziło.

Jako dziecko wierzyłem prawdziwie, że istnieje kategoria osób doskonałych, do której należą przede wszystkim uczeni, a najświętszymi być muszą wśród nich profesorowie uniwersytetu: rzeczywistość zmusiła mnie do zrezygnowania z tak idealnych przekonań.

Znając Donalda od dwudziestu lat, nic nie mogłem jednak poradzić na to, że naprawdę był owym uczonym, w którego skłonne są wierzyć już tylko osoby bardzo anachronicznie egzaltowane. Baloyne, też wielki umysł, ale i grzesznik, prosił raz, pamiętam, Donalda natarczywie, aby zechciał dla zrównania się z nami przynajmniej z rzadka, a chociaż raz jeden zdradzić jakiś swój brzydki sekret, w ostateczności - popełnić coś niecnego, co uczyniłoby go w naszych oczach bardziej ludzkim. Lecz on uśmiechał się tylko spoza swojej fajki!

Tego wieczoru, kiedyśmy szli dolinką między zboczami wydm, w czerwonym świetle zachodu, a ja obserwowałem projekcję naszych cieni na piasku, którego ziarna - jak na obrazach impresjonistów - zdawały się wydzielać liliowy brzask, jakby mikroskopijnych płomyków gazu, Prothero zaczął mi mówić o swoich pracach nad „zimnymi” reakcjami jądrowymi Żabiego Skrzeku. Słuchałem raczej z uprzejmości i zdziwiłem się, kiedy powiedział, że nasza sytuacja przypomina mu tę z projektu Manhattan.

- Jeśli nawet lawinową reakcję da się w Żabim Skrzeku wyzwalać na wielką skalę - zauważyłem - i tak moc bomb wodorowych jest nieograniczona technicznie, więc nie grozi nam chyba nic z tej strony.

Wtedy schował fajkę. Był to ważny znak. Poszukał w kieszeni rolki filmu i dał mi ją, rozwiniętą; za źródło światła posłużył czerwono obrzmiały dysk słońca. Orientuję się w

mikrofizyce na tyle, że rozpoznałem serię zdjęć treków z małej komory pęcherzykowej. Donald bez pośpiechu, stojąc tuż przy mnie, pokazał mi kilka miejsc osobliwych. W samym środku komory znajdowała się malutka, jak koniec szpilki, grudka Żabiego Skrzeku, a gwiazda rozprysniętego jądra, rozkrzyżowana w torach jego odłamków, widniała obok - jakiś milimetr poza obrębem śluzowej kropelki. Nie widziałem w tym nic szczególnego - lecz nastąpiły objaśnienia i dalsze zdjęcia. Zachodziło coś niemożliwego: nawet kiedy kropelka otoczona była ze wszystkich stron ołowianą łupiną, gwiazdki pękających atomów pojawiały się w komorze - na zewnątrz tego pancrzyka!

- Reakcja jest zdalna - wnioskował Prothero. - Energia znika w jednym miejscu, razem z rozlatującym się atomem, który pojawia się w innym miejscu. Widziałeś kiedy, jak sztukmistrz chowa jajko do kieszeni, a wyjmuje z ust? To jest to samo.

- Ależ to trick! - jeszcze wciąż nie mogłem, nie chciałem zrozumieć. - Atomy, w trakcie rozpadu, przeskakują przez osłonę? - spytałem.

- Nie. Po prostu znikają w jednym miejscu i pojawiają się w innym.

- Toż to jest sprzeczne z zasadą zachowania!

- Niekoniecznie, bo robią to bardzo szybko - tu wlatą, tam wylata, uważasz. Bilans pozostaje nie zamieniony. A wiesz, co je transportuje tym cudownym sposobem? Pole neutrinowe. I to modulowane oryginalną emisją - jak gdyby „boski wiatr”.

Wiedziałem, że taki efekt jest niemożliwy, ale ufałem Donaldowi. Jeżeli ktoś zna się na naszej półkuli na jądrowych reakcjach, to właśnie on. Spytałem o zasięg tego efektu. Widać, chociaż jeszcze sobie tego nie uświadamiałem, już budziły się złe myśli.

- Nie wiem, jaki MOŻE być. W każdym razie nie jest mniejszy od średnicy mojej komory - dwa i pół cala. Robiłem to też w Wilsonie - dziesięć cali.

- Możesz kontrolować reakcję? To znaczy - określać docelowe miejsce tych „przenosin”?

- Z największą dokładnością. Cel wyznaczany jest fazowo - tam gdzie pole osiąga maksimum.

Próbowałem pojąć, jaki to jest rodzaj działania. Jądra rozpadały się w Żabim Skrzeku, a treki rozpadu wyskakiwały równocześnie poza nim. Donald twierdził, że zjawisko leży poza zasięgiem naszej fizyki - z jej stanowiska jest zakazane. Efekty kwantowe w takiej skali makroskopowej nie są dozwolone - w obrębie naszych teorii. Pomału rozwiązał mu się język. Na trop wpadł przypadkowo, ze swoim współpracownikiem McHillem, kiedy spróbował - na oślep właściwie - powtórzyć, za Romneyem, ale w fizykalnym wariacie, doświadczenia tamtego. Działał na Żabi Skrzek promieniowaniem emisji. Nie miał pojęcia, czy coś z tego

wyniknie. Wynikło. Było to tuż przed jego wyjazdem do Waszyngtonu. Pod jego tygodniową nieobecność McHill budował według wspólnego planu większą aparaturę, która miała pozwolić na przenoszenie i ogniskowanie reakcji w promieniu kilku metrów.

Kilku metrów. Myślałem, że się przesłyszałem. Donald, z wyrazem twarzy człowieka, który dowiedział się, że ma raka, i fenomenalnie panuje nad sobą, zauważył, że nic w zasadzie nie udaremnia zbudowania takiej aparatury, która pozwoliłaby spotęgować efekt miliony razy - w mocy i w zasięgu.

Spytałem, kto o tym wie. Nie powiedział nic nikomu, nawet Radzie Naukowej. Wyjaśnił mi swoje motywacje. Miał do Baloyne'a pełne zaufanie, ale nie chciał go stawiać w ciężkiej sytuacji, bo Yvor był tym spośród nas, który bezpośrednio odpowiadał za całość prac przed administracją. Skoro tak było, nie mógł już powiedzieć tego nikomu innemu z członków Rady. Za swojego McHilla ręczył. Spytałem, do jakiej granicy. Popatrzył na mnie, potem wzruszył ramionami. Był zbyt rozsądny, aby nie wiedzieć, że rozpoczyna się gra o stawkę tak wysoką, iż nie można już ręczyć za nikogo. Choć było raczej chłodno, spościłem się podczas dalszej rozmowy jak mysz. Donald wyjawiał mi, po co był w Waszyngtonie. Napisał w sprawie Projektu memoriał i złożył go, nie mówiąc o tym nikomu, na ręce Rusha, a teraz polecał po odpowiedź; Rush wezwał go. Przedkładał tam administracji, jak szkodliwa jest tajność naszych prac. Wyłożył, że gdybyśmy nawet zyskali wiedzę zwiększającą nasz potencjał militarny, spowoduje to tylko wzrost globalny zagrożenia. Stan obecny oparty jest na pełnej równowadze i bez względu na to, na którą stronę przechyli się szala, jeśli tylko ruch, jakim ona się przechyli, będzie zbyt gwałtowny, może to doprowadzić do desperackich kroków strony przeciwnej. Równowaga utrzymuje się dzięki temu, że każdy krok jednej strony druga paruje. Tak biegnie wyścig zbrojeń i posunięć politycznych. Aczkolwiek miałem trochę za złe Donaldowi, że nawet ze mną się nie porozumiał, nie dałem tego po sobie znać, spytałem tylko, jaką dostał odpowiedź. Mogłem się zresztą łatwo jej domyślić.

- Mówiłem z generałem. Oświadczył mi, że zdają sobie doskonale sprawę z tego, co napisałem, ale musimy działać jak dotąd, bo nie wiadomo, czy druga strona nie prowadzi dokładnie takich samych prac, jak my więc ewentualnym odkryciem nie naruszymy równowagi, ale przeciwnie, przywrócimy ją. Wpakowałem się w porządną kabałę! - zakończył.

Zapewniłem go, wbrew lepszej wiedzy, że odłożą ten jego memoriał ad acta, ale to go nie uspokoiło.

- Pisałem to - powiedział - kiedy nie miałem w zanadrzu nic, zupełnie nic. A kiedy memoriał leżał już u Rusha, wpadłem na trop tego efektu. Myślałem o tym nawet, żeby ten

nieszczęsny dokument wycofać, ale to by dopiero wydało się im podejrzane! No, wyobraź sobie, jak będą mi teraz patrzyli na palce!

Wspomniał o „przyjacielu” naszym, Wilhelmie Eeneyu. I ja nie wątpiłem, że musiał już otrzymać odpowiednie instrukcje. Spytałem Donalda, czy nie sądzi, że doświadczenia należy przerwać, a samą aparaturę po prostu rozmontować albo i zniszczyć. Niestety, wiedziałem, co mi odpowie.

- Nie można zakrywać raz zrobionych odkryć. Poza tym jest McHill. Posłucha mnie, dopóki jest w tym ze mną i pracujemy razem, ale nie wiem, co zrobi, jeśli bym zdecydował się na to, co mówisz. Gdybym zresztą mógł nawet i wtedy być go pewnym, nic to nie da prócz pewnej zwłoki. Biofizycy ułożyli już plan na przyszły rok. Widziałem brulion. Chcą robić coś podobnego do tego, co robiłem. Mają komory, mają dobrych nukleoników - jak Pickering - mają inwerty, chcą analizować efekty mikrodetonacji w monomolekularnych warstwach Żabiego Skrzeku, w drugim kwartale. Aparatura jest automatyczna. Będą robili parę tysięcy zdjęć dziennie i efekt sam wlezie im w oczy.

- W przyszłym roku - powiedziałem.

- W przyszłym roku - powtórzył.

Nie bardzo było wiadomo, co można jeszcze do tego dodać. Wracaliśmy w milczeniu wśród wydm, które ledwo oświetlał rąbek czerwonego słońca, osuwającego się za horyzont. Pamiętam, że idąc widziałem otoczenie z taką wyrazistością i wydawało mi się tak piękne, jakbym miał wnet umrzeć. Zanim jeszcze rozstaliśmy się, chciałem zapytać Donalda, czemu mnie właśnie wybrał na powiernika, ale nie zrobiłem tego. Naprawdę nic już nie było do powiedzenia.

XIII

Problem, wyłuskany z otoczki fachowych terminów, był prosty. Jeśli Prothero nie mylił się i dalsze doświadczenia miały potwierdzić wcześniejsze, okazywało się możliwe wywołanie wybuchu jądrowego takie, żeby, przeniesiony z szybkością światła, nie tam wyzwolił niszczącą energię, gdzie go detonowano, ale w dowolnie wybranym punkcie globu. Przy następnym spotkaniu pokazał mi Donald ideowy schemat aparatury oraz wstępne obliczenia, z których wynikało, że - jeśli efekt pozostanie liniowy, przy wzroście mocy i odległości - nic nie stawia obojgu granic. Można by nawet Księżyc roztrzaskać, zgromadziwszy na Ziemi dostateczną ilość rozszczepialnego materiału i ogniskując na Księżycu, jako na celu, reakcję.

Były to fatalne dni, a może jeszcze gorsze były noce, podczas których obracałem w głowie całą sprawę na wszystkie strony. Prothero potrzebował jeszcze pewnego czasu, do zmontowania aparatury. Wziął się do tego McHill, my zaś z Donaldem zajęliśmy się teoretycznym opracowaniem danych, przy czym naturalnie szło tylko o czysto fenomenalistyczne ich ujęcie. Nie umawialiśmy się nawet, że będziemy to robić razem - współpraca ta sama z siebie jakoś wynikła. Musiałem, pierwszy raz w życiu, stosować przy obliczeniach pewne „minimum konspiracyjne”, więc niszczyć wszelkie notatki, kasować pamięć w maszynie cyfrowej i nie telefonować do niego nawet w sprawach obojętnych, gdyż nagły wzrost ilości naszych kontaktów też mógł wzbudzić niepożądane zainteresowanie. Obawiałem się trochę przenikliwości Baloyne'a i Rappaporta, lecz widywaliśmy się rzadziej. Yvor miał mnóstwo zajęć w związku ze zbliżającą się wizytą wpływowego senatora McMahona, człowieka wielkich zasług i przyjaciela Rusha, a Rappaporta w tym czasie zagarnęli informacjoniści.

Że zaś jako członek Rady, jeden z „wielkiej piątki”, ale „bez teki”, nie należałem nawet formalnie do żadnego zespołu i mogłem rozporządzać swoim czasem, długie nocne posiedzenia przy głównym komputerze nie zwracały uwagi, tym bardziej, że i poprzednio, choć z innych powodów, postępowałem podobnie. Okazało się, że McMahon przyjedzie wcześniej, niż Donald zakończy montaż aparatury. Nie chcąc składać żadnych specyfikowanych zamówień w administracji Projektu, pożycział po prostu potrzebne urządzenia w innych zespołach, co też nieraz i dawniej się zdarzało. Musiał jednak wymyślić dla reszty swych ludzi inne zadanie, i to nie budzące wątpliwości w jego sensowność.

Dlaczego właściwie tak nam zależało na tym, aby przyspieszyć doświadczenia, trudno

mi powiedzieć. O wszelkich dalszych konsekwencjach pozytywnego (a właściwie - negatywnego) wyniku prób w wielkiej skali nie mówiliśmy prawie, lecz wyznam, że w przed-sennych majaczeniach, szukając wyjścia, brałem nawet pod uwagę możliwość mianowania się dyktatorem planety lub sięgnięcia po taką władzę w duumviracie z Donaldem, rozumie się, dla powszechnego dobra. Skądinąd wiadomo, że do powszechnego dobra dążyli w dziejach nieomal wszyscy, a także, w co się takie dążenia obracały. Człowiek stojący u aparatury Donalda mógł w samej rzeczy zagrozić anihilacją wszystkim armiom i krajom. Koncepcji tej nie traktowałem jednak poważnie, nie z braku żylki straceńczej: według mego osądu nie było już nic do stracenia - ale byłem całkiem pewien, że próba taka musi się zakończyć kataklizmem. Krok ów nie mógł sprowadzić na ziemię pokoju - i wyznaję owe rojenia, tylko by ukazać, jak przedstawiał się stan mego ducha.

Wypadki te - i dalsze - opisywano niezliczoną ilość razy w zniekształconych wersjach. Uczeni, którzy rozumieli nasze skrupuły albo jeszcze sprzyjali nam osobiście, jak choćby Baloyne, przedstawili sprawę tak, jak gdybyśmy działali zgodnie ze wskazaniami metodyki właściwej samemu Projektowi albo przynajmniej - ani myśląc o jakimś ukrywaniu rezultatów. Natomiast prasa brukowa, dzięki materiałom, jakich dostarczył „przyjaciel” nasz, Wilhelm Eeney, pasowała Donalda i mnie na zdrajców i agentów, np. w znanej serii reportaży Jacka Sleyera „The MAVO Conspiracy”. To, że ów szum nie zaprowadził nas, jako autorów bezpiecznej machinacji, przed karzący areopag właściwej komisji Kongresu, zawdzięczaliśmy przychylnym wersjom oficjalnym, zakulisowemu poparciu Rusha i temu wreszcie, że sprawa była, gdy doszła do wiadomości publicznej, już zdezaktualizowana.

Co prawda nie ominęły mnie nieprzyjemne rozmowy z poszczególnymi politykami, którym powtarzałem jedno i to samo: wszelkie współczesne antagonizmy mam za zjawiska przejściowe w takim samym sensie, w jakim przejściowe były państwa Aleksandra Wielkiego czy Napoleona. Każdy kryzys światowy można rozważać w terminach strategii dopóty, dopóki konsekwencją tego postępowania nie jest potencjalna zagłada nasza jako biologicznego gatunku. Gdy interes gatunku staje się jednym z członów równania, wybór musi być przesądzony automatycznie, i odwołania do ducha patriotyzmu amerykańskiego, demokracji czy też jakiegokolwiek inne tracą wszelki sens. Kto stoi na innym stanowisku, nie jest dla mnie nikim innym, jak wirtualnym likwidatorem ludzkości. Przesilenie wewnątrz Projektu minęło, lecz przyjdą niechybnie inne. Rozwój technologii zakłóca równowagę naszego świata i nic nie uratuje nas, jeśli ze zrozumienia tego stanu rzeczy nie wyciągniemy praktycznych wniosków.

Zapowiadany senator pojawił się wreszcie ze świtą i został przyjęty z należytymi

honorami, przy czym okazał się człowiekiem taktownym, nie wdawał się bowiem z nami w pogawędki znane jako „palavery” białego człowieka z dzikiem. W obliczu nowego roku budżetowego Baloyne’owi zależało bardzo na możliwie najlepszym usposobieniu senatora do prac i osiągnięć Projektu, a że ufał zwłaszcza swoim własnym talentom dyplomatycznym, starał się okupować McMahona. Ten jednak wywinął mu się zręcznie i zaprosił mnie na pogawędkę. Jak później się zorientowałem, szło o to, że wśród wtajemniczonych Waszyngtonu uchodziłem już za „leadera opozycji” i senator pragnął się dowiedzieć, jakie jest moje „votum separatum”. O czym zresztą podczas obiadu ani myślałem. Baloyne, jako bystrzejszy w tym obszarze spraw i rozgrywek, wciąż chciał zaaplikować mi odpowiednie „nastawienia”, ale przedzielał nas senator, więc tylko sygnalizował ku mnie minami, które miały być znacząco wymowne, dyskretne i napominające jednocześnie. Poprzednio nie omieszkał bowiem udzielić mi instrukcji, co teraz chciał naprawić, i gdyśmy wstawali od stołu, przyszykował się do skoku w moją stronę, lecz McMahon ujął mnie kordialnie wpół i poprowadził do swego apartamentu.

Poczęstował mnie bardzo dobrym Martellem, który przywiózł chyba ze sobą, bo go w naszej hotelowej restauracji nie zauważyłem. Przekazał mi pozdrowienia od wspólnych znajomych, dowcipnie wyraził żal, że nie może sam korzystać z dzieł, które przyniosły mi sławę, i nagle, ale jakby od niechcienia, zapytał, czy kod został, czy też nie został odczytany. Tum go miał.

Rozmowa toczyła się w cztery oczy, bo całą świątę senatora oprowadzano tymczasem po tej części laboratoriów, którą nazywaliśmy „wystawową”.

- I tak, i nie - odpowiedziałem. - Czy może pan nawiązać kontakt z dwuletnim dzieckiem? Zapewne, jeśli się pan umyślnie do niego zwraca, ale co rozumie dziecko z pana przemówienia budżetowego w senacie?

- Nic - odparł. - Dlaczego więc powiedział pan „i tak, i nie”, jeśli jest tylko „nie”?

- Ponieważ coś jednak wiemy. Widział pan nasze „eksponaty”...

- Słyszałem o pana dowodzie. Udowodnił pan, że „list” jest opisem jakiegoś obiektu, prawda? Ten wasz Żabi Skrzek stanowi zatem częśćkę owego obiektu - czy tak nie jest?

- Senatorze - powiedziałem - proszę nie mieć do mnie żalu, jeżeli to, co powiem, nie zabrmi dostatecznie jasno. Nie mam na to rady. To, co się laikowi wydaje najbardziej niezrozumiałe w naszej pracy - a właściwie w naszym niepowodzeniu dotychczasowym - sprowadza się do tego, że myśmy niby „kod” częściowo rozłamali, a potem utknęliśmy, podczas kiedy specjaliści od szyfrów twierdzą, że jeśli się taki szyfr rozłamie częściowo, to potem już robota musi iść jak po maśle. Prawda?

Skinał tylko głową; widziałem, że słucha uważnie.

- Istnieją, najogólniej rzecz biorąc, dwa znane nam rodzaje języków. Zwykle języki, jakimi posługują się ludzie, a dalej - języki, których człowiek nie wytworzył. Takim językiem przemawiają organizmy do organizmów: mam na myśli tak zwany kod dziedziczności. Ten kod nie jest odmianą języka naturalnego, ponieważ nie tylko zawiera informację o budowie organizmu, ale potrafi tę informację sam przekształcić w taki organizm. Ten kod jest więc pozakulturowy. Żeby rozumieć język naturalny ludzi, koniecznie trzeba zaznajomić się przynajmniej po trosze z ich kulturą. Natomiast, żeby poznać kod dziedziczności, znajomość jakichkolwiek własności kultury nie jest potrzebna. Wystarczy w tym celu odpowiednia wiedza z zakresu fizyki, chemii i tak dalej.

- To, że jednak częściowo się wam udało, świadczy o tym, że „list” jest spisany językiem podobnym do języka dziedziczności?

- Gdyby tak tylko było, nie mielibyśmy poważniejszego kłopotu. Rzeczywistość przedstawia się gorzej, ponieważ, jak zwykle, jest bardziej skomplikowana. Różnica między „językiem kulturowym” a „językiem akulturowym” nie przedstawia czegoś absolutnego - niestety. Wiara w absolutny charakter tej różnicy należy do całego szeregu iluzji, jakich pozbywamy się z największym trudem. To, że udało mi się przeprowadzić matematyczny dowód, o którym pan, wspomniał, świadczy jedynie o tym, że „list” nie został spisany w języku należącym do tej samej kategorii, do jakiej należy język, jakim teraz się posługujemy. Z tego, że poza kodem dziedzicznym oraz językiem naturalnym nie znamy żadnych innych, nie wynika jeszcze, że ich nie ma. Przypuszczam, że istnieją takie „inne języki”, i w jednym z nich spisano „list”.

- I jakże się przedstawia ten „inny język”?

- To mogę panu tylko dać ogólnie do zrozumienia. Mówiąc w uproszczeniu, organizmy „porozumiewają się” w ewolucji, „wypowiadając” pewne zdania, które są genotypami, a „słowa” w nich odpowiadają chromosomom. Ale kiedy uczonego przedstawi panu strukturalny wzór genotypu, już nie ma pan do czynienia z „kodem akulturowym”, ponieważ uczonego ten przetłumaczył kod dziedziczności na język symboli, chemicznych powiedzmy. Otóż, żeby od razu wejść w sedno, domyślamy się już, że „język akulturowy” to jest mniej więcej coś takiego, jak „rzecz w sobie” Kanta. Nie można osiągnąć ani tego kodu, ani takiej rzeczy. To, co pochodzi z kultury, i to, co pochodzi „od natury”, czyli od „samego świata”, pojawia się - kiedy mamy przed sobą dowolną wypowiedź - jako dwuskładnikowa „mieszanka”. W języku Merowingów albo haseł politycznych partii republikańskiej procentowa przymieszka „kultury” jest bardzo znaczna, a to, co od kultury nie zależy, czyli

„składnik prosto ze świata”, występuje tam w niewielkiej ilości. W języku, którym się posługuje fizyka, jest niejako na odwrót: dużo w nim „tego, co naturalne”, co pochodzi z „samej natury”, i mało w nim tego, co ukształtowane kulturą. Lecz stan doskonałej czystości „akulturowej” zasadniczo osiągnąć się nie daje. Wyobrazenie, jakoby, posyłając innej cywilizacji w kopercie wzory atomowe, można było wyrugować z takiego „listu” wszelkie przymieszki kulturowe - to wyobrazenie opiera się na iluzji. Tę przymieszkę można poważnie zmniejszyć, lecz nikt nigdy, w całym Kosmosie, nie może jej usunąć do zera.

- List jest spisany w języku „akulturowym”, ale jednak posiada domieszkę kultury Nadawców? Tak? Na tym polega trudność?

- Na tym polega jedna z trudności. Nadawcy różnią się od nas zarówno kulturą, jak i wiedzą, nazwijmy ją tak, przyrodniczą. Dlatego trudność jest co najmniej dwustopniowa. Domyślić się ich kultury nie możemy - ani teraz, ani, jak sędzę, za tysiąc lat. Oni muszą o tym doskonale wiedzieć. Toteż wysłali taką informację, do której odczytania znajomość ich kultury nie jest potrzebna - prawie na pewno.

- A więc ten kulturowy czynnik nie powinien przeszkadzać?

- Senatorze, nie wiemy nawet tego, CO właściwie najbardziej nam przeszkadza. Oszacowaliśmy cały „list” pod względem jego złożoności. Jest ona taka, że odpowiada z grubsza klasie znanych nam systemów - społecznych i biologicznych. Nie mamy żadnej teorii systemów społecznych, dlatego byliśmy zmuszeni jako modeli „przystawianych” do listu używać genotypów albo raczej nie samych genotypów, lecz owej matematycznej aparatury, jakiej używa się przy ich studiowaniu. Doszliśmy tego, że jeszcze najbardziej podobnym do kodu obiektem jest żywa komórka - albo i cały żywy ustrój. Z tego nie wynika wcale, żeby list naprawdę był jakimś genotypem, a tylko, że spośród wszystkich znanych nam rzeczy, które dla porównania „przystawiamy” do kodu, genotyp jest najprzydatniejszy. Czy pojmuję pan ogrom ryzyka, jakie pociąga za sobą ta sytuacja?

- Nie bardzo. Całe ryzyko może polegać chyba na tym, że jeśli to jednak nie jest żaden genotyp, odczytanie się wam nie uda?

- Postępujemy jak ktoś, kto szuka rzeczy zagubionej nie wszędzie, lecz tylko pod płonąca latarnią, bo tam jest jasno. Wie pan, jak wyglądają taśmy do automatycznego pianina - do pianoli?

- Owszem. To są taśmy z odpowiednim dziurkowaniem.

- Do pianoli może też przypadkiem pasować taśma programowa maszyny cyfrowej, i chociaż ten program nie ma nic, ale to nic wspólnego z muzyką - może odnosić się do jakiegoś równania piątego stopnia - wprowadzony do pianoli będzie produkował dźwięki.

Może być też tak, że nie wszystkie wyprodukowane przez to dźwięki będą kompletnym chaosem, ale że tu i tam da się usłyszeć jakaś fraza muzyczna. Czy domyśla się pan, czemu użyłem tego przykładu?

- Chyba tak. Pan sądzi, że Żabi Skrzek jest „muzyczną frazą” powstałą przez włożenie do pianoli taśmy, należącej się właściwie - maszynie cyfrowej

- Tak. Właśnie tak sądzę. Ten, kto używa taśmy cyfrowej do pianoli, popełnia omyłkę i jest zupełnie możliwe, że myśmy właśnie taką omyłkę wzięli za sukces.

- Ale przecież dwa wasze zespoły zupełnie niezależnie od siebie wyprodukowały Żabi Skrzek i Pana Much - a przy tym to jest jedna i ta sama substancja!

- Jeżeli pan ma w domu pianolę i nic nie słyszał pan o istnieniu maszyn cyfrowych, a to samo dotyczy też sąsiada, to, jeśli znajdziecie gdzieś taśmy maszyny cyfrowej, jest całkiem prawdopodobne, że obaj zrobicie to samo - uznacie taśmę za adresowaną do pianoli, bo o innych ewentualnościach nic wam nie wiadomo,

- Rozumiem. To jest, zapewne, pana hipoteza?

- Owszem, to jest moja hipoteza.

- Mówił pan coś o wielkim ryzyku. Na czym ono polega?

- Zamiana taśmy cyfrowej na taśmę pianoli oczywiście nie jest ryzykowna, chodzi o nieporozumienie nieszkodliwe, ale w naszym wypadku może być inaczej, i konsekwencje omyłki stać się mogą nieobliczalne.

- W jaki sposób?

- Tego nie wiem. Mam na myśli pomyłkę takiego rodzaju, jak kiedy ktoś zamiast słowa „koniczyna” w przepisie kuchennym odczytuje słowo „akonityna” i sporządza sos, który przyprawi o śmierć wszystkich biesiadników. Proszę pamiętać o tym, że robiliśmy to, co byliśmy w stanie robić, i w ten sposób narzuciliśmy naszą wiedzę, nasze, być może, uproszczone, może fałszywe mniemanie - kodowi.

McMahon chciał wiedzieć, jak to jest możliwe, skoro to takie podobne do rozłamywania szyfru. Widział Pana Much. Czy można rozszyfrować kod niewłaściwie, a jednak uzyskać tak zdumiewające wyniki? Czy fragment przekładu, jakim jest Pan Much, może być całkowicie fałszywy?

- To możliwe - odparłem. - Gdybyśmy wysłali telegraficznie genotyp człowieka, a Nadawca umiałby na jego podstawie syntetyzować wyłącznie białe ciała krwi, miałby przed sobą coś w rodzaju pełzaków oraz mnóstwo nie wykorzystanej informacji. Nie można twierdzić, że ten, kto produkuje ciała krwi w oparciu o ludzki genotyp, odczytał depeszę właściwie.

- Różnice są takiego rzędu?

- Tak. Wykorzystaliśmy dwa do czterech procent całej informacji kodowej, ale to nie wszystko, bo w tych kilku procentach może tkwić, powiedzmy, jedna trzecia naszego domysłu, to, cośmy sami włożyli w tłumaczenie dzięki naszej wiedzy stereochemicznej, fizycznej i tak dalej. Przy równie niskim stopniu odczytania genotypu człowieka nie dałoby się zresztą sporządzić ciałek krwi. Najwyżej coś w rodzaju martwej białkowej zawiesiny, nie więcej. Uważam zresztą, że przeprowadzenie właśnie takich eksperymentów z ludzkim genotypem - który już jest rozszyfrowany w jakichś siedemdziesięciu procentach - byłoby dla nas niezwykle instruktywne, ale nie możemy ich robić, bo nie mamy na to ani czasu, ani środków.

Gdy spytał, jak oceniam różnicę rozwojową oddzielającą nas od Nadawców, powiedziałem, że wprawdzie ze statystyki von Hoernera i Bracewella wynikało, jako najprawdopodobniejsze, zetknięcie pierwsze z cywilizacją liczącą sobie około 12000 lat, uważam za realną możliwość wiek Nadawców nawet miliardoletni. Inaczej nadawanie sygnału „życiosprawczego” nie dawałoby się racjonalnie usprawiedliwić, bo w ciągu tysiącleci nie może on nic zdziałać.

- Muszą mieć rządy o raczej długiej kadencji - powiedział McMahon. Chciał znać jeszcze moje zdanie o sensowności dalszej pracy, jeśli tak przedstawiają się sprawy.

- Kiedy młody rzezimieszek okradnie pana - powiedziałem - z książeczki czekowej i sześciuset dolarów, to chociaż nic nie pocznie z czekami i nie tknie milionów z pańskiego konta, wcale nie będzie uważał, że źle na tym wyszedł, bo dla niego sześćset dolarów to mnóstwo pieniędzy.

- Tym młodym rzezimieszkiem jesteście my?

- Tak. Okruszynami ze stołu wysokiej cywilizacji możemy żywić się przez wieki... Jeśli zachowamy się rozsądnie.

Może bym coś i dodał w tym miejscu, lecz ugryzłem się w język. Pragnął poznać moją opinię osobistą o „listach” i o Nadawcach.

- Nie są to racjonaści - przynajmniej w naszym rozumieniu - odparłem - Czy wie pan, senatorze, jakie są ich „koszty własne”? Powiedzmy, że dysponują energią rzędu 10 podniesione do 49-ej potęgi ergów. Moc pojedynczej gwiazdy, a tej trzeba dla nadawania sygnału, jest dla nich tym, czym dla nas w Stanach - moc jednej wielkiej elektrowni. Czy nasz rząd zgodziłby się na to, aby wydatkować - przez setki, tysiące lat - moc takiego kompleksu, jak Builder Dam, po to, aby umożliwić powstawanie życia na planetach innych gwiazd, gdyby to było - przy tak mikroskopijnym nakładzie energii - możliwe?

- Jesteśmy zbyt biedni...

- Ależ procent energii zużytej na ten altruistyczny czyn - w obu wypadkach jest podobny.

- Dziesięciocentówka z dolara nie jest tym samym finansowo, czym milion dolarów z dziesięciu milionów.

- Kiedy my właśnie mamy te miliony. Przestrzeń fizyczna dzieląca nas od tej cywilizacji jest mniejsza od moralnej odległości, ponieważ my mamy na Ziemi głodujące masy ludzkie, a oni troszczą się o to, żeby na planetach Centaura, Łabędzia i Kasjopei powstawało życie. Nie wiem, co zawiera „list”, ale w tym świetle nie może zawierać nic takiego, co miałyby nam przynieść szkodę. Jedno nazbyt kłóci się z drugim. Zapewne - udławić można się nawet chlebem. Widzę to tak: jeżeli stanowimy, z naszymi porządkami, z naszą historią, przeciętną kosmiczną - ze strony „listu” nie grozi nam nic. Bo o to pan pytał, prawda? Gdyż oni muszą dobrze znać tę „psychozoiczną stałą” Wszechświata. Jeżeli przedstawiamy aberrację, mniejszość, i ją wezmą, to jest, musieli brać pod uwagę. Ale jeśli jesteśmy nadzwyczajnym wyjątkiem, odchyleniem, dziwolągiem, który zdarza się w jednej Galaktyce na tysiąc, raz w ciągu dziesięciu miliardów lat - takiej szansy mogli nie brać w swych obliczeniach i, w swoich intencjach pod uwagę. Czyli - tak lub owak - oni pozostaną bezwinni.

- Jak Kasandra pan to powiedział - rzekł McMahon i widziałem, że mu nie było do żartów; mnie, także nie zresztą. Rozmawialiśmy jeszcze, lecz nie powiedziałem mu nic takiego, co mogłoby wzbudzić najmniejsze podejrzenia, co wskazywałoby na to, że Projekt wszedł w nową fazę. Ale czułem się, przy pożegnaniu, nieswojo, ponieważ i tak miałem wrażenie, że mówiłem zbyt wiele - szczególnie pod koniec. Musiałem być Kasandrą w mimice, wyrazie bardziej, niż w słowach, ponieważ pilnowałem przede wszystkim słów.

Senator bawił jeszcze u nas, gdy wróciłem do moich obliczeń. Z Baloyne'em zobaczyłem się dopiero po jego odjeździe. Yvor był rozdrażniony i przybity.

- McMahon? - rzekł. - Przyjechał raczej niespokojny, a odjeżdżał zadowolony. Wiesz czemu? Nie wiesz? Administracja boi się sukcesu - zbyt wielkiego. Boi się odkrycia, które miałyby militarne skutki.

To mnie zdumiało.

- Powiedział ci to? - spytałem. Baloyne zachnął się na tę moją naiwność.

- Jak mógłby mi coś takiego powiedzieć?! Ale to oczywiste. Marzą o tym, żeby nic się nam nie udało, a przynajmniej, żeby na koniec wyszło na to, iż przyszła kartka z pozdrowieniami i życzeniami wszystkiego najlepszego. Tak, wtedy ogłosiliby to z wielkim

szumem i trzaskiem i byliby zachwyceni. McMahon poszedł niesłychanie daleko - ty go nie znasz, to człowiek niezwykle ostrożny. A jednak przyciskał w cztery oczy Romneya w sprawie najdalszych konsekwencji technologicznych Żabiego Skrzeku. Najdalszych! I z Donaldem też o tym mówił.

- I co oni? - spytałem. O Donalda mogłem się nie martwić. Był jak kasa pancerna.

- Właściwie nic. Donald nie wiem nawet, co mu powiedział, a Romney tylko tyle, że mógłby mu się zwierzyć jedynie ze swoich koszmarów nocnych, bo na jawie nie widzi nic.

- To dobrze.

Nie ukrywałem zadowolenia. Baloyne wykazywał jednak oznaki depresji: wsadził rękę we włosy, potrząsnął głową i westchnął.

- Ma do nas przyjechać Learney - powiedział. - Z jakąś teorią na nasz temat, z jakimś własnym konceptem. Nie wiem dokładnie, z czym, bo McMahon powiedział mi to dosłownie w ostatniej chwili, kiedy wsiadał do maszyny.

Learneya znałem - był to kosmogonista, jeden z byłych uczniów Hayakawy, byłych, bo niektórzy mówili, że wyrasta ponad swego preceptora. Nie pojmowałem tylko, jaki związek może mieć jego fach z Projektem i skąd w ogóle się o nim dowiedział?

- I gdzie ty żyjesz? Czy nie rozumiesz, że administracja dubluje naszą pracę? Nie tylko patrzą nam stale na ręce, ale jeszcze i to!

Nie chciało mi się w to wierzyć. Spytałem, skąd wie o tym i czy to możliwe, by mieli jakiś Kontrprojekt, rodzaj paralelnej kontroli naszych działań? Baloyne zdaje się nie wiedział nic dokładnego, a ponieważ bardzo nie lubi przyznawać się do takiej ignorancji, rozkołysał sam siebie tak, że już przy Dillu i Donaldzie, którzy nadeszli, zawołał, iż właściwie obowiązkiem jego jest w tej sytuacji złożyć rezygnację ze stanowiska!

Groźby takie padały od czasu do czasu przy akompaniamencie grzmotów, jako że Baloyne nie może żyć w małej skali i pewien rozmach operowy jest jego energetyce niezbędny, lecz tym razem połączyliśmy się w perswazjach, aż, uznawszy nasze racje, uciekł i miał już odejść, gdy przypomniał sobie nagle moją rozmowę z McMahonem i jął mnie wypytywać, co mu powiedziałem. Powtórzyłem mniej więcej wszystko, ale bez Kasandry, taki był epilog senatorskiej wizyty.

Niebawem wyjawilo się, że przygotowania zajmą Donaldowi więcej czasu, niż sądził. Mnie też nie było łatwo - teoria zaczęła się gmatwać, puszczałem w ruch rozmaite sztuczki, przyboczny arytmometr (tak go określano) nie wystarczał, trzeba było wciąż chodzić do głównego ośrodka obliczeniowego, co nie należało do przyjemności, trwały bowiem huraganowe wiatry i wystarczyło przejść ulicą sto kroków, żeby mieć piasek w uszach, nosie,

nawet za kołnierzem.

Mechanizm, dzięki któremu Żabi Skrzek pochłaniał wytwarzaną energię jądrową, był wciąż niejasny, niej mniej od sposobów, jakimi pozbywał się szczątków owych mikroeksplozji, a były to wszystko izotopy o twardym promieniowaniu gamma, głównie ziem rzadkich. Stworzyliśmy z Donaldem teorię fenomenalistyczną, która przewidywała nieźle wyniki doświadczeń - ale tylko wstecz, żeby tak powiedzieć, to znaczy w obrębie poznanego; gdy powiększało się skalę eksperymentu, przewidywania rozchodziły się z wynikami. Efekt Donalda, nazwany przezeń Trexem (Transport Eksplozji), dawało się realizować niezwykle łatwo. Prothero rozpląszczał bryłkę Żabiego Skrzeku między płytkami szkła, a gdy warstewka stawała się monomolekularna, na całej powierzchni ruszała reakcja rozpadu, przy czym przy większych „dawkach” aparatura (jej stary, poprzedni model) ulegała zniszczeniu. Lecz nikt jakoś nie zwracał na to uwagi: w laboratorium stał taki huk, tak w nim strzelało, jakby to była jakaś zbrojownia testująca materiały wybuchowe. Donald, gdy go spytałem, wyjaśnił mi, nawet się nie uśmiechnąwszy, że jego ludzie badają rozchodzenie się fali balistycznej w Żabim Skrzeku - taki wymyślił im temat, kanonadą ową maskował, skutecznie własne zakusy!

Tymczasem teoria rozłąziła mi się - widziałem, iż właściwie już jej nie ma od dawna, tyle że nie przyznawałem się do tego przed sobą. Praca nad nią wymagała wiele - i była tym trudniejsza, że nie miałem do niej serca. Jak się to czasem dzieje, słowa, które wypowiedziałem w spotkaniu z McMahonem, zaczarowały mnie. Nieraz obawy nasze póty są nie całkiem obecne, nieszkodliwe jak gdyby, póki ich wyraźnie nie sformułujemy. To właśnie mi się przytrafiło. Żabi Skrzek nieodwracalnie już wydawał mi się artefaktem, rezultatem fałszywego odczytania kodu, a widziałem to tak: Nadawcy na pewno nie zamierzali nam przesłać puszeki Pandory, ale my, jako włamywacze, uszkodziliśmy jej zamki, odcisnęliśmy w dobytej treści to wszystko, co stanowi w ziemskiej nauce cechy jej interesowne, łupieżcze, bo też - tak myślałem - fizyka atomowa dobiła się sukcesu tam właśnie, gdzie otwarła się szansa zdobycia energii najbardziej destrukcyjnej.

Dlatego energetyka jądrowa kuśtyka wciąż w ogonie produkcji bomb, dlatego istniały ładunki wodorowe, ale nie było wciąż wodorowych stosów, cały mikroświat ukazywał człowiekowi swoje - wykoślawione owym jednostronnym podejściem - wewnątrz, dlatego o silnych oddziaływaniach wiedzieliśmy daleko więcej, niż o słabych. Dyskutowałem na owe tematy z Donaldem - nie zgadzał się ze mną, uważając, że jeśli w ogóle ktoś jest obarczony „winą” za „jednostronność fizyki” (ale on i owej jednostronności przeczył) - to nie my, lecz świat, skutek swojej struktury. Gdyż niszczyć jest po prostu, w każdym rozumieniu

obiektywnym, łatwiej - zgodnie z regułą najmniejszego działania choćby, aniżeli kreować, ponieważ destrukcja jest gradientem zgodna z głównym kierunkowskazem procesów w całym Kosmosie, kreacja natomiast zawsze musi iść pod ich prąd.

Przypomniałem mu mit prometejski. W jego obrazie mają się schodzić, jak w źródle, godne uznania i nawet czci tendencje nauki, ale mit ów wynosi nie rozumienie bezinteresowne, lecz wydarcie, nie poznanie, lecz opanowanie, oto fundamenty całej empirii. Powiedział mi, że takimi supozycjami uradowałbym freudystę, skoro motywy poznania sprowadzam do agresji i sadyzmu. Widzę teraz, że doprawdy traściłem po trosze rozsądek jako rozwagę, chłód jako skutek dyrektywy działania sine ira et studio - i przenosiłem moimi spekulacjami „winę” z nieznanych Nadawców na ludzi, wieczny mizantrop.

W pierwszych dniach listopada aparatura ruszyła, lecz wstępne, na małą skalę podjęte doświadczenia nie udawały się - kilkakrotnie detonacja występowała z takim rozrzutem, że doszło do niej poza głównym murem ekranującym, i choć była nikła, przecież wystąpił skok promieniowania do 60 rentgenów; wypadło wznieść wokół ekranowania drugą, zewnętrzną osłonę. Tak masywnej już nie dało się ukryć - jakoś Eeney, który dotąd nigdy nie bywał w laboratoriach fizycznych, pokazał się kilkakrotnie u Donalda, a to, że o nic nie pytał, jedynie przypatrywał się i kręcił, też nie najlepiej wróżyło. W końcu Donald wyprosił go za drzwi, mówiąc, że przeszkadza pracującym. Ganiłem go za ten krok - odparł, chłodniejszy ode mnie, że tak czy owak rzeczy rychło się rozstrzygną, a do tego czasu nie wpuści Eeneya za próg.

Kiedy patrzę na to teraz, widzę, jak nierozumnie postępowaliśmy obaj, więcej - bezmyślnie nawet. Nadal nie wiem, co należało robić, lecz owa działalność konspiracyjna, nie mogę powiedzieć inaczej, temu służyła tylko, abyśmy zachowali ułudę czystych rąk. Zabrnęliśmy fatalnie. Zaawansowanych prac nie można było ani ukryć, ani - w obliczu bezprzedmiotowości utrzymywania tajemnicy - zrezygnować z niej nagle jednego dnia. Należało uczynić to albo natychmiast po odkryciu Trexu - albo nigdy. Oba te wyjścia, jakkolwiek logiczne, były przed nami zamknięte, świadomość tego, że biofizycy będą za kwartał poruszali się w owym tak „gorącym” terenie, skłoniła nas do pośpiechu. Obawa o losy świata - bo nic mniejszego, przecież - spowodowała prawdziwie odruchowe zatajenie prac. Wyjść teraz z ukrycia - było to narazić się na zdumione pytania: no dobrze, ale dlaczego przyszliście z tym właśnie teraz? Czy macie już wyniki ostateczne? Czemu nie przyszliście z pierwszymi? Nie wiedziałbym, co na to odpowiedzieć.

Prothero żywił mglistą nadzieję, że w wielkiej skali efekt będzie dawał coś w rodzaju „rykoszetu” - bo na to wskazywała wyjściowa teoria, ale, po pierwsze, okazała się już na nic, a po wtóre, ową furtkę otwierała po przyjęciu pewnych założeń, z których na dalszym etapie

wynikały ujemne prawdopodobieństwa.

Baloyne'a unikałem w tym okresie, jak mogłem, miałem bowiem nieczyste wobec niego sumienie. Lecz jego trapiły inne kłopoty - oprócz Learneya oczekiwaliśmy już drugiego „pozaprojektowego” człowieka, obaj mieli oświecić nas swoimi wykładami pod koniec miesiąca i takie jawne już przyznanie się Waszyngtonu do posiadania „swoich” specjalistów Głosu Pana, i to pracujących bez wszelkiej z nami łączności, stawiało Baloyne'a przed wszystkimi zespołami w nadzwyczaj nieprzyjemnym i trudnym położeniu. Dill, Donald, Rappaport (i ja również) uważali jednak, że powinien krzyż swój (a takich to już używał określać) nieść do końca. Zresztą przybywający, awizowani nam ludzie byli obaj pierwszorzędnymi umysłami.

Teraz nie było już mowy o jakimś okrojeniu budżetowym Projektu. Wyglądało na to, że jeśli nieproszeni konsultanci swoimi koncepcjami nie pchną badań naprzód (a wydawało mi się to nieprawdopodobne), Projekt będzie trwał przez bezwładność samą, bo nikt na górze nie ośmielił się, ze względu na sławetny HSR, cokolwiek w nim odmienić - nie mówiąc zgoła o jego likwidacji.

Powstały w Radzie napięcia personalne; między Baloyne'em i Eeneym najpierw, gdyż ten drugi wiedzieć musiał, w naszym przekonaniu, o tym widmowym, drugim Projekcie, Ghost Voice, i przy całej wylewności ani się o nim zająknął (a Baloyne'owi stale świadczył grzeczności). A dalej: między naszą „konspiracyjną dwójką” i znów Baloyne'em - gdyż czegoś jednak domyślał się, czasem widziałem, jak wodzi za mną oczyma, jakby oczekując wyjaśnień, napomknienia chociażby. Lecz manewrowałem tylko, jak mogłem, niezbyt zręcznie pewno, bo rozgrywanie takich partii nigdy nie było moją mocną stroną. Rappaport miał za złe Rushowi, że nawet on, pierwoodkrywca, o Ghost Voice nie był informowany; toteż posiedzenia Rady stały się więcej aniżeli nieprzyjemne przez atmosferę zadrażnień, podejrzliwości i przybicia. Zameczałem się nad programami dla maszyn, marnując swój czas i siły, bo mógł je sporządzić byle programista, lecz wzgląd na „konspirację” zwyciężał.

Zamknąłem wreszcie obliczenia niezbędne Donaldowi, lecz on nie był jeszcze gotów z aparaturą. Nie mając nic do roboty, pierwszy raz od przybycia do Projektu próbowałem obejrzeć jakiś program telewizyjny, ale wszystko wydało mi się w nim niewymownie fałszywe i pozbawione sensu, łącznie z kronikami filmowymi; udałem się do baru, lecz i tam nie usiedziałem. Nie mogąc, znaleźć sobie miejsca poszedłem wreszcie do ośrodka cyfrowego i zamknąwszy się starannie, rozpocząłem obliczenia, których nikt już ode mnie nie wymagał.

Operowałem po raz drugi skalaniem, by tak rzec, wzorem Einsteina na równoważność masy i energii. Oszacowałem moc dyspozycyjną dla inwertorów i przekaźników eksplozji na

dystans równy średnicy kuli ziemskiej; niewielkie trudności techniczne, jakie się przy tym pojawiły, zaabsorbowały mnie, lecz nie na długo. Atak realizowany efektem Trexu wykluczał wszelkie uprzedzenie. Po prostu, w pewnym momencie, ziemia pod ludzkimi stopami miała się obrócić w słoneczną lawę. Można też było wywołać eksplozję nie na poziomie gruntu, lecz pod nim, i to na dowolnej głębokości. Tym samym zarówno stalowe tarcze osłony, jak i cały masyw Gór Skalistych, które miały chronić sztaby w ich wielkich podziemnych bunkrach, traciły wszelkie znaczenie. Nie było już nadziei nawet na to, że generałowie, ci najcenniejsi ludzie naszego społeczeństwa, jeśli wartość osobową mierzyć środkami zainwestowanymi w ochronę zdrowia i życia, wydostaną się, jako ostatni ludzie, na wypaloną radioaktywnie powierzchnię ziemi, żeby, po zdjęciu niepotrzebnych chwilowo mundurów, wziąć się do odtwarzania cywilizacji od podstaw. Ostatni nędzarz w slumsach narażony był teraz tak samo, jak pierwszy zawiadowca sił nuklearnych.

Dokonywałem prawdziwie demokratycznego zrównania wszystkich żyjących na planecie. Maszyna grzała mi stopy delikatnym podmuchem ciepła, które dobywało się przez szczeliny metalowej żaluzji, i pracowała wystukując na taśmach rządkę cyfr, ponieważ było jej wszystko jedno, czy odnoszą się do gigaton oraz megatrupów, czy do liczby ziarenek piasku na atlantyckich plażach. Rozpacz ostatnich tygodni, która przeszła stopniowo w rodzaj gniotącego ucisku, nagle ustąpiła. Pracowałem żywo i z satysfakcją. Nie działałem już na przekór sobie, owszem, robiłem to, czego się po mnie spodziewano. Byłem patriotą. Stawiałem się raz w sytuacji atakującego, a raz - broniącego, z doskonałą lojalnością.

Problem był jednak pozbawiony strategii wygrywającej. Skoro ognisko eksplozji dawało się przenieść w dowolnie obrany punkt globu - z wybranego, również dowolnie, miejsca - można było zniszczyć życie na obszarze dowolnej wielkości. Klasyczny wybuch atomowy jest pod względem energetycznym marnotrawstwem środków, ponieważ w punkcie „zero” zachodzi „overkill”. Cząstki budynków i ciał ulegają w nim strzaskaniu tysiąckrotnie ponad potrzebę wojskową, podczas kiedy słabnąca z odległością siła rażenia pozwala przeżyć w dość prostym schronie już kilkanaście czy kilkadziesiąt mil dalej.

Ten nieekonomiczny stan rzeczy stawał się pod moimi palcami, kiedy programowałem maszynę, prehistoryczną mumią. Trex był środkiem doskonałym przez swoją oszczędność. Kule ogniowe klasycznych wybuchów można było rozplaszczyc, niejako, rozwalcować w śmiertcioną folię, i podścielić ją pod stopy ludzkie na przestrzeni Azji lub Stanów Zjednoczonych. Trójwymiarowo zlokalizowana warstewka, wyodrębniona z powłoki geologicznej kontynentów, w jednym ułamku sekundy stać się mogła ogniowym trzęsawiskiem. Każdemu człowiekowi przypadało dokładnie tyle wyzwolonej energii, ile było

trzeba dla jego śmierci. Lecz ginącym sztabom pozostawały dziesiętne sekundy dla wysłania sygnału adresowanego do łodzi podwodnych z raketami jądrowymi. Umierający mógł jeszcze zabić przeciwnika. Jeśli mógł, musiał tak właśnie postępować. A więc nareszcie drzwi technologicznej pułapki zatrzasnęły się.

Dalej szukałem wyjścia stawiając się w sytuacji globalnego stratega, a rachunek obracał wniwecz kolejne poszukiwania. Pracowałem biegle, ale czułem drżenie palców, a kiedy nachylałem się nad taśmami wypełzającymi z maszyny, żeby odczytać wyniki, łomotało mi serce; zarazem odczuwałem palącą suchość w ustach i kolkę, jakby mi ktoś powiązał jelita wrzynającym się sznurkiem. Te objawy wisceralnej paniki organizmu obserwowałem z osobliwie chłodną ironią, jakby udzielił się tylko moim mięśniom i kiszkom, podczas gdy we mnie drżał bezgłośny chichot, ten sam sprzed pół wieku, nie odmieniony i nie postarzały. Nie czułem głodu i pragnienia, karmiony i pojony rządkiem cyfr przez pięć bez mała godzin, programując maszynę wciąż od nowa. Wydzierane z kaset taśmy miałem i ładowałem do kieszeni. Wreszcie ta robota stała się jałowa.

Obawiałem się, że jeśli pójdę do hotelu, na widok karty potraw czy twarzy kelnera wybuchnę śmiechem. Do siebie też nie mogłem wracać. Gdzieś jednak musiałem iść. Donald, zajęty swoją pracą, był, przynajmniej na razie, w lepszym położeniu. Na ulicę wyszedłem jak zaczadzony. Zapadał zmrok, osiedle, skąpane w rtęciowym blasku lamp, gwiaździstym konturem wcinając się w mroki pustyni, i tylko w gorzej oświetlonych miejscach można było ujrzeć na ciemnym niebie gwiazdy. Jeszcze jedna zdrada nie miała już znaczenia, złamałem więc dane Donaldowi słowo i poszedłem do mego sąsiada hotelowego, Rappaporta. Zastałem go. Położyłem przed nim zmięte taśmy i zwięźle powiedziałem mu wszystko. Okazał się właściwym człowiekiem. Zadał mi ledwie trzy czy też cztery pytania świadczące o tym, że od razu chwycił wagę i konsekwencje odkrycia. Nasza zmowa konspiracyjna wcale go nie zdziwiła. Nie zwrócił na nią uwagi.

Nie pamiętam, co powiedział mi odłożywszy taśmy, ale zrozumiałem z jego słów, że oczekiwał czegoś podobnego niemal od początku. Lęk stale chodził za nim i kiedy przecucia teraz się urzeczywistniły, intelektualna satysfakcja, a może po prostu świadomość kresu dała mu odczuć pewną ulgę. Musiałem być bardziej roztrzęsiony, aniżeli zdawałem sobie z tego sprawę, bo zajął się najpierw nie końcem ludzkości, lecz mną. Pozostał mi z europejskich tułaczek pewien nawyk, który miałem za śmieszny. Postępował wedle zasady „omnia mea mecum porto”, jakby licząc się odruchowo z koniecznością następnej ucieczki - w każdej chwili. Tak sobie tłumaczyłem to, że w walizkach miał rodzaj „żelaznej racji”, łącznie z maszynką do kawy, cukrem i sucharkami. Znalazła się też butelka koniaku - jedno i drugie

bardzo się przydało. Rozpoczęło się to, co wówczas nie miało nazwy, a co potem wspominaliśmy jako stypę czy też raczej jako jej odmianę anglosaską („wake”), to jest - czuwanie rytualne przy zwłokach. Co prawda nieboszczyk, o którego szło, na razie żył jeszcze i nawet nic nie wiedział o swym nieuchronnym już pochówku.

Piliśmy kawę i koniak, otoczeni taką ciszą, jakbyśmy się znajdowali w miejscu bezludnym, jakby już zaszło to, co miało dopiero się stać. Pojmując się w lot, urywkami wymienianych zdań najpierw odtworzyliśmy przebieg nadchodzących wypadków. Byliśmy zgodnymi scenarzystami. Wszystkie środki zostaną rzucone na budowę urządzeń Trexu. Tacy ludzie, jak my, nie ujrzą już światła dziennego.

Za swoją rychłą zgubę sztabowcy zemszczą się najpierw na nas, nieświadomie zapewne. Nie padną na wznak, unosząc łapki do góry; ponieważ działania racjonalne nie będą możliwe, wezmą się do irracjonalnych. Skoro ani masywy gór, ani stal kilometrowa nie stanowią osłony przed atakiem, uznają za ultymatywny pancierz - tajność. Nastąpi powielenie, rozproszenie oraz w ziemię wstąpienie sztabów, przy czym główną kwaterę przeniesie się zapewne na pokład jakiejś olbrzymiej podwodnej łodzi atomowej albo specjalnie zbudowanego batyskafu, który będzie czuwał, przytulony do oceanicznego dna.

Dojdzie do ostatecznego zapadnięcia się skorupy form demokratycznych, których miąższ i tak już wyżarła porządnie globalna strategia lat sześćdziesiątych. Przejawi się to też w stosunku do uczonych. Nie będzie ochoty, miejsca ani czasu na traktowanie ich z zachowaniem pewnych pozorów - jako zdolnych, lecz kapryśnych dzieci, których raczej nie należy przyprawiać o frustrację.

Gdyśmy zgodnie z maksymą Pascala o trzcinnie myślącej, która łaknie poznania mechanizmów własnej zagłady, przewidzieli z grubsza własny i cudzy los, Rappaport opowiedział mi o swoich wiosennych staraniach tego roku. Zanim przybyłem jeszcze do Projektu, przedstawił generałowi Easterlandowi - on był wtedy szefem MAVO - projekt porozumienia się z Rosjanami. Proponował, żebyśmy wydzielili ekipę odpowiadającą liczebnością i fachem ekipie, jaką wystawią Rosjanie, dla wspólnej pracy nad przekładem „listu”. Easterland wyjaśnił mi wtedy łagodnie, jaka byłaby to naiwność. Rosjanie wystawiliby ekipę pozorowaną, a tymczasem pracowaliby nad „listem” sami.

Spojrzeliliśmy na siebie i roześmieliśmy się, bo przyszła nam do głowy ta sama myśl. Easterland opowiadał mi po prostu o tym, o czym dowiedzieliśmy się dopiero w ostatnich dniach. Już wówczas Pentagon ustanowił sam zasadę „podwójności”. Myśmy stanowili przecież ekipę „pozorującą” i to tak, że nie zdaliśmy sobie z tego sprawy, podczas gdy generałowie mieli drugi zespół do dyspozycji, widać bardziej zaufany.

Przez chwilę zatrzymaliśmy się na problemie mentalności strategów. Nie traktowali nigdy poważnie ludzi z uporem twierdzących, że najważniejsze jest biologiczne zachowanie gatunku. Sławetne „ceterum censeo speciem preservandam esse” stało się sloganem podobnym do wszystkich innych sloganów, czyli słowami do wypowiedzenia, lecz nie - wartością do umieszczenia w strategicznych równaniach. Wypiliśmy już dość koniaku, żeby zabawić się naszkicowaniem wizji generałów, którzy, piekąc się żywcem, będą wydawali ostatnie rozkazy ogłuchłym mikrofonom, ponieważ dno oceaniczne - jak w ogóle żaden zakątek planety - nie będzie już azylem. Jedyne miejsce bezpieczne znaleźliśmy dla Pentagonu i jego ludzi pod dnem rzeki Moskwy, lecz było raczej niezbyt prawdopodobne, by nawet jastrzębiom naszym udało się tam dostać.

Po północy oderwaliśmy się nareszcie od zagadnień równie trywialnych i rozmowa stała się ciekawa. Przeszła wtedy na „Tajemnicę Gatunku”. Wspominam o niej, ponieważ ów dialog-requiem, poświęcony Człowiekowi Rozumnemu przez dwu przedstawicieli tego rodzaju, oszołomionych kofeiną i alkoholem, a pewnych już końca, wydał mi się znamienny.

Podług mego zdania, dobre poinformowanie Nadawców o stanie rzeczy w całej Galaktyce nie ulega wątpliwości. Katastrofa nasza jest skutkiem tego, że nie wzięli pod uwagę specyficznie ziemskiej sytuacji, a nie uczynili tego, ponieważ jest ona czymś w całej Galaktyce wyjątkowym.

- To są manichejskie idejki, po dolarze tuzin - oświadczył Rappaport.

Ale ja wcale nie uważałem, jakoby apokalipsa miała stać się konsekwencją wyjątkowej ludzkiej „złości”. Po prostu jest tak: każdy planetarny psychozoik przechodzi od stanu rozdrobnienia do stanu integracji globalnej. Z grup, szczepów, plemion powstają narody, państewka, państwa, mocarstwa, a wreszcie dochodzi do unifikacji społecznej gatunku. Proces taki nie doprowadza prawie nigdy do pojawienia się dwu, siłami równych, antagonistów tuż przed finalnym zjednoczeniem, lecz jest tak raczej, że pojawia się Większość, w opozycji do słabej Mniejszości. Takie zejście jest znacznie bardziej prawdopodobne, chociażby ze względów czysto termodynamicznego prawdopodobieństwa; można to nawet udowodnić stochastycznym obliczeniem. Idealna równowaga sił, jako ich zrównanie doskonałe, jest praktycznie stanem tak nieprawdopodobnym, że niemożliwym. Dojść może do takiej równowagi tylko dzięki osobliwej koincydencji. Jednoczenie społeczne to jedna seria procesów, a zdobywanie wiedzy instrumentalnej to seria druga.

Integracja w skali planety może zostać „zamrożona” na nieostatecznym etapie, jeśli dojdzie - przedwcześnie - do odkrycia nukleoniki. Tylko wtedy bowiem strona słabsza staje się równa silniejszej - ponieważ każda z nich, dysponując bronią jądrową, może zgładzić całą

gatunek. Zapewne, integracja społeczna zachodzi zawsze na bazie techniki i nauki, ale odkrycie energii jądrowej może regularnie przypadać na okres pojedynczości - i wówczas nie ma już ono zgubnych konsekwencji. Samozagrażalność gatunku, czyli jego skłonność do popełnienia „mimowolnego samobójstwa”, jest zapewne funkcją liczby elementarnych społeczności, co dysponują „bronią ultymatywną”.

Jeśli na jakimś globie jest tysiąc skłóconych państw, każde zaś posiada tysiąc nuklearnych głowic, szansa czysto lokalnego konfliktu, który przerośnie w apokalipsę, jest wielokrotnie większa aniżeli wówczas, gdy istnieją tylko nieliczni antagoniści. Toteż stosunek dwu kalendarzy - tego, który pokazuje kolejność naukowych odkryć, i tego, który rejestruje sukcesy zespalań się poszczególnych społeczeństw - decyduje w Galaktyce o losie pojedynczych psychozoików. Myśmy na Ziemi mieli zapewne pecha: przejście od cywilizacji przedatomowej do atomowej zaszło nietypowo, zbyt wcześnie, i to właśnie spowodowało zamrożenie status quo, aż do trafienia na emisję neutrinową. Dla planety zjednoczonej rozłamanie „listu” jest czymś pozytywnym jako krok w obręb „klubu kosmicznych Cywilizacji”. Lecz dla nas, w naszej sytuacji, jest to dzwonek na opuszczenie kurtyny.

- Być może - powiedziałem - gdyby Galileusz z Newtonem umarli na koklusz w dzieciństwie, fizyka opóźniłaby się dostatecznie, żeby rozbitcie atomu przypadło na XXI wiek. Ten niedoszły koklusz mógł nas uratować.

Rappaport zarzucił mi wulgaryzowanie: fizyka jest w rozwoju ergodyczna - i śmierć jednego czy dwu ludzi nie mogłaby odmienić jej biegu.

- Więc dobrze - powiedziałem - mogło nas uratować powstanie na Zachodzie, jako panującej, innej religii niż chrześcijaństwo - albo - miliony lat wcześniej - odmienne ukształtowanie seksualnej sfery człowieka.

Wezwany, wziąłem się do argumentowania owej tezy. Fizyka powstała na Zachodzie nieprzypadkowo - jako „królowa empirii”. Kultura Zachodu jest, dzięki chrześcijaństwu, kulturą Grzechu. Upadek - a pierwszy był seksualny! - angażuje całą osobowość człowieka w prace melioracyjne, które dają rozmaite typy sublimacji - z praktyką poznania na czele.

W tym sensie chrześcijaństwo faworyzowało empirię - jakkolwiek, rzecz jasna, bezwiednie: otworzył dla niej możliwość, dał jej szansę wzrostu. Natomiast typowa dla Wschodu, dla jego kultur, jest kategoria Wstydu, jako centralna, albowiem postępowanie człowieka niewłaściwe nie jest tam „grzeszne” w chrześcijańskim rozumieniu, lecz najwyżej - haniebne, w sensie zwłaszcza zewnętrznym: form zachowania. Toteż taka teoria Wstydu przerzuca, niejako człowieka „na zewnątrz” ducha, w obszar praktyk ceremonialnych! Dla empirii nie ma wtedy po prostu miejsca, jej szansa znika z chwilą zdeprecjonowania

materialnych działań: zamiast sublimacji popędów pojawia się ich „ceremonializacja”, rozpusta, nie będąc już „upadkiem człowieka”, ulega odseparowaniu od osobowości, niejako legalnie skanalizowana w osobnym repertuarze form. Grzech i Łaskę zastępuje Wstyd oraz taktyki jego unikania. Nie pojawia się penetracja w głąb osobowości: poczucie tego, „co właściwe”, co „się należy”, zastępuje Sumienie, a najlepsze umysły kierowane są w stronę „rezygnacji ze zmysłów”. Dobry chrześcijanin może być dobrym fizykiem, ale nie może zostać fizykiem ktoś, kto jest dobrym buddystą, konfucjonistą czy wyznawcą doktryny Zen, ponieważ zajmowałby się wtedy tym wszystkim, co te wiary całościowo deprecjonują. W takim ustawieniu wyjściowym selekcja społeczna zbiera niejako całą „intelektualną śmietankę” ludności - i pozwala jej, wyładowywać się wyłącznie w praktykach mistycznych, np. jogi. Kultura taka działa jak centryfuga, uzdolnionych odrzuca precz od tych społecznych miejsc, w których mogliby zainicjować empirię, i umysły ich ozonuje ceremoniałami wykluczającymi prace instrumentalne jako „niższe” i „gorsze”. Otóż właśnie potencjał egalitaryzmu chrześcijańskiego, jakkolwiek okresowo im ulegał, przecież nie znikł całkowicie nigdy - i pośrednio z niego to właśnie rodem jest fizyka, we wszystkich swoich konsekwencjach.

- Fizyka jako asceza?

- O, to nie takie proste. Chrześcijaństwo było „mutacją” judaizmu jako religii „zamkniętej”, bo przeznaczonej tylko dla wybranych. Judaizm był więc, jako wynalazek, czymś w rodzaju geometrii euklidesowej; wystarczyło zastanowienie się nad wyjściowymi aksjomatami, żeby poprzez ich uniwersalizację poszerzającą, dojść do doktryny bardziej powszechnej, która za „wybranych” ma już wszystkich ludzi.

- Chrystianizm - odpowiednikiem zgeneralizowanej geometrii?

- W pewnym sensie tak, na planie czysto formalnym - poprzez zmianę znaków, w obrębie systemu tego samego pod względem wartości i znaczeń. Operacja ta doprowadziła, między innymi, do uznania za prawomocną - teologii Rozumu. Była to próba nierezygnowania z jakiegokolwiek własności człowieka; ponieważ był rozumny, miał tym samym prawo używania Rozumu - i to już dało, po odpowiedniej ilości krzyżówek i przekształceń, fizykę. Mówię, rzecz jasna, w olbrzymim uproszczeniu.

Chrystianizm jest zgeneralizowaną mutacją judaizmu, przystosowaniem struktury systemowej do wszystkich możliwych istnień ludzkich. To było własnością judaizmu czysto strukturalną - już na wyjściu. Nie można przeprowadzić analogicznej operacji na buddyzmie, ani na braminizmie, nie mówiąc już o nauce Konfucjusza. Tak więc decyzja zapadła wtedy, gdy powstał judaizm - kilka tysięcy lat temu. Była też inna możliwość. Głównym problemem,

typowo doczesnym, z jakim musi sobie dać radę każda religia, jest seks. Można go czcić - uczynić więc ośrodkiem dodatnim doktryny; można go odciąć, odseparować - neutralnie, ale można też uznać go za wroga. Najbardziej bezkompromisowe jest rozwiązanie ostateczne, i chrześcijaństwo je wybrało.

Otóż, gdyby seks był fenomenem mniej ważnym biologicznie, gdyby pozostał zjawiskiem tylko periodycznym, fazowym, jak u niektórych ssaków, nie mógłby mieć centralnego znaczenia, bo okazałby się pewnym fenomenem pulsującym, przejściowym. To jednak zostało zdeterminowane jakieś półtora miliona lat temu. Odtąd seks był już *punctum saliens* każdej właściwie kultury, bo nie można go po prostu negocjować - musi zostać „ucywilizowany”. Człowiek Zachodu zawsze czuł się dotknięty w swojej godności tym, że *inter faeces et urina nascimur...* ta refleksja właśnie wprowadziła, na prawach Tajemnicy, Pierwotny Grzech do Genesis. Tak się stało. Inny rodzaj periodyki seksualnej albo też - inny rodzaj religii mogły nas skierować na odmienną drogę.

- Stagnacji cywilizacyjnej?

- Nie, po prostu - opóźnienia rozwoju fizyki.

Rappaport zarzucił mi „freudyzm nieświadomy”. Jako wychowanek rodziny purytańskiej - powiedział - rzutuję w świat własne uprzedzenia. Nie wyzwoliłem się w gruncie rzeczy z widzenia wszystkiego w kategoriach Upadku i Zbawienia. Skoro mam Ziemię za upadłych bez reszty, przenoszę Zbawienie w Galaktykę. Klątwa moja strąca do piekła ludzi - nie tyka jednak Nadawców, ci pozostają doskonale dobrzy i bezwinni. Ale to właśnie mój błąd. Z myślą o nich trzeba pierwiej wprowadzić pojęcie „prugu solidarności”. Wszelka myśl porusza się w kierunku coraz to bardziej uniwersalnych generalizacji; czyni tak poprawnie, ponieważ Kosmos przystaje na owo postępowanie: ten, kto właściwym sposobem generalizuje, może opanowywać zjawiska w rosnącym zasięgu.

Świadomość ewolucyjna, czyli zrozumienie tego, że duch wynika z procesów homeostatycznej „wspinaczki” pod prąd entropijny, pozwala objąć solidarnością - to ewolucyjne drzewo, które zrodziło istotę rozumną. Lecz nie można ogarnąć solidarnością całego drzewa ewolucji, ponieważ koniecznie musi się istota „wyższa” - żywić „niższymi”. Granicę solidarności trzeba gdzieś przeprowadzić. Na Ziemi nikt nigdy nie umieszczał jej poniżej rozwidlenia, w którym rośliny odstrychnięte są od zwierząt. W praktyce instrumentalnej nie można zresztą uznać za objętych solidarnością - na przykład owadów. Gdybyśmy wiedzieli, że z jakichś powodów sygnalizacji z Kosmosem koniecznie wymaga zagłady ziemskich mrówek, na pewno uznalibyśmy, że „warto” poświęcić mrówki. Otóż my, na naszym szczeblu rozwoju, możemy być dla Kogoś - mrówkami. Poziom solidarności

niekoniecznie musi obejmować - ze stanowiska owych istot - takie planetarne pelzaki jak my. A może dysponują po temu racjonalizacjami. Może wiedzą, że zgodnie z galaktyczną statystyką ziemski typ psychozoika jest z góry zdany na niełaskę technoewolucji, tak więc niczym horrendalnym nie będzie dodatkowe zagrożenie naszej egzystencji, skoro i tak „nic najprawdopodobniej z nas nie będzie”.

Przedstawiam tu treść owego nocnego czuwania w wigilię eksperymentu, ale nie chronologiczny zapis rozmowy, bo jej aż tak dokładnie nie pamiętam i nie wiem, kiedy Rappaport opowiedział mi jedno ze swych europejskich przeżyć - to, które zacytowałem poprzednio. Stało się to chyba wtedy, gdy zamknęliśmy już sprawę generałów, a jeszcze nie poczęli szukać sprężyny nadciągającego epilogu. Teraz powiedziałem mu tak mniej więcej:

- Doktorze Rappaport, jest pan jeszcze bardziej niepoprawny ode mnie. Zrobił pan z Nadawców „wyższą rasę”, która solidaryzuje się tylko z „wyższymi formami” Galaktyki. Po co więc starają się upowszechniać biogenezę? Po co mają rozsiewać życie, jeśli mogliby prowadzić politykę ekspansji i kolonizacji planet? Nie możemy po prostu obaj wykroczyć rozumowaniem poza pojęcia, jakie są nam dostępne. Być może, pan ma rację w tym, że dlatego lokalizuję przyczyny naszej klęski na Ziemi, ponieważ tak mnie wychowano jako dziecko. Tyle, że zamiast „ludzkiej winy” dostrzegam proces stochastyczny, który wpędził nas w zaułek bez wyjścia. Pan, uciekinier z kraju zabitych, zbyt mocno czuł zawsze własną bezwinę w obliczu zagłady i przez to umiejscawia pan źródła katastrofy gdzie indziej: w środowisku Nadawców. Nie myśmy o tym sami zdecydowali - oni zrobili to za nas. Tak się kończy każda próba transcendencji. Potrzeba nam czasu, którego nie będziemy już mieć.

Zawsze powtarzałem, że gdyby znalazł się rząd dostatecznie rozumny, aby pragnął całą ludzkość wyciągnąć z tego dołu, a nie tylko swoich, może byśmy z niego w końcu wyleźli. Ale środki federalnego budżetu były zawsze w pogotowiu tylko dla badacza „nowych broni”. Kiedy mówiłem politykom, że należy uruchomić „crash program” antropologiczny, budować maszyny do modelowania procesów socjoewolucyjnych, za takie pieniądze, jakie się poświęca na badanie rakiet i antyrakiet, uśmiechali się i wruszali ramionami. Nikt nie traktował tego poważnie i mogę najwyżej odczuć tę gorzką satysfakcję, że miałem słusność. Należało zbadać człowieka najpierw, w tym tkwiła cała priorytetowość. Nie zbadaliśmy go, to, co o nim wiemy, nie wystarcza, powiedzmy sobie wreszcie, że tak jest. Ignoramus et ignorabimus, ponieważ nie mamy już czasu.

Pocziwy Rappaport nie próbował już replikować. Odprowadził mnie - pijanego - do pokoju.

Nim rozstaliśmy się, powiedział: „Niech się pan niepotrzebnie nie martwi, panie

Hogarth. Bez pana wszystko poszłoby tak samo źle”.

XIV

Donald zaplanował doświadczenia na cały tydzień z góry, po cztery dziennie. To było maksimum możliwości, jakie dawała prowizorycznie zbudowana aparatura. Po każdym eksperymencie częściowo ulegała zniszczeniu i trzeba było brać się do napraw. Postępowały wolno, bo przychodziło pracować w kombinezonach ochronnych - na materiale skażonym radioaktywnie. Wystartowaliśmy po „stypie”, to znaczy on właściwie, ja byłem tylko świadkiem. Wiedzieliśmy już, że ludzie Ghost Voice czy też Kontrprojektu przybędą do nas za osiem dni. Donald miał zacząć rankiem, bo chciał, żeby jego ludzie, zajęci dalej badaniem pozorującym, które im narzucił, kamuflowali huk nie uniknionych eksplozji swoją kanonadą, ale mając wszystko gotowe późnym wieczorem (a więc wtedy, gdy w ośrodku obliczeniowym preparowałem niezliczone warianty globalnego końca), pośpieszył się.

W gruncie rzeczy było już wszystko jedno kiedy Eeney, a za nim - nasi wielcy protektorzy dowiedzą się o wszystkim. Pograżony w ciężkim śnie po odejściu Rappaporta, kilkakrotnie budziłem się i zrywałem z wrażeniem, że słyszę łoskot detonacji, ale było to złudzenie. Beton gmachów obliczono ongiś nie na takie eksplozje. O czwartej nad ranem, czując się jak Łazarz, zwlokłem obolałe kości z łóżka i - nie mogąc - już usiedzieć w pokoju - zdecydowałem się, przekreśliwszy resztkę „konspiracyjnych” zastrzeżeń, pójść do laboratorium. Nie umówiliśmy się tak, ale nie mogłem po prostu uwierzyć w to, że Prothero, mając wszystko gotowe, uda się spokojnie na spoczynek. Nie omyliłem się: wytrzymałość jego nerwów też miała granice.

Oblałem twarz zimną wodą i wyszedłem. Mijając u końca korytarza drzwi Eeneya, dostrzegłem światło i mimo woli ściszyłem krok. Uświadomiwszy sobie bezsensowność tego postępu, z krzywym uśmiechem, który rozciągnął mi jakby wygarbowaną sztywną skórę twarzy, tak obca mi się wydawała, zbiegłem na dół schodami nie wzywając windy.

Nigdy dotąd nie opuszczałem hotelu o tej porze; parter był wygaszony, obijałem się o rozstawione fotele, była pełnia, lecz betonowy kloc przed wejściem nie dopuszczał światła. Za to ulica wyglądała niesamowicie, może zresztą tak mi się wydało. Na gmachu administracji płonęły rubinowe światła ostrzegawcze dla samolotów, poza tym - tylko nieliczne lampy nad skrzyżowaniami. Gmach fizycznego zespołu był ciemny i pozornie wymarły, ale przebiegłszy znaną na pamięć drogę, przez uchylone drzwi trafiłem do głównej hali. Od razu zorientowałem się, że już po wszystkim, bo znaki alarmowe, płonące czerwono podczas pracy inwertorów, były ciemne. W hali panował ledwie półmrok, olbrzymi pierścien

inwertora czynił ją podobną do maszynowni fabrycznej czy okrętowej; na pulpitach sterujących jeszcze błyskały światelka sygnalizacji, ale przy komorze nie znalazłem nikogo. Wiedziałem, gdzie szukać Donalda; wąskim przejściem między uzwojeniami wielotonowych elektromagnesów dostałem się do małej przestrzeni wewnętrznej - mieścił się tam rodzaj maleńkiego pokoiku, klitki, w której Prothero trzymał wszystkie protokoły, filmy, notatki - i rzeczywiście ujrzałem światło. Poderwał się. na mój widok. Był z nim McHill. Bez żadnych wstępów podał mi zabazgrane kartki.

Nie zdawałem sobie sprawy z własnego stanu i zorientowałem się w nim dopiero, kiedy znaków, doskonale mi przecież znanych, nie mogłem zidentyfikować - patrzałem głupkowato na słupki cyfr usiłując zebrać myśli. Kiedy znaczenie współrzędnych poczwórnej serii prób doszło wreszcie do mojej świadomości, poczułem, że mam miękkie kolana.

Pod ścianą był stołek, usiadłem na nim i raz jeszcze, uważniej i wolniej, przejrzałem wszystkie wyniki. Nagle papier zaczął szarzeć, coś przesłoniło mi wzrok. Ta słabość trwała ledwie kilka sekund. Gdy minęła, byłem zlany zimnym, lepkim potem. Donald zauważył wreszcie, że dzieje się ze mną coś dziwnego, ale powiedziałem, że już mi dobrze.

Chciał zabrać notatki, ale mu ich nie oddałem. Były mi jeszcze potrzebne. Im większa była energia, tym mniej dokładna lokalizacja eksplozji. Jakkolwiek cztery próby nie pozwalały jeszcze na statystyczne opracowanie, zależność była w oczy. Prawdopodobnie powyżej mikrotony (operowaliśmy już w najlepsze jednostkami balistyki nuklearnej) rozrzut stawał się równy połowie odległości miejsca, w którym detonowano ładunek, i celu. Wystarczyły teraz trzy, najwyżej cztery jeszcze próby, aby to sprecyzować, aby bezużyteczność Trexu jako broni stała się pewna. Lecz ja już w nią nie wątpiłem, bo naraz, z nadzwyczajną dokładnością, wspomniałem wszystkie wyniki poprzednie oraz moje zmagania ze wzorami ujęcia fenomenalistycznego. Zarysowała mi się, stanowiąca właściwe ujęcie całości, relacja niesamowicie prosta; była najzwyczajniej przeniesieniem, na efekt Trexu, zasady indeterministycznej: im większa energia, tym mniejsza dokładność zogniskowania, im mniejsza energia, tym ostrzej można zogniskować efekt. Przy odległościach rzędu kilometra można było ogniskować efekt w obrębie celu wielkości metra kwadratowego eksplodując tylko garstki atomów; żadnej mocy rażenia, żadnej siły niszczącej, nic.

Kiedy podniosłem oczy, zrozumiałem, że Donald wie to samo, co ja. Wystarczyło kilka słów. Był jeszcze jeden szkopuł: dalsze doświadczenia ze zwiększonymi o jeden rząd wielkości energiami, potrzebne, aby przesądzić już definitywnie karierę Trexu, musiały być niebezpieczne, ponieważ nieokreśloność miejsca, w którym wyzwalała się energia, jego błąkanie się, całkowicie nieprzewidywalne, narażało eksperymentatorów. Potrzebny był jakiś

poligon, specjalny, w rodzaju pustyni... oraz aparatura sterowana z dużej odległości. I o tym pomyślał już Donald. Mówiliśmy niewiele, pod nagą, zakurzoną żarówką, McHill przez cały czas nie odezwał się ani słowem. Wydało mi się, że jest nie tyle wstrząśnięty, co jak gdyby rozczarowany, ale może krzywdzę go tym posądzeniem.

Przedyskutowaliśmy jeszcze raz wszystko bardzo starannie, myślało mi się tak jasno, że od razu nakreśliłem szkic zależności, nawet ekstrapolację na większe ładunki rzędu kilotony, a potem wstecz - na wyniki dawniejsze. Zgodność była w trzecich znakach dziesiętnych. Donald spojrzął w pewnej chwili na zegarek. Dochodziła piąta. Przerzucił główny wyłącznik, odcinając prąd od wszystkich agregatów, i razem, opuściliśmy laboratorium. Na ulicy stał już dzień. Powietrze było zimne jak kryształ, McHill odszedł, a my staliśmy jeszcze przed wejściem hotelowym w nierzeczywistej ciszy i pustce, tak martwej, jakby oprócz nas nikogo nie było wśród żywych; kiedy pomyślałem o tym, wzdrygnąłem się - ale teraz już tylko sięgającym wstecz odruchem pamięci. Chciało mi się powiedzieć Donaldowi coś, co zamknęłoby definitywnie wszystko, co by wyraziło moją ulgę, radość, ale nagle spostrzegłem się, że właściwie jej nie odczuwam. Byłem tylko pusty, potwornie wyczerpany, obojętny, jakby nic już nie miało i nie mogło się stać. Nie wiem, czy on to samo odczuwał. Choć tego nie robiliśmy zwykle, uścisnęliśmy sobie ręce i rozeszliśmy się. Jeśli uderza się nożem, a ostrze ześlizguje się po ukrytym niedostrzegalnie pancerzu, ten, kto zadaje bezskuteczny cios, nie ma zasługi.

XV

Zdecydowaliśmy się przedstawić historię efektu Trex na Radzie Naukowej dopiero za trzy dni, potrzeba było bowiem nieco czasu, aby porządnie usystematyzować wyniki i sporządzić bardziej szczegółowe protokoły obserwacyjne, a także zrobić powiększenia wybranych zdjęć. Lecz już nazajutrz w południe poszedłem do Yvora. Przyjął wiadomość nad podziw spokojnie; nie doceniałem jego opanowania. Najbardziej był dotknięty tajemnicą, jaką zachowaliśmy przed nim do końca. Mówiłem mu wiele na ten temat w sytuacji odwróconej względem tej, jaka panowała już po moim przybyciu do osiedla, wtedy bowiem on starał się „odtłumaczyć” wcześniejsze pominięcie mnie, jak mógł. Lecz teraz szło o rzecz nieporównanie większej wagi.

Usiłowałem osłodzić pigułkę wszechmożliwymi argumentami, którym akompaniowałem pomrukiwaniem. Zachował do mnie długo żal, zrozumiał, choć w końcu jak gdyby uznał nasze racje. Tymczasem Donald w taki sam prywatny sposób uprzedził Dilla, tak więc jedynym człowiekiem, który wszystkiego dowiedział się na posiedzeniu, był Wilhelm Eeney. Jakkolwiek go nie cierpiałem, musiałem podziwiać, bo ani mrugnął podczas wykładu Donalda. Obserwowałem go przez cały czas. Ten człowiek urodził się na polityka, chociaż nie na dyplomata może, bo dyplomata nie powinien być zanadto pamiętliwy, Eeney zaś, niemal dokładnie w rok po owym posiedzeniu, kiedy Projekt zakończył swą egzystencję, za pośrednictwem osoby trzeciej - pewnego dziennikarza - przekazał prasie furę wiadomości, wśród których na miejscu naczelnym figurowała nasza z Donaldem akcja, swoiście naświetlona i skomentowana. Gdyby nie on, sprawa ta w ogóle nie wypłynęłaby w tej sensacyjnej postaci, która zmusiła różne wysoko postawione osoby, z Rushem i McMahonem, do brania w obronę mnie i Donalda.

Jak mógł się o tym przekonać Czytelnik, jeśli byliśmy winni czegoś, to niekonsekwencji, bo sekretna praca nasza tak czy owak musiała w końcu dostać się do oficjalnego młyna Projektu. Ale całą rzecz przedstawiono jako fuszerkę wielce szkodliwą, o szkaradnych intencjach szkodzenia Projektowi, bo my, zamiast odwołać się od razu do kompetentnych fachowców (to znaczy do nuklearnych balistyków Armii), dłubaliśmy po chałupniczemu w małej skali, stwarzając tym samym „drugiej stronie” szansę prześcignięcia nas - i śmiertelnego zaskoczenia.

Wybiegłem tak daleko naprzód, aby ukazać, że Eeney nie był tak niewinny, jak wyglądał. Jediną rzeczą, na jaką pozwolił sobie podczas sławetnego posiedzenia, było kilka

spojrzeń zza okularów w stronę Baloyne'a, którego niechybnie podejrzewał o dzielenie z nami konspiracji; jakkolwiek staraliśmy się tak sformułować doniesienie tymczasowe, aby tajność naszych prac wyglądała na podyktowaną przez wymagania metodyki oraz niepewność w kwestii sukcesu (rzecz jasna, przez „sukces” rozumiało się to, czego najbardziej obawialiśmy się), Eeneya nie wprowadziły te usprawiedliwienia w błąd ani na chwilę.

Wywiązała się potem dyskusja, w której Dill zauważył, raczej niespodzianie, że zrealizowany Trex mógł przynieść światu pokój, a nie zagładę, oznaczałby bowiem upadek doktryny EW (Early Warning, wczesnego ostrzeżenia), opierającej się na interwale czasowym, dzielącym odpalenie raket międzykontynentalnych od pojawienia się ich na radarowych ekranach obrony w wysokich punktach lotu podorbitalnego. Broń rażąca na odległość ziemskiej średnicy z szybkością światła „wcześniejszego ostrzeżenia” nie dopuszczała i obie strony postawiłaby w sytuacji ludzi, z których każdy trzyma w ręku rewolwer przyłożony do skroni drugiego. Mogło to doprowadzić do globalnego rozbrojenia. Lecz taka kuracja wstrząsowa mogła się również zakończyć całkiem inaczej, jak mu odpowiedział Donald.

Baloyne czuł tymczasem skupioną na sobie podejrzliwość Eeneya i rozpoczął się ów definitywny rozpad Rady, którego załatać ani skleić nie udało się już do końca trwania Projektu. Eeney przestał odtąd zachowywać pozory, jakoby był tylko kimś w rodzaju neutralnego ambasadora czy obserwatora z ramienia Pentagonu, co przejawiało się rozmaicie, ale zawsze w sposób dla nas niemiły. Tak więc najazd fachowców nuklearnych i balistycznych Armii, który rozpoczął się w dwadzieścia cztery godziny po owym posiedzeniu, już był w toku, podobny do operacji okupowania terenów wroga (śmigłowców przyleciało jak szarańczy), gdy dopiero Eeney powiadomił o tym kroku telefonicznie Baloyne'a. Równocześnie przyjazd sygnalizowanych ludzi z Kontrprojektu został odroczone. Byłem zupełnie pewny, że nukleonicy Armii, których nie uważałem za uczonych w żadnym rozumieniu tego słowa, tylko potwierdzą nasze wyniki doświadczeniami w skali poligonu, lecz sposób, w jaki wyjęto nam z rąk wszystkie dane, zabrano aparaturę, filmy, protokoły, odebrał mi resztę złudzeń, jeśli w ogóle je miałem.

Donald, zaledwie cierpiący we własnej pracowni, znosił to filozoficznie, a nawet tłumaczył mi, że inaczej nie może przecież być, bo gdyby i było inaczej, ocalona zostałaby tylko warstwa pozorów, które się przecież nie liczą. Gdyż działania takie są konsekwencją logiczną sytuacji światowej... i tak dalej. W pewnym sensie miał słuszość, lecz osobnika, który przyszedł do mnie rano (leżałem jeszcze w łóżku) i poprosił o zestawy obliczeń, spytałem, czy ma nakaz rewizji i czy przyszedł mnie aresztować. To go nieco zmiękczyło i

mogłem przynajmniej umyć zęby, ogolić się i ubrać, kiedy czekał na korytarzu. Wynikało to, naturalnie, z poczucia kompletnej bezsilności. Powtarzałem sobie tylko, że powinienem właściwie się cieszyć, bo jakież byłby stan mego ducha, gdyby przyszło wręczać obliczenia zapowiadające finis terrarum.

Łaziliśmy po osiedlu jak muchy, podczas gdy Armia wywalała z nieba swoje nieskończone, zdawało się, szeregi i zasoby; ta operacja na pewno nie była zaimprovizowana w ostatniej chwili - musiano ją od dawna przygotować, w jakiś ramowy sposób, bo wszak nie wiedziano, co wyskoczy z Projektu. Trzy tygodnie wystarczyły im dla rozpoczęcia właściwej serii mikrotonowych wybuchów; nie zdziwiło mnie wcale to, że nie byliśmy nawet informowani o rezultatach inaczej, aniżeli dzięki przeciekom poprzez niższy personel techniczny, który stykał się z naszymi ludźmi. Zresztą przy sprzyjającym wietrze eksplozje było słycać w całym osiedlu. Ich nikła, w skali bombowej, moc, sprawiła, że opadu radioaktywnego praktycznie prawie nie było. Nie zarządzono nawet jakichś specjalnych środków ostrożności. Nikt się do nas o nic już nie zwracał, ignorowano nas tak, jakbyśmy w ogóle nie istnieli. Rappaport powiadał, że to dlatego, iż z Donaldem złamaliśmy reguły gry. Być może. Eeney zniknął na całe dni, z naddźwiękową szybkością kursując między Waszyngtonem, osiedlem i poligonem.

W początkach grudnia, gdy przyszły burze, instalacje na pustyni rozebrano, zapakowano czternastotonowe helikoptery-krany, helikoptery pasażerskie i wszystkie inne jednego dnia podniosły się i tak nagle i sprawnie, jak przybyła, Armia opuściła nas, zabierając ze sobą podobno - kilkanaście osób personelu naukowo-technicznego porażonych radiodaktywnością w ostatniej z prób, podczas której zdetonowano - według plotek, jakie mnie doszły - ładunek o trotylowym równoważniku jednej kilotony.

Potem, jak gdyby został z nas zdjęty czar, mniej więcej jak w Śpiącej Królownie, zaczęliśmy się wszyscy żwawo ruszać i w krótkim czasie zaszło sporo rzeczy. Baloyne podał się do dymisji, Prothero i ja zażądaliśmy, aby uznano nas za wychodzących z Projektu, Rappaport, zdaje się, bardzo niechętnie, uczynił jednak to samo, z poczucia lojalności, i jeden Dill tylko nie miał się żadnych manifestacji, owszem, radził nam, abyśmy z odpowiednimi transparentami chodzili po osiedlu i wznosili okrzyki, miał bowiem poczyny nasze za niepoważne. Nie mogę odmówić mu niejakiej słuszności

Nasza czwórka rebeliancka została od razu ściągnięta do Waszyngtonu; rozmawiano z nami w pojedynkę i pospołu, pojawili się prócz Rusha i McMahona oraz naszego generała (którego wtedy dopiero osobiście poznałem) także doradcy prezydenccy do spraw nauki i okazało się, że nasza dalsza obecność w Projekcie jest wprost niezbędna. Baloyne, ten

dyplomata, ten polityk, powiedział na jednej z owych narad, że skoro Eeneya obdarzono pełnym zaufaniem, a jego ćwierciowym, to niechże teraz Eeney zwerbuję lepszych ludzi i sam kieruje Projektem. Odnoszono się do nas, gdy gęsto padały takie dicta, jak do rozgrymaszonych, popsutych, ale kochanych dzieci. Nie wiem, jak inni, ale ja naprawdę miałem już dość Projektu.

Pewnego wieczoru przyszedł do mego pokoju hotelowego Baloyne, który w tym dniu miał prywatne spotkanie z Rushem w cztery oczy, i wyjawiał mi przyczyny owej perswazji nieustającej. Doradcy doszli do przekonania, że Trex jest tylko niewypałem w rozpoczynającej się serii, że stanowi właśnie wyraźne wskazanie płodności przyszłych badań, które są teraz wprost naszym *raison d'être*, racją stanu, kwestią życia i śmierci. Jakkolwiek uznałem takie rozumowanie za nonsensowne, namyśliwszy się, doszedłem do wniosku, że właściwie możemy, wrócić, jeśli tylko administracja spełni nasze warunki, które też zaraz jęliśmy wspólnie z Baloyne'em ustalać. Zdałem sobie bowiem sprawę z tego, że gdyby prace miały się toczyć beze mnie, nie mógłbym już zaznać spokoju i wrócić do mojej czystej, to znaczy nieskalanej matematyki. Wiara bowiem w zabezpieczenie, jakie Nadawcy nałożyli na kod gwiazdowy, była właśnie wiarą, a nie wiedzą całkowicie pewną. Powiedziałem to zresztą Baloyne'owi zwięźle: niechże się wypełni Pascalowskie powiedzenie o wątlej trzcince. Jeśli nie możemy przeciwdziałać, będziemy przynajmniej wiedzieć.

Naradziwszy się we czwórkę, doszliśmy i tego, czemu nie oddano Projektu Armii. Wychowała sobie szczególną rasę uczonych - pod stołem, takich, co wykonywali podstawowe zadania, zdolnych do ograniczonej samodzielności. Wiedząc, skąd i dokąd działać, robili to doskonale. Ale kosmiczne cywilizacje, motywy ich działania, życiosprawcze efekty sygnału, związek pomiędzy nimi a jego treścią, wszystko to była dla nich czarna magia. - Co prawda i dla nas też - zauważył jak zawsze złośliwy Rappaport. W końcu zgodziliśmy się na dalszą pracę, wysłuchano nas, doktor praw Wilhelm Eeney znikł z Projektu (to był jeden z naszych warunków), zastąpiony zresztą zaraz przez inną cywilną osobę, mr Hughesa Phantona. W ten sposób wymieniliśmy siekierkę na kijek. Budżet został zwiększony, ludzie Kontrprojektu (którym też potrząsaliśmy groźnie przed speszonymi odrobinę mocodawcami) zostali wcieleni do naszych ekip, on sam zaś przestał podobno istnieć, a właściwie i nie tak było, ponieważ według oficjalnej wersji nigdy nie istniał. Nażołdkowawszy się więc, poobradowawszy, postawiwszy warunki, które miały być skrupulatnie dotrzymane, wróciliśmy do „siebie” - na pustynię, i tak rozpoczął się, już po Nowym Roku, kolejny ostatni rozdział Głosu Pana.

XVI

Wszystko wróciło zatem do starego - tyle, że na posiedzeniach Rady pojawiła się jedna nowa twarz, Hughesa Phantona, zwanego niewidzialnym człowiekiem, bo istniał jakoś mikroskopijnie wprost, nie, żeby był niewielki, ale tak trzymał się w cieniu. Zima oznaczała częste burze, ale piaskowe, a nie deszcze, które padały niezwykle rzadko. Bez trudu zaskoczyliśmy do poprzedniego trybu pracy, a właściwie już bytowania, znów chodziłem na pogawędki do Rappaporta, znów spotykałem u niego czasem Dilla, wyglądało mi na to, że Projekt to życie właściwie, że jedno skończy się razem z drugim.

Jedyną nowością były cotygodniowe konferencje robocze, bardzo nieoficjalne, podczas których kolejno omawiało się rozmaite tematy - na przykład takie, jak perspektywy autoewolucji (to jest ewolucji kierowanej) istot rozumnych.

Co to obiecywało? Rzekomo - wejście na trop anatomii, fizjologii, a przez to i cywilizacji Nadawców. Lecz w społeczeństwie osiągającym fazę rozwoju podobną do naszej pojawiają się przeciwbieżne trendy długodystansowe, których odległego skutku nie można przewidzieć. Z jednej strony ukształcone już technologie wywierają nacisk na istniejącą kulturę i niejako nakłaniają ludzi do tego, żeby się adaptacyjnie podporządkowali potrzebom uruchomionych instrumentalizmów. Tak więc pojawiają się oznaki współzawodnictwa umysłowego człowieka z maszyną, a także różnych form symbiozy obojga - i psychologia oraz fizjoanatomia inżynierska wykrywają „słabe ogniwa”, kiepskie parametry organizmu ludzkiego, skąd już prowadzi droga do planowania odpowiednich „ulepszeń”. Z tego to kierunku wywodzi się myśl o wyprodukowaniu „cyborgów” jako częściowo sprotegowanych sztucznie ludzi, przeznaczonych specjalnie do prac kosmonautycznych i do penetracji planet o warunkach odbiegających jaskrawo od ziemskich. Myśl o bezpośrednim podłączeniu mózgu ludzkiego do rezerwarów maszynowej pamięci, o budowaniu takich urządzeń, w których zachodzi nie znany jeszcze stopień ścisłego zespolenia człowieka z narzędziem, na planie mechanicznym albo intelektualnym.

Ten cały pęk nacisków technicznych zagraża potencjalnym rozszczepieniem dotychczasowej jednorodności biologicznej gatunku. Nie tylko jedyna, ogólnoludzka kultura, ale nawet jedyna, uniwersalna postać cielesna człowieka mogłaby pod wpływem takich przemian stać się reliktem martwej przeszłości. Człowiek efektywnie przekształciłby własne społeczeństwo w psychozoiczną odmianę mrowiska.

Z drugiej strony sfera technik instrumentalnych może zostać podporządkowana

wpływowi kultury jako obyczajowości. Mogłoby na przykład dojść do biotechnologicznego przedłużenia - wpływów kształtujących mody. Techniki mody zatrzymują się na razie na granicy skóry ludzkiej. Udają, co prawda, jakoby wpływ ich sięgał dalej, ale tylko dzięki temu, że w różnych okresach lansowane są odmienne warianty fizyczne człowieka jako szczególnie cenne wzorce. Wystarczy tu wspomnieć o różnicy pomiędzy ideałem urody Rubensa i kobietą współczesną. Nieuprzedzonemu obserwatorowi spraw ziemskich mogłoby się wydawać, że kobietom (które są jawnie podporządkowane nakazom mody) zgodnie z dyktatem przemijających sezonów raz poszerzają się barki, a raz biodra, raz wyrastają im duże piersi, raz maleją, nogi ich stają się to pełne, to znów cienkie i długie itd. Lecz podobne „przyływy” i odpływy” cielesnej substancji są tylko złudzeniem wywołanym przez selekcję, w obrębie różnorodności całego zbioru, takich fizycznych typów, które zdobyły aprobatę dnia. Stan taki mógłby ulec właśnie biotechnologicznej korekcji. Sterowanie genetyczne przemieściłoby wtedy strefę gatunkowej różnorodności - w obranym kierunku.

Oczywiście genetyczna selekcja na cechy czysto anatomiczne wydaje się czymś błahym pod względem mocy przemian kulturotwórczych, a jednocześnie czymś, pożądanym dla estetycznych powodów (jako szansa upowszechnienia fizycznej urody). Mówię jednak o początkach drogi, którą można by opatrzyć informacyjną tablicą „rozum na służbie popędów”. A to dlatego, ponieważ olbrzymia większość materializowanych produktów rozumu jest inwestowana w prace typowo sybarytyczne. Mądrze skonstruowany telewizor upowszechnia intelektualną brednię, wspaniałe techniki komunikacyjne służą temu, żeby, zamiast upić się na swoim podwórku, przebrany za turystę debil mógł to samo uczynić w pobliżu bazyliki Świętego Piotra. Gdyby ta tendencja miała doprowadzić do inwazji technicznych środków w ludzkie ciała, chodziłoby zapewne o to, żeby gama doznań rozkosznych uległa maksymalnemu poszerzeniu, a może nawet o to, by poza seksem, narkotykiem, szczęściem kulinarnym - stały się dostępne inne, całkowicie nie znane jeszcze rodzaje zmysłowych podniet i spełnień.

Skoro mamy w mózgu „ośrodek rozkoszy”, cóż broniłoby nam podłączenia do niego syntetycznych zmysłowych organów, pozwalających zdobywać orgazmy mistyczne i niemistyczne w praktykach specjalnie zaplanowanych i wymyślonych jako wyzwalacz wielozakresowej ekstazy? Tak urzeczywistniana autoewolucja stanowi definitywne zamknięcie się w kulturze, w obyczaju, odcięcie od świata pozaplanetarnego i wydaje się wyjątkowo miłą formą umysłowego samobójstwa.

Technika z nauką na pewno potrafią dostarczyć urządzeń spełniających zarówno warunki pierwszej, jak i drugiej rozwojowej drogi. To, że obie one wydają się nam raczej

monstrualne, każda w inny sposób, niczego jeszcze nie przesądza.

Negatywne oceny takich przemian są bowiem całkowicie bezzasadne. Dyrektywę, iż nie należy „nazbyt sobie dogadzać”, można tak długo tylko poddawać racjonalizacji, jak długo przyjemność jednego osobnika jest równocześnie szkodą innego (albo - szkodą jego własnego ciała czy ducha, co zachodzi np. w wypadku narkomanii). Dyrektywa ta może być wyrazem zwyczajnej konieczności i wtedy wypada poddać się jej bezdyskusyjnie; ale właśnie techniki są tak w rozwoju nakierowane, żeby po kolei likwidowały wszelkie konieczności jako ograniczenia możliwych postępowań. Ci, co powiadają, że jakies konieczności, w postaci ograniczeń swobody, zawsze będzie cywilizacja napotykała, w gruncie rzeczy są wyznawcami naiwnej wiary w to, iż Kosmos został sporządzony nie bez myśli o „właściwych powinnościach” rozumnego stworzenia. Jest to zwykle przedłużenie biblijnego wyroku o pracy w pocie czoła na chleb codzienny. Nie jest to, jak sądzą nieraz takie naiwne osoby, sąd etyczny, lecz wyraźnie ontologiczny. Byt, przygotowany nam na mieszkanie, został umeblowany tak, żeby żadnymi wynalazkami nie dało się dopiąć sytuacji „zawrotu głowy od sukcesów”.

Lecz na tak prymitywnej wierze nie sposób opierać dalekosiężnych przewidywań. Jeśli nie z powodów „purytańskich” i „ascetycznych”, wygłasza się czasem takie tezy ze strachu przed wielką zmianą. Strach ów siedział na dnie wszystkich uczonych racji, przekreślających z góry możliwość wybudowania „mądrych maszyn”. Ludzkość zawsze czuła się najbardziej swojsko, chociaż nigdy - wygodnie, w sytuacjach choć trochę desperackich: przemieszka ta nie komfortuje ciało, lecz uspokaja ducha. Zawołanie: „Wszystkie siły i rezerwy na front nauki!” też można racjonalizować tak długo tylko, jak długo „mądre maszyny” nie są w stanie zastąpić efektywnie uczonych.

Niczego sensownego o realnym wyglądzie obu kierunków - ekspansywnego, czyli „ascetycznego”, ani „otorbiającego”, jako hedonistycznego - nie umiemy w gruncie rzeczy powiedzieć. Cywilizacje mogą iść tak jedną, jak i drugą drogą - atakując Kosmos albo odcinając się od niego. Neutrinowy sygnał zdaje się poświadczać przynajmniej to, że pewne cywilizacje od świata się nie odcinają.

Cywilizacja tak „rozciągnięta” technoeconomicznie jak nasza, z czołówką tonącą w bogactwie i odwodami mrącymi z głodu, tym właśnie rozciągnięciem swoim ma już nadany kierunek dalszego rozwoju. Najpierw dlatego, że zapóźnione odwody usiłują dogonić czołówkę w jej materialnym bogactwie, które przez to tylko, iż jeszcze nie zostało osiągnięte, wydaje się usprawiedliwieniem wysiłku ścigania, a z kolei, że zamożna czołówka, jako obiekt zazdrości i współzawodnictwa, zostaje utwierdzona tym w swojej wartości. Skoro inni ją

naśladować, najwyraźniej to, co ona robi, musi być nie tylko dobre, ale wprost znakomite! Proces staje się więc kołowy - gdyż zachodzi dodatnie sprzężenie motywów napędzających dalszy ruch naprzód, spinany jeszcze dodatkowo ostrogą politycznych antagonizmów.

A dalej: koło powstaje dlatego, ponieważ najtrudniej jest o nowe rozwiązanie wtedy, gdy już dane zadanie jakieś rozwiązanie posiadało. Stany Zjednoczone, bez względu na to, co można o nich złego powiedzieć, na pewno istnieją razem ze swymi highwayami, podświetlonymi basenami kąpielowymi, supermarketami i całą rozkosznie błyszczącą resztą. Jeżeli nawet dałoby się wymyślić zupełnie odmienny rodzaj błogostanu i dobrobytu, to chyba tylko w łonie cywilizacji, która jest jednocześnie i różnorodna, i - w całości - nie uboga. Lecz cywilizacja, która by dotarła do stanu takiego zrównania i tym samym stała się homogeniczna, jest czymś dla nas całkowicie nie znanym. Byłaby to taka cywilizacja, która zdołała już zaspokoić elementarne biologiczne potrzeby wszystkich swoich członków; wtedy, w jej narodowych sektorach, mogłoby dojść do szukania dalszych, rozmaitych dróg w przyszłość, już od nacisków ekonomicznych wyzwoloną. Jednakowoż wiemy teraz na pewno, że gdy na planetach będą się przechadzali pierwsi wysłannicy Ziemi, inni jej synowie nie o wyprawach takich będą marzyć, lecz o kawałku chleba.

XVII

Bez względu na dzielące nas różnice poglądów w sprawach projektu stanowiliśmy - a nie mam na myśli tylko Rady Naukowej - zespół dostatecznie zwarty, by nowi przybysze, tu i ówdzie zwani już „nasłańcami Pentagonu”, mogli być pewni, że wywody ich zostaną przyjęte przez nas na bagnety. Jakkolwiek i ja byłem raczej niechętnie usposobiony do nich, musiałem przyznać, że Learney i towarzyszący mu młody biolog (astrobiolog, jak sam powiadał) dokonali jednak rzeczy imponującej, bo to, żeby po rocznych naszych mękach, po tej zbiorowej prasie, której poddawaliśmy mózgi, udało się przecież postawić w kwestii Głosu Pana hipotezy najzupełniej nowe, przez nas ani tknięte, i do tego jeszcze zarówno różniące się od siebie, jak i podparte wcale porządnie zbudowanym aparatem matematycznym (z faktograficznym było gorzej), nie chciało się właściwie w głowie pomieścić. Lecz tak właśnie się stało. Co więcej, częściowo się wzajem wykluczając, owe nowe ujęcia przyzwały na utworzenie pewnego rodzaju złotego środka, oryginalnego kompromisu, który je nieźle jednoczył.

Baloyne, może dlatego, iż uznał, że nie godzi się w spotkaniu z ludźmi Kontrprojektu utrzymywać naszej dotychczasowej struktury, „arystokratycznej” - podziału na wszystkowiedną elitę i kiepsko poinformowane pionierzy kolektywów - a może tylko przez to, że wierzył w rewelacyjność tego, cośmy mieli usłyszeć, zorganizował spotkanie-wykład aż dla tysiąca z górą naszych pracowników. Jeśli Learney i Sinester zdawali sobie sprawę z pewnej wrogości zgromadzonych, to nie dali tego po sobie poznać. Zresztą zachowali się przyzwoicie.

Prace ich - podkreślił Learney we wstępie - miały charakter czysto teoretyczny, nie udostępniono im, poza samym gwiazdowym kodem oraz ogólnikowymi wiadomościami o Żabim Skrzeku, żadnych szczegółów, i nie szło wcale o jakąś „próbę równoległą”, o chęć prześcignięcia nas, lecz tylko o podejście do Głosu Pana odmiennie, z myślą o takiej właśnie konfrontacji poglądów, do jakiej obecnie dochodzi.

Przerwy na oklaski nie zrobił, i bardzo dobrze, bo by ich nie było pewnie, lecz od razu przeszedł do rzeczy, wcale klarownie; ujął mnie też i swoim wykładem, i osobą; sądząc po reakcjach sali - innych także.

Jako kosmogonista zajął się kosmogonią, w jej wariacie Hubblowskim i w modyfikacji Hayakawy (a też i mojej, jeśli wolno mi tak powiedzieć, chociaż plotłem tylko matematyczne kosze na gąsiorzy, w które Hayakawa lał nowe wino). Spróbuję przedstawić

zarys jego wywodu i oddać, jeśli mi się uda, temperament wykładu przerywanego nieraz głosami z sali, bo suche streszczenie odebrałoby cały urok tej koncepcji. Matematykę, ma się rozumieć, pominę - chociaż odegrała swoją rolę.

- Widzę to w ten sposób - powiedział. - Kosmos jest tworem pulsującym, kurczy się i rozkurcza na przemian co trzydzieści miliardów lat... Gdy się kurczy, dochodzi w końcu do zapaści, w której rozpada się przestrzeń, pozwijana, pozamykana już nie tylko wokół gwiazd, jak to jest ze sferą Schwarzschilda, ale wokół wszystkich cząstek, elementarnych nawet! Ponieważ „wspólna” przestrzeń atomów przestaje istnieć, znika też oczywiście cała znana nam fizyka, jej prawa ulegają przemianie... Ten bezprzestrzenny rój ściąga się dalej i wtedy - mówiąc obrazowo - całość wywraca się na lewą stronę - w obszar zakazanych stanów energetycznych, w „ujemną przestrzeń”, więc to nie jest nicość, ale mniej aniżeli nicość - matematycznie przynajmniej!

Nasz świat aktualny nie ma antyświatów - to znaczy, ma je okresowo, raz na trzydzieści miliardów lat. „Antycząstki” są w naszym świecie tylko śladem owych katastrof, archaicznym reliktem, a także, naturalnie, możliwością - następnej katastrofy. Ale pozostaje - wracam do mego obrazu - rodzaj „pępowiny”, w której tłucze się jeszcze resztką niewygasłej materii, pogorzeliśko tego ginącego Kosmosu, jest to szczelina między niksującą przestrzenią „dodatnią”, tą naszą, a tamtą, ujemną... Ta szczelina pozostaje otwarta, nie zrasta się, nie zamyka, bo wciąż rozpycha ją promieniowanie - neutrinowe właśnie! Ono jest jak ostatnie iskry ogniska, i od niego zaczyna się faza następna, ponieważ, gdy to „odwrócone” dobiło już do kresu ekspansji „nicującej”, wytworzyło „antyświat”, rozepchnęło go, na powrót zaczyna się kurczyć i wywalać przez szczelinę, najpierw - neutrinowym promieniowaniem, bo ono jest najtwardsze i najtrwalsze, bo wtedy nie ma jeszcze światła, a tylko, za neutrinowym, skrajne promieniowanie gamma! Tym, co zaczyna od nowa rozdymać i kuliście formować rozprężający się Kosmos, jest rozbiegająca się sferyczna fala neutrinowa i fala ta jest równocześnie matrycą kreacji wszystkich cząstek, które zaludnią wnet rodzący się Kosmos, ona je w sobie niesie, ale tylko wirtualnie, ponieważ ma dostateczną dla takiej materializacji energię!

Kiedy zaś ten Kosmos jest już w pełnym rozbiegu mgławic, jak nasz teraz właśnie, jeszcze się w nim błakają echa fali neutrinowej, która go sprawiła, I TO JEST WŁAŚNIE GŁOS PANA! Z podmuchu, który przecisnął się przez „szczelinę”, z tej fali neutrinowej powstają atomy, gwiazdy i planety, mgławice i metagalaktyki, i tym samym likwiduje się „problem listu”... Nic nie wysłała do nas „telegrafem neutrinowym” inna cywilizacja, na drugim „końcu” nie było Nikogo, żadnego nadajnika, nic, oprócz pulsacji kosmicznej, owej

„przepukliny”. Jest tylko emisja wywołana procesami czysto fizykalnymi, naturalnymi, doskonale bezludna, więc pozbawiona też wszelkiego charakteru językowego, treści, znaczenia... Emisja ta stanowi trwały łącznik pomiędzy kolejnymi światami, gasnącymi i nowo kreowanymi, ona wiąże je energetycznie i informacyjnie, dzięki niej zachowują ciągłość, są powtórzeniami nie przypadkowymi, lecz właśnie regularnymi, więc można powiedzieć i tak, że ten neutrinowy strumień to „zarodnik” następnego Kosmosu, że to jest rodzaj „przemiany pokoleń” rozdzielonych czasem Wszechświatów, ale w tej analogii nie ma naturalnie żadnej treści biologicznej. Neutrino są ziarnem rozpadu tylko dlatego, że to cząstki najtrwalsze ze wszystkich. Ich niezniszczalność jest gwarantem kołowego powracania kosmogenezy, jej powtórzeń...

Powiedział to oczywiście daleko dokładniej, podparł, jak mógł, obliczeniami, podczas wykładu zrobiło się bardzo cicho, a gdy skończył, rozpoczęły się ataki.

Zarzucono go pytaniami: Jak tłumaczy „życiosprawczość” sygnału? Skąd się wzięła? Czy jest, według niego, „czystym przypadkiem”? I najpierw - skąd się nam wziął Żabi Skrzek?

- Myślałem o tym, naturalnie - odparł Learney. - Pytacie mnie, kto to zaplanował, ułożył i wysłał. Gdyby nie ta życiosprawcza strona emisji, życie, byłoby w galaktyce fenomenem niezwykle rzadkim! Otóż, zapytam z kolei, a jak jest na Ziemi z własnościami fizycznymi wody? Gdyby woda o temperaturze czterech stopni nie była lżejsza od wody o temperaturze zera i gdyby lód nie pływał, wszystkie zbiorniki wodne zamarzałyby do dna i żadne wodne stworzenia nie mogłyby przetrwać poza strefą równikową. A gdyby woda miała inną, nie tak wysoką stałą dielektryczną, drobiny białkowe nie mogłyby w niej powstać, więc nie byłoby i białkowego życia. Czy jednak ktoś pyta w nauce, czyja tu interweniowała życzliwość, jak i kto sprawił stałą dielektryczną wody albo lekkość względem niej - lodu? Nikt o to nie pyta, bo mamy takie pytania za bezsensowne. Gdyby woda miała inne własności, albo powstałoby życie niebiałkowe, albo żadnego by nie było. Analogicznie też nie można pytać, kto wysłał biofilną emisję. Zwiększa ona prawdopodobieństwo przetrwania ciał wysokomolekularnych, co jest albo takim samym przypadkiem, jeśli chcecie, albo taką samą koniecznością tkwiącą w naturze rzeczy, jak ta, co uczyniła z wody substancję „sprzyjającą życiu”. Cały problem należy odwrócić, postawić na nogi, a wtedy brzmi on: dzięki temu, że woda ma takie to własności, jak i dzięki temu, że w Kosmosie istnieje promieniowanie, które stabilizuje biogenezę, życie może wynikać i przeciwstawiać się wzrostowi entropii skuteczniej, niżby to zachodziło w przeciwnym razie...

- Żabi Skrzek! - wołano. - Żabi Skrzek!

Bałem się, że za chwilę wszyscy zaczną skandować - sala miała już temperaturę spotkania bokserskiego.

- Żabi Skrzek? Wiecie lepiej ode mnie, że nie udało się odczytać tak zwanego „listu” w całości, a tylko jego „fragmenty” - z nich powstał Żabi Skrzek. Oznacza to, że jako całość sensowna „list” nie istnieje poza waszymi wyobrażeniami, a Żabi Skrzek jest po prostu rezultatem wyekstrahowania informacji zawartej w promieniowaniu neutrinowym, z którą dało się coś zrobić. Przez „szczelinę światów”, ginącego i powstającego, wyrwał się kłęb fali neutrinowej, rozdymanej jak bańka mydlana; energia tej fali starczy do „wydmuchania” następnego Wszechświata, a czoło tej fali jest impregnowane informacją odziedziczoną niejako po fazie, co już szezła; otóż w tej fali tkwi informacja kreująca atomy, jak już mówiłem, i taka co „sprzyja” biogenezie, a nadto są tam też frakcje, które z naszego stanowiska „niczemu nie służą”, są „do niczego”. Woda ma takie cechy, jak te, o których mówiłem, „sprzyjające” życiu, i ma cechy obojętne dla życia, jak na przykład przezroczystość; mogłaby nie być przezroczysta i dla powstania życia nie miałoby to znaczenia. Tak jak nie wolno pytać: „a kto zrobił wodę przejrzystą?” - nie wolno pytać: „kto zrobił receptę na Żabi Skrzek?” Jest ona jedną z cech danego Kosmosu, własnością, którą możemy badać jak przejrzystość wody, ale której sens „pofizyczny” nie istnieje.

Zrobił się wielki szum; nareszcie Baloyne spytał, jak Learney tłumaczy kołowość powtarzania się sygnału oraz to, że cała reszta emisyjnego spektrum nieba w promieniowaniu neutrinowym jest zwykłym szumem, a w jednym, jedynym paśmie tkwi tyle informacji?

- Ależ to proste - odparł kosmogonista, który zdawał się czerpać satysfakcję z powszechnego wzburzenia. - Początkowo cała emisja była skoncentrowana właśnie w owym paśmie, gdyż właśnie w tej strefie widma „wyostrzyła” ją, ścisnęła, zmodulowała „szczelina światów”, jak strumień wody otoczonej przez wąski otwór; na początku było pasmo igłowe - nic więcej! Potem, wskutek rozbiegania się, rozrzutu, desynchronizacji, dyfrakcji, uginania, interferencji - coraz większe ilości rozszczepiały się, rozmywały, aż wreszcie po miliardach lat trwania naszego Kosmosu powstał z informacji pierwotnej - szum, ze zogniskowania ostrego - szerokie spektrum energetyczne, bo wszak tymczasem uruchomione zostały szumowe generatory neutrin „wtórne” - gwiazdy - to zaś, co odbieramy jako „list”, jest ostatkiem „pępowiny”, resztką, która jeszcze się nie rozpuściła, nie rozplynęła do końca w niezliczonych odbiciach, pasażach z kąta w kąt Metagalaktyki. Obecnie normą wszechobecną jest szum - a nie informacja. Ale w chwili powstawania naszego Kosmosu, jego eksplozywnego porodu, ten bąbel neutrinowy zawierał w sobie pełną informację o wszystkim, co materialnie powstało potem z niego, i przez to właśnie, że stanowi niejako relik z owej

epoki, której poza tym żadnych śladów nie spostrzegamy, wydaje się nam zdumiewająco odmienny od przejawów „zwyczajnej” materii i promieniowania.

Było to wcale zreczne, ani słowa... ta piękna, logicznie spójna budowa, którą nam przedstawił. Przyszła potem następna porcja matematyki; ukazał, jakie własności powinna mieć „szczelina światów”, żeby dokładnie odpowiadała, jako „matryca”, właśnie temu miejscu neutrinowego widma, w którym znajduje się emisja, zwana przez nas „kodem gwiazdowym”. Była to bardzo ładna robota, przyciągnął do dzieła teorię rezonansu, a wreszcie udało mu się wyjaśnić, wewnątrz wyvodu, nawet ciągle powtarzanie się sygnału: to samo dotyczyło i miejsca, owego radiantu Małego Psa, z którego przybywał rzekomy „list”.

Zabrałem wtedy głos i powiedziałem, że właściwie to on postawił rzecz na głowie, ponieważ dorobił do „listu” cały Wszechświat, taki, który mu odpowiadał, do DANEJ energetyki sygnału - przez zwyczajne dopasowanie, odpowiednie „rozmiary” tej swojej „szczeliny”, i nawet tak wyznaczył geometrię tego ad hoc sprodukowanego Kosmosu, żeby kierunek, z którego nadchodzi „sygnał”, okazał się losowy.

Learney, uśmiechnięty, do pewnego stopnia przyznał mi rację. Lecz dodał, że gdyby nie jego „szczelina”, kolejne światy powstawałyby i ginęły bez więzi koherencyjnej, każdy byłby inny, to jest: mógłby być inny, albo też Kosmos mógłby stale pozostać w fazie „antyświata”, bezenergetycznej, i byłby koniec wszelkiej kreacji, koniec wszechmożliwych światów, ani nas by nie było, ani gwiazd nad nami, i nikt nie mógłby łamać sobie głowy nad tym, co się NIE stało... Lecz stało się właśnie. Monstrualna złożoność „listu” tłumaczy się tak: potworna koncentracja „agonii” sprawia, że ginący świat, jak człowiek duszę, „oddaje” swoją informację, ona nie ulega unicestwieniu, lecz - dzięki prawom już nam nie znanym, bo wszak fizyka ustaje w owej kompresji, w rozkawałkowaniu przestrzeni - ta informacja zespała się z tym, co jeszcze trwa: z neutrinowym zgęstkiem w samej „szczelinie”.

Baloyne, który przewodniczył, spytał nas, czy chcemy od razu rozpocząć dyskusję, czy też najpierw wysłuchać jeszcze Sinestera. Przegłosowaliśmy to drugie, z ciekawości, rzecz jasna. Learneya znałem trochę, bo widywałem go u Hayakawy, ale o Sinesterze nawet nie słyszałem dotąd. Był to niewielki młodzieniec z kartoflowatą twarzą, co zresztą nie ma żadnego znaczenia.

Zaczął dziwnie podobnie do Learneya. Kosmos stanowi twór pulsujący, z naprzemiennymi fazami niebieskich skurczów i czerwonych rozkurczów. Każda faza trwa około trzydziestu miliardów lat. W fazie czerwonej, ucieczki mgławic, po dostatecznym rozbiegnięciu się materii i ochłodzeniu ciał planetopodobnych powstaje na nich życie, które czasem daje formy rozumne. Kiedy rozprężenie się kończy i Kosmos poczyną zbiegać się

dośrodkowo, z wolna, w tej fazie niebieskiej powstają olbrzymie temperatury i coraz bardziej twarde promieniowanie, które niszczy całą materię żywą, jaką w ciągu paru miliardów lat zdążyły obrosnąć planety. Oczywiście, w fazie czerwonej, takiej jak ta, w której zdarzyło się nam urodzić, istnieją cywilizacje rozmaitego stopnia rozwoju. Muszą, też istnieć szczytujące pod względem technologicznym, które, dzięki rozwojowi nauk z kosmogonią, zdają sobie sprawę z przyszłości własnej - i Kosmosu. Cywilizacje takie, albo, dla wygody, powiedzmy, cywilizacja, znajdująca się w jakiejś określonej mgławicy, wie zatem, że proces uorganizowań przejdzie przez szczyt i zacznie się proces wszechniszczenia w rosnącym żarze. Jeśli posiada daleko więcej wiedzy niż my, potrafi też w jakimś stopniu przewidzieć dalszy - po „błękitnym końcu świata” - bieg wypadków, a jeśli jeszcze bardziej wzbogaci swą wiedzę, może na ten stan przyszły wpłynąć...

Tu znowu powstał pewien szum: Sinester przedstawiał - ni mniej, ni więcej - teorię sterowania procesami kosmogonicznymi!

Astrobiolog zakładał, za Learneyem, że „dwusuwowy silnik kosmiczny” nie jest zdeterminowany całkowicie, bo w fazie kompresji zwłaszcza powstają znaczne indeterminizmy - przez zmiany rozkładu mas, zasadniczo losowe, przez zmienny bieg anihilacji, i to, jaki „rodzaj” Kosmosu wyłoni się z kolejnego skurczu, nie jest całkowicie do przewidzenia. Znamy tę trudność w naszej miniaturowej skali - bo nie umiemy przewidywać, to jest obliczyć biegu procesów turbulencyjnych - takich, w których powstają zawirowania (jak w wodzie rozbijającej się o rafy na przykład). Poszczególne więc „czerwone Wszechświaty”, które wynikają po kolei z niebieskich, tak mogą się od siebie różnić, że typ realizowany obecnie, w którym życie jest możliwe, mógłby stanowić efemerydę - stan bezpowrotny albo taki, po którym przyjdzie seria długa - pulsacji już tylko martwych.

Taki horoskop może nie odpowiadać owej wysokiej cywilizacji, która bierze się do prób odmienienia wizji wieczności, na zawsze już tylko trupio rozżarzanej i trupio stygnącej - a to dzięki odpowiednim manipulacjom astroinżynierskim. Niejako przygotowując się do zagłady, która ją czeka, cywilizacja ta może „zaprogramować” odpowiednio gwiazdę albo system gwiazd, modyfikując istotnym sposobem energetykę takiego układu, który staje się czymś w rodzaju gotowego do akcji, neutronowego lasera, a właściwie - który takim laserem dopiero stanie się w momencie, kiedy tensory grawitacji, parametry temperatury, ciśnienia, i tak dalej, przekroczą pewne wartości maksymalne - gdy niejako sama fizyka danego Kosmosu pocnie się rozpadać w gruzy! Wówczas ten gwiazdozbiór ginący obróci się w całość, pod wpływem fenomenów stanowiących dlań „wyzwalacz” nagromadzonej energii, w jeden czarny błysk neutronowy, bardzo dokładnie, bardzo starannie zaprogramowany! Jako

najtwardsze i najoporniejsze ze wszystkich promieniowań będzie owa monotoniczna fala neutrinowa nie tylko podzwonnym ginącej fazy Kosmosu, ale równocześnie stanie się zarodzią następnej, ponieważ będzie współkształtowała powstawanie nowych cząstek elementarnych. Ponadto „wytłoczona w gwieździe” dyrektywa obejmuje „biofilie” - zwiększanie szansy narodzin życia.

Tak więc w owym pełnym rozmachu obrazie gwiazdowy kod okazywał się przekazem wysłanym w obręb naszego Kosmosu - z Kosmosu, który go poprzedził. Nadawcy więc nie istnieli - co najmniej od trzydziestu miliardów lat. Sporządzili „przesłanie” tak trwałe, że przeżyło zagładę Ich Wszechświata, i włączywszy się w procesy następnej kreacji, uruchomiło zjawisko ewolucji życia na planetach. My również byliśmy Ich dziećmi...

Dowcipnie było to pomyślane! „Sygnał” wcale nie jest „listem”, jego „życiosprawczość” nie stanowi jednej „strony” w opozycji do „treści”. To tylko my, podług naszych przyzwyczajzeń usiłowaliśmy rozdzielić to, co się rozdzielać nie daje. Sygnał, a raczej impuls sprawczy, najpierw zaczyna od takiego „nastrajania” kosmicznej materii w jej nowym wskrzeszeniu, żeby powstawały cząstki o cechach pożądanych - ze stanowiska owej cywilizacji, naturalnie - a gdy już pójdzie w ruch astrogeneza i za nią planetogeneza, niejako „włączają się do akcji” inne, współobecne od początku w impulsie, lecz dotąd nie mające jeszcze „adresatów” osobliwości strukturalne, które wyjawiać zaczną, dopiero wtedy, swą umiejętność - wspierania narodzin życia. Ponieważ „łatwiej jest” zwiększyć ogólne szansę przetrwania wielkich molekuł, aniżeli dyrygować i zarządzać powstaniem najbardziej elementarnych cegiełek materii, wykryliśmy ten efekt pierwszy jako osobny i „beztreściowy”, drugiemu zaś, atomotwórczemu, przypisaliśmy miano „listu”.

Nie odczytaliśmy go, bo to dla nas, dla naszej wiedzy, dla fizyki naszej, chemii, w całości niemożliwe. Lecz ze strzępków zawartej w impulsie wiedzy utrwalonej sporządziliśmy sobie receptę - na Żabi Skrzek! Tak zatem sygnał jest *sterujący*, a nie *powiadamiający*, adresowany do Kosmosu, nie do jakichkolwiek istot. Możemy tylko próbować pogłębienia naszej wiedzy w oparciu o sam sygnał - jak i o Żabi Skrzek.

Gdy Sinester zakończył, zapanowała konsternacja. To dopiero było *embarras de richesse*! Sygnał jako twór naturalny, jako ostatni „akord neutrinowy” ginącego Kosmosu, wytłoczony „szczeliną” między światem i antyświatem na neutrinowej fali, jako pocałunek przedśmiertny, stygmat, złożony na czole tej fali - albo też jako testament cywilizacji, która już nie istnieje: była to imponująca alternatywa!

Znaleźli się też wśród nas zwolennicy obu poglądów. Zwracano uwagę na to, że w zwyczajnym, tj. naturalnym promieniowaniu twardym są frakcje, które zwiększają tempa

mutacji, a tym samym mogą przyspieszać chód ewolucji, podczas gdy inne frakcje tego nie robią, z czego nie wynika, aby jedne takie frakcje coś znaczyły, a inne - nie. Przez jakiś czas wszyscy usiłowali mówić naraz. Miałem wrażenie, że stoję u kolebki nowych mitologii. Testament... my jako pogrobowcy Tamtych...

Ponieważ tego się po mnie spodziewano, zabrałem głos. Zacząłem od ukazania, że przez dowolną ilość punktów na płaszczyźnie można przeprowadzić dowolną ilość krzywych. Nie uważałem nigdy za swoje zadanie produkowania maksymalnej ilości różnie brzmiących hipotez, bo można ich wymyślać ilość nieskończoną. Zamiast przykrawać nasz Kosmos oraz jego antecedencje do sygnału, wystarczy na przykład uznać, że nasza odbiorcza aparatura jest w tym sensie prymitywna, w jakim prymitywny jest radioodbiornik o niskiej selektywności. Odbiera się nim po kilka stacji naraz, przez co powstaje groch z kapustą; ten jednak, kto nie rozumie żadnego z języków, w jakich nadawane są audycje, może po prostu zarejestrować wszystko, „jak leci”, i łamać sobie nad tym głowę. Także i my mogliśmy paść ofiarą takiego błędu technicznego.

Być może, tak zwany „list” jest rejestratem kilku naraz emisji. Jeśli założyć, że w Galaktyce pracują nadajniki automatyczne na tej właśnie „częstości”, w tym paśmie, które traktujemy jako jeden kanał przesyłowy, to nawet i stałe powtarzanie się sygnałów można wyjaśnić. Mogą to być sygnały, przy pomocy których społeczności tworzące „zespółnię cywilizacyjną” utrzymują systematycznie w synchronizacji jakieś swoje urządzenia techniczne, astroinżynieryjne na przykład.

To by tłumaczyło „kołowość” sygnałów. Lecz kiepsko zgadza się to z Żabim Skrzekiem, aczkolwiek, naciągnąwszy tłumaczenia, można i jego syntezę odnieść do tego schematu. W każdym razie jest skromniejszy, więc i rozsądniejszy od tych olbrzymich wizji, jakie przed nami roztoczono. Istnieje zagadka, której nie rozumiemy POZA sygnałem, to mianowicie, że on jest samotny. Powinno być ich bardzo wiele. Ale cały Kosmos przerabiać, aby zagadkę „odtłumaczyć”, to luksus, na jaki nie możemy sobie pozwolić. Przecież sygnał dałoby się uznać za „muzykę sfer”, za rodzaj hymnu, fanfary neutrinowej, jaką Wysoka Cywilizacja pozdrawia np. wschód supernowej. List może być też apostolski: mamy tam Słowo, co staje się Ciałem, mamy też - w opozycji do niego - Żabi Skrzek, który, jako Pan Much, więc płód ciemności, wskazuje na manichejską naturę sygnału - i świata. Kontynuowanie podobnych wykładni winniśmy uznać za niedozwolone. W gruncie rzeczy obie koncepcje są konserwatywne, a zwłaszcza ta Learneya, ponieważ sprowadza się do obrony, nawet rozpaczliwej, empirycznego stanowiska. Learney nie chce zejść z tradycyjnej pozycji nauk ścisłych, które od narodzin zajmowały się fenomenami Natury, a nie Kultury, bo

nie istnieje jednak fizyka ani chemia Kultury, a tylko „materiałów Wszechświata”. Nie chcąc zrezygnować, z traktowania Kosmosu jako obiektu czysto fizycznego, pozbawionego „znaczeń”, Learney zachowuje się jak ten, kto gotów jest list ręcznie napisany studiować jako sejsmogram. Ostatecznie pismo, jak i sejsmogram są to pewnego, rodzaju skomplikowane linie krzywe.

Hipotezę Sinestera określiłem jako próbę odpowiedzi na pytanie „czy kolejne Kosmosy się dziedziczą?” Dał odpowiedź taką, w której „kod” nasz, pozostając tworem sztucznym, przestał być „listem”. Kończyłem, wyliczając niesamowitą ilość założeń wziętych przez obydwu z powietrza: ujemna przepuklina materii, komprymowana u dna skurczu w informację, wypalanie na czole fali stygmatów „atomorodnych”; nie można tego będzie sprawdzić nigdy, *ex definitione*, bo to się ma dzieć tam, gdzie nie będzie już nie tylko istot jakichkolwiek, ale i fizyki. Jest to dyskusja o życiu pozagrobowym, zamaskowana fizykalną terminologią. Albo jakaś „Philosophy Fiction”, przez analogię do Science Fiction. Szata matematyczna ukrywa pod sobą mit; widzę w tym *signum temporis*, ale nic więcej.

Rozumie się, że dyskusja wybuchła potem dopiero jak pożar. Pod jej koniec Rappaport wstał nagle - z „jeszcze jedną hipotezą”. Była tak oryginalna, że ją przedstawię. Bronił tezy, że różnica między „sztucznym” a „naturalnym” nie jest całkowicie obiektywna, nie jest czymś absolutnie danym, ale jest względna i zależy od zastosowanego poznawczo układu odniesienia. Substancje, które wydalają żywe organizmy w przemianie materii, uważamy za produkty naturalne. Jeśli zjem bardzo dużo cukru, jego nadmiar będą wydzielały moje nerki. To, czy cukier w moczu jest „sztuczny”, czy „naturalny”, zależy od mojej intencji. Jeśli zjadłem tyle cukru rozmyślnie, żeby go wydzielać, bo znam mechanizm zjawiska i przewidywałem skutki mego czynu, będzie „sztucznie” obecny, a jeśli zjadłem cukier, bo miałem nań apetyt i nic nadto, będzie jego obecność „naturalna”. Można to udowodnić. Jeżeli ktoś bada mój mocz i jeśli umówiłem się z nim odpowiednio, obecność cukru, którą wykrywa, może zyskać znaczenie informacyjnego sygnału. Cukier będzie oznaczał np. „tak”, a brak cukru - „nie”. Jest to proces sygnalizacji symbolicznej, jak najbardziej sztuczny, ale tylko pomiędzy nami dwoma. Kto nie zna naszej umowy, nic się o niej z badania moczu nie dowie. Wynika to stąd, że „tak naprawdę” w naturze, jak i w kulturze istnieją wyłącznie fenomeny „naturalne”, a „sztuczne” stają się tylko przez to, że my je umową lub działaniem połączyliśmy w określony sposób. „Absolutnie sztuczne” są jedynie cuda jako niemożliwe.

Po takim wstępie Rappaport wymierzył główne uderzenie. Powiedzmy, że ewolucja biologiczna może iść dwojakim torem: albo wytwarza organizmy oddzielne, a potem - powstałe z nich istoty rozumne, albo też, na drugim ramieniu, wytwarza biosfery

„nierozumne”, ale zarazem niezwykle wysoko uorganizowane, nazwijmy je „lasami żywego mięsa” albo wegetacją innego jeszcze typu - która w trakcie bardzo długiego rozwoju opanowuje nawet energetykę jądrową. Ewolucja opanowuje ją jednak nie tak, jak my opanowujemy bombowe i reaktorowe techniki, ale tak, jak nasze ciała „opanowały” przemianę materii. Wówczas produktami metabolizmu stają się zjawiska typu promieniotwórczego - a w dalszej instancji nawet potoki neutrinowe, które stanowiąc będą tylko „wydalinę” takich globów, organizmów na nich, którą my odbieramy - właśnie w postaci „gwiazdowego kodu”. Wówczas chodzi o proces całkowicie naturalny, ponieważ istoty nie zamierzały niczego nikomu przesłać, zakomunikować, i owe strumienie są tylko nieuchronnym rezultatem ich przemiany materii, „emisją wydalinową”. Lecz może być i tak, że inne organizmy-planety potrafią dowiedzieć się o obecności tamtych dzięki takim „tropom” pozostawianym w przestrzeni.. Wówczas będzie to rodzaj „sygnalizacji” pomiędzy nimi.

Rappaport dodał, że hipoteza ta mieści się w porządku działań przyrodzonych nauce: nauka bowiem nie rozdziela fenomenów na „sztuczne” i „naturalne”, on więc postąpił w myśl jej wskazań. Hipoteza, w zasadzie przynajmniej, może być sprawdzona (wykryciem obecności albo tylko teoretycznej możliwości „neutrinowych organizmów”), bo nie odnosi nas do „innych Kosmosów”.

Nie wszyscy dobrze zrozumieli, że nie był to tylko popis pomysłowości, bo można zasadniczo przewidzieć i obliczyć dowolny typ przemiany materii organicznej wychodząc z fizyki i chemii, natomiast, wychodząc z tejże fizyki i chemii, nie można obliczyć ani przewidzieć kultury, w której pewne istoty piszą i wysyłają „neutrinowe listy”. To drugie zjawisko jest z innego, pozafizykalnego porządku. Jeśli cywilizacje mówią do siebie różnymi językami, a ich rozwojowe różnice są znaczne, w najlepszym razie ci, co są „mniej wiedni”, wyekstrahują z otrzymanego komunikatu to tylko, lub prawie tylko, co jest w nim fizykalne (lub naturalne, to wszystko jedno). Nic więcej nie pojmą. W samej rzeczy, przy dostatecznej rozpiętości międzycywilizacyjnej te same pojęcia, jeśli nawet funkcjonują w obu kulturach, znaczą rzeczy najzupełniej odmienne.

Dyskutowało się, między innymi, czy ewentualna „cywilizacja Nadawców”, która istnieje albo której już (za Sinisterem) nie ma wśród żywych, jest racjonalna. Ale czy możemy uznać, że racjonalna jest cywilizacja, która troszczy się o to, co będzie w „następnym Kosmosie”, za trzydzieści miliardów lat? Jaki musi być, nawet dla straszliwie bogatej, koszt płacony w losach istot żywych, żeby mogła stać się sternikiem Wielkiej Kosmogonii? Co zresztą analogicznie dotyczy i „efektu życiosprawczego”. Można uznać, że

dla nich to jest racjonalne - czyli że nie ma międzycywilizacyjnie niezmienniczego sensu „racjonalności”.

Zebraliśmy się po zamknięciu owej narady w kilkunastu u Baloyne'a i długo w noc rozprawialiśmy - jeśli nawet Sinester i Learney nie przekonali nas, na pewno dolali oliwy do powoli przygasającego już ognia. Omawiało się to, co przedstawił Rappaport. Uzupełnił powiedziane, dookreślił i powstał z tego wcale niesamowity wizerunek - gigantycznych biosfer, które „nadając” w Kosmos nie wiedzą, co czynią, była to nie znana nam, dalsza faza homeostazy, zjednoczenia życiowych procesów, które, dobrawszy się do źródeł jądrowej energii, mocą przemian poczynają dorównywać mocom słonecznym. Biofilia ich „neutrinowej wydaliny” stawała się akurat takim efektem, jak działalność roślin, które napęliły atmosferę Ziemi tlenem, umożliwiając tym życie innym organizmom, nie znającym fotosyntezy - ale przecież nieintencjonalnie dała nam trawa szansę powstania! Żabi Skrzek i cała „informacyjna” strona „listu” zmieniały się w produkty niezmiernie zawilego metabolizmu. Żabi Skrzek obracał się w rodzaj odpadku, w żużel o strukturze zawieszony od planetarnych metabolizmów.

Gdyśmy wracali z Donaldem do hotelu, powiedział w pewnej chwili, że czuje się w gruncie rzeczy oszukany: smycz, na której biegamy w kółko, przedłużono, ale nic się nie zmieniło w sytuacji naszego skrępowania. Byliśmy świadkami niezłego fajerwerku intelektualnego, ale gdy się wypalił, zostaliśmy z niczym. Może nawet odebrano nam coś - kontynuował - przedtem consensus omnium stał za „listem”, w którego kopercie znalazło się nieco piasku (tak nazwał Żabi Skrzek). Dopóki wierzymy w to, że dostaliśmy „list”, jakkolwiek nawet niezrozumiały, jakkolwiek tajemniczy - sama wiedza o istnieniu Nadawcy ma wartość autonomiczną. Ale gdy okazuje się, że to może nie „list”, lecz zygzaki bezsensowne, nie pozostaje nam nic już prócz piasku... i jeśli jest nawet, złotonośny, czujemy się zubożeni - więcej, obrabowani.

Myślałem o tym, gdy zostałem sam. Usiłowałem pojąć, skąd właściwie bierze się we mnie pewność - ta, która pozwalała mi rozprawiać się z odmiennymi stanowiskami, jakkolwiek solidną podpartymi argumentacją? Gdyż przekonany byłem o tym, że otrzymaliśmy „list”. Zależy mi bardzo na tym, aby nie tę moją wiarę przekazać Czytelnikowi - mniejsza o nią - lecz stojące za nią racje. Jeśliby mi się nie udało, nie powinienem był pisać tej książki. Taki bowiem miał być jej cel. Człowiek, który, jak ja, bardzo długo, wiele razy na zmieniających frontach nauki boryka się z problemami odgadywania „szyfrów Natury”, wie o nich doprawdy więcej, aniżeli zawrą to w sobie jego wyprasowane matematycznie publikacje.

W oparciu o tę wiedzę nieprzekazywalną twierdzę, że Żabi Skrzek, ze swoim

rezerwuarem energii jądrowej, z efektem „transportu detonacji”, powinien był obrócić się pod naszymi rękami w broń, ponieważ tak bardzo, tak gwałtownie do tegośmy dążyli, że się nam nie powiodło, nie może być przypadkiem. Udawało się - w innych sytuacjach, owych „naturalnych” - już nazbyt wiele razy. Doskonale mogę sobie wyobrazić istoty, które nadały sygnał. Powiedziały sobie: uczynimy go nierozłamywalnym dla wszystkich, co nie są jeszcze gotowi; musimy ostrożność posunąć dalej: nawet fałszywe odczytania nie mogą dostarczyć im niczego z rzeczy, których poszukują, a których trzeba im odmówić.

Atomy ani galaktyki, planety ani ciała nasze nie zostały obwarowane przez Nikogo systemem podobnych zabezpieczeń, przez co też ponosimy wszystkie ponure konsekwencje takiej Nieobecności. Nauka jest tą częścią Kultury, która ociera się o świat. Wydłubujemy z niego kawałki i pochłaniamy je - nie w takiej Kolejności, która by najlepiej nam sprzyjała, bo Nikt tego życzliwie nie przygotował, lecz w takiej, którą reguluje tylko opór stawiany przez materię. Atomy ani gwiazdy nie mają żadnych racji, nie mogą się nam opierać, kiedy wymyślamy modele na ich podobieństwo, nie bronią nam dostępu do wiedzy, być może aż zabójczo szkodliwej. Cokolwiek istnieje poza człowiekiem, jest jak umarły, który nie może posiadać żadnych motywów. Z chwilą jednak, gdy nie siły Natury, lecz siły Rozumu kierują do nas przesłanie, sytuacja całkowicie się zmienia. Ten, kto wysłał „list”, powodował się racjami na pewno nieobojętnymi wobec życia.

Od początku obawiałem się najbardziej - nieporozumienia. Byłem pewien tego, że nie przesłano nam instrumentu zabójstwa, wszystko jednak wskazywało, że otrzymaliśmy opis jakiegoś instrumentu - a wiadomo, jak umiemy ich używać. Narzędziem jest nawet człowiek dla człowieka, Znając historię nauki nie wyobrażałem sobie, że możliwe jest doskonale zabezpieczenie przed nadużyciem. Wszystkie techniki są wszak całkowicie neutralne i każdej umieliśmy przypisać, jako cel, śmierć. W czasie owej niepoważnej, ale rozpaczliwej konspiracji, głupiej na pewno, a jednak wskutek odruchu koniecznej, uznałem, że już na Nich nie możemy liczyć, bo nie przewidzieli chyba tego, co *falszywie* z informacją poczniemy. Zabezpieczenie tego, co zaplanowane z rozmysłu, uznałem za realne, ale nie - tego, co stanowiło *nasz* błąd albo nasze uzupełnienie luk złymi podstawieniami. Przecież nawet natura, co przez cztery miliardy lat uczyła biologiczną ewolucję unikania „błędów”, działania pod pieczęciami wszechmożliwych zabezpieczeń, nie uhermetyzowała wszystkich bocznych ześlizgów życia, jego zwichnięć, zaułków, pomyłek, „nieporozumień” - czego dowodzą nieprzeliczone wynaturzenia rozwoju organizmów czy chociażby rak. Lecz skoro dokonali swego, nieprześcignioną dla nas perfekcję rozwiązań biologicznych pozostawili już daleko za sobą. Nie wiedziałem jednak - bo skądże mogłem wiedzieć - że owe rozwiązania,

sprawniejsze od biologicznych, są aż tak wszechstronnie pewne, tak uszczelnione - przed wtargnięciem niepowołanych.

Owej nocy, w wielkiej hali inwertora, nad kartkami zabazgranego papieru, nie tylko dlatego poczułem gwałtowną słabość, bliskie omdlenie, nie tylko dlatego zrobiło mi się ciemno przed oczami, że groza, wisząca nade mną przez długie tygodnie, znieacka przysła, ale i dlatego, że dotykalnie poczułem w owej chwili Ich wielkość. Zrozumiałem, na czym może polegać i czym być cywilizacja. Myślmy o idealnej równowadze, o wartościach etycznych, o wznoszeniu się ponad własną słabość, kiedy słyszymy to słowo i kojarzymy je sobie z tym, co w nas najlepsze. Lecz ona jest przede wszystkim wiedzą, która ze sfery możliwych ruguje takie właśnie sytuacje, nagminne dla nas, jak ta, kiedy najlepsze głowy miliarda istot pochylają się nad sprawianiem powszechnej śmierci, robiąc to, czego nie chcą, czemu się sprzeciwiają, ponieważ nie ma dla nich innego wyjścia. Nie jest nim samobójstwo - czy o włos odmienilibyśmy dalszy tok prac, najazd metalowej szarańczy z nieba, gdybyśmy się zabili? Jeśli przewidzieli takie sytuacje, nie umiem zrozumieć tego inaczej, jak tylko tak, że albo byli kiedyś, albo, kto wie, są jeszcze do nas podobni.

Czy nie mówiłem na początku tej książki, że tylko istota z gruntu zła wie, jaką zdobywa wolność, kiedy czyni dobro? „List” był, został przesłany, upadł na Ziemię, do naszych nóg, padał na nią neutrinowym deszczem, kiedy jaszczury mezozoiku orały brzuchami błota lasów karbonu, kiedy paleopitek, zwany prometejskim, ogryzając kość dostrzegł w niej pierwszą maczugę. A Żabi Skrzek? Domyślam się w nim poprzekręcanych karykaturalnie przez naszą nieudolność i niewiedzę, ale także i naszą wiedzę, wywichniętą w jednostronność destrukcji - fragmentów tego, co „list” zakładał samym wysłaniem. Jestem przekonany, że nie został ciśnięty w mrok jak kamień w wodę. Został pomyślany jako głos, którego echo powróci - jeżeli zostanie usłyszany i zrozumiany.

Niejako produktem ubocznym właściwego odbioru miał być sygnał zwrotny, powiadamiający Nadawców o tym, że łączność została nawiązana, a zarazem dający znać, gdzie to się stało. Mogę tylko domyślać się niejasno mechanizmu, jaki miał to sprawić. Energetyczna autonomia Żabiego Skrzeku, to jego skierowanie na siebie reakcji nuklearnych, które niczemu nie służą poza samym kontynuowaniem stanu, co je umożliwia - stanowi dowód błędu, oznakę pomyłki, ponieważ myśmy doszli, w naszym wypadzie najdalszym, do efektu tyleż zagadkowego, co zdolnego, w odmiennych całkiem warunkach, wyzwolić, skoncentrować i cisnąć na powrót w przestrzeń - impuls wielkiej mocy. Tak, efekt Trexu, wykryty przez Donalda Prothero, po prawidłowym odczytaniu kodu urzeczywistniłby się - jako sygnał zwrotny, jako odpowiedź skierowana do Nadawców. Wyjaśnia mi to jego

fundamentalny mechanizm: działania przerzuconego z najwyższą kosmiczną szybkością, przenoszącego dowolnie wielką energię na dowolnie wielką odległość. Energia ta, rzecz zrozumiała, winna posłużyć przekazaniu informacji, a nie zniszczenia. Ta postać, w jakiej nam dał się poznać Trex, była skutkiem zniekształcenia, któremu uległa - podczas syntezy - wiadomość utrwalona w potoku neutrinowym. Fałsz wyniknął z fałszu - nie mogło być inaczej. To jest tylko logiczne, lecz nadal zdumiewa mnie Ich wszechstronność, która udaremniła nawet zgubne potencjalnie konsekwencje błędów, więcej niż błędów nawet, bo podejmowanego z premedytacją wysiłku, co zmierzał do obrócenia popsutego instrumentu w ostrze zabójcze.

Metagalaktyka jest nieogarnionym rojowiskiem psychozoików. Cywilizacje tylko pewnym kierunkowym odchyleniem odmienne od naszej, ale, jak nasza, nie zjednoczone, brnące poprzez wewnętrzne starcia, wypalające swe zasoby w bratobójczych zmaganiach, od tysiącleci dokonywały i dokonują wciąż od nowa odczytań kodu, tak samo, jak nasze, niezdarnych, tak samo, jak my, usiłują dziwaczne szczątki co lęgną się, z takich mozołów, przerobić na broń - i tak samo, jak nam, to się im nie udaje. Kiedy okrzepła we mnie pewność, że jest tak właśnie? Trudno mi powiedzieć.

Tylko najbliższym, Yvorowi, Donaldowi, powiedziałem to, i przed ostatecznym wyjazdem z osiedla podzieliłem się tą moją prywatną własnością ze zgryźliwym doktorem Rappaportem. Wszyscy oni, rzecz zastanawiająca, zrazu przytakiwali z rosnącą satysfakcją zrozumienia, a potem, po namyśle, mówili, że - jak na świat, który jest nam dany - zbyt piękna układa się z moich domniemań całość. Być może. Co wiemy o „lepszych” od naszej cywilizacjach? Nic. Może więc i nie godzi się malować takiej panoramy, na której figurujemy gdzieś pod ramą jako zakała Galaktyki albo jako jeden z embrionów uwięzłych w przeciągającym się wiekami skurczu porodowym, lub wreszcie, aby użyć porównania Rappaporta - jako płód, wcale urodziwy w powiciu, bliski już powieszenia się na własnej pępowninie. Tej, która jest odnogą kultury, wysysającą żywotne soki wiedzy z łożyska naturalnego.

Nie mogę przedstawić żadnych dowodów nieodpartych na rzecz mego przeświadczenia. Nie mam ich. Nie wskażę w kodzie gwiazdowym, w jego informacji niczego, co by świadczyło o tym, że wyprodukowano go dla istot pod jakimkolwiek względem lepszych od nas. Może tylko dość długo żgany upokorzeniami, nie chcąc, a idąc pod komendę Easterlandów i Eenyum, wyroiłem sobie na obraz i podobieństwo własnych marzeń - jedynie mi dostępny odpowiednik świętości, mit o Zwiastowaniu i Objawieniu, który - współwinny - odrzuciłem tyleż z ignorancji, co ze złej woli?

Jeżeli człowiekowi przestaje zależeć na poruszaniu atomami i planetami, świat staje się wobec niego bardzo bezbronny, skoro człowiek może go sobie wtedy wyklądać tak, jak będzie chciał. Kto wyobraźnią wojuje, w wyobraźni tonie. A przecież chodzi o to, by okazała się oknem otwartym na świat. Badaliśmy przez dwa lata rzecz - od końca, w spływających na ziemię rezultatach. Proponuję rozważanie od strony przeciwnej. Czy można, nie popadając w szaleństwo, dopuścić, że przysłała nam się zagadki, rodzaj testów na inteligencję, szarady rodem z Galaktyki? Taki punkt widzenia mam za absurdalny: trudność tekstu nie była skorupą, którą należało przebić. Przesłanie jest nie dla wszystkich: tak rzecz widzę - i nie mogę inaczej. Najpierw, nie jest dla cywilizacji nisko tkwiących na drabinie postępu czysto instrumentalnego, bo jasne przecież, że Sumerzyjczycy ani Karolingowie nie zdołaliby nawet dostrzec sygnału. Czy jednak ograniczenie odbiorczego kręgu da się sprowadzić do probierza sprawności czysto technicznej?

Spójrzmy poza siebie. Zamknięty w bezokiennym pokoju byłego poligonu atomowego nie mogłem zaprzestać myślenia o tym, że wielką pustynię za murami wraz z nawisającym nad nią ciemnym sklepieniem, a dalej - całą Ziemię przeszywa nieustannie, godzina po godzinie, wiek po wieku i epoka za epoką bezbrzeżna rzeka cząstek niewidzialnych, której nurt niesie wiadomość, tak samo trafiającą też na inne planety układu słonecznego, inne takie układy, inne galaktyki, że nurt ów wysłano przed niewiadomym czasem z niewiadomych otchłani - i że tak jest naprawdę.

Nie przyjmowałem tej wiedzy bezopornie - zbyt kłóciła się ze wszystkim, do czego przywykłem. Widziałem jednocześnie nasze przedsięwzięcie, gromady uczonych nadzorowanych dyskretnie przez państwo, którego jestem obywatelem; opleceni siatką podsłuchów, mieliśmy nawiązywać łączność z zamieszkującym Kosmos rozumem. W istocie była to stawka toczącej się globalnie gry, weszła do jej puli; w plejadzie niezliczonych kryptonimów, które przepelniają betonowe wnętrza Pentagonu, pojawił się, w jakimś skarbcu, na którejś półce, w jednym z rejestratorów, ze znamieniem tajności wytłoczonym na teczce, jeszcze jeden skrótowy znak, operacji MASTERS VOICE, jako w zarodku już skażona obłędem - próba ukrycia i uwięzienia tego, co od milionów lat wypełnia czeluść Uniwersum - dla wyciśnięcia, jak pestek z cytryny, informacji opatrzonej wartością zabójczą.

Jeżeli to nie było szaleństwo, nie ma go i nigdzie nie może go być. A zatem - Nadawca miał na myśli pewne istoty, pewne cywilizacje, ale nie wszystkie, nawet nie wszystkie - technologicznego kręgu. Jakie cywilizacje stanowią adresatów właściwych? Nie wiem. Powiem tyle: jeśli ta informacja nie należy się nam w rozumieniu Nadawców, to nie pojmiemy jej. Pokładałam w nich wielkie zaufanie - bo go nie zawiedli.

Czy jednak nie mogło być wszystko tylko serią zbiegów okoliczności? Zapewne. Czyż nie przypadkiem odkryto sam neutrinowy kod? Czy z kolei nie mógł przypadkiem powstać? Czy nie przez przypadek tylko utrudnia rozpad wielkich organicznych cząsteczek, przypadkowo się powtarza, a wreszcie - wskutek trafu jedynie powstał z niego Pan Much? Wszystko to być może. Przypadek może też spowodować takie zawirowanie fal przyływu, że po ich ustąpieniu pojawi się na gładkim piasku odcisnięty głęboki ślad bosej stopy.

Sceptycyzm jest jak nieustannie potęgowane, zwielokrotniane powiększenie mikroskopu: ostry zrazu obraz wreszcie rozplywa się, ponieważ nie można zobaczyć rzeczy ostatecznych: istnienie ich jest do wywnioskowania tylko. Zresztą świat, po zamknięciu Projektu, idzie dalej swoją drogą. Moda na wypowiedzi uczonych, polityków i gwiazd dnia o kosmicznym rozumie minęła. Żabi Skrzek da się spożytkować, więc miliony budżetowe nie poszły na marne, nad opublikowanym kodem może sobie teraz łamać głowę każdy z legionu maniaków, którzy poprzednio wynajdywali perpetuum mobile i trysekcję kąta, a poza tym każdemu wolno wierzyć w to, co mu się żywnie podoba. Tym bardziej jeśli wiara ta, jak moja, nie ma żadnych praktycznych konsekwencji. Bo nie starła mnie przecież na proch. Jestem taki sam, jak przed wejściem w Projekt. Nic się nie zmieniło.

Chcę zakończyć tę rzecz wzmianką o ludziach Projektu. Wspomniałem już o tym, że Donald, przyjaciel mój, nie żyje. Zdarzyło mu się statystyczne odchylenie potoku komórkowych podziałów: rak. Yvor Baloyne jest nie tylko profesorem i rektorem, ale człowiekiem tak zapracowanym, że nawet nie wie o tym, jak jest szczęśliwy. O doktorze Rappaporcie nic mi nie wiadomo. List, który wysłałem przed kilku laty na adres Institute for Advanced Study, wrócił. Dill przebywa w Kanadzie - obaj nie mamy czasu na korespondencję.

Ale co właściwie znaczą te uwagi? Co wiem o tajnych lękach, myślach i nadziejach tych, którzy byli mi towarzyszami przez opisany czas? Nigdy nie umiałem pokonywać międzyludzkiego dystansu. Zwierzę jest przytwierdzone do swego Tu i Teraz wszystkimi zmysłami, a człowiek potrafi odrywać się, wspominać, współczuć innym, wyobrażać sobie ich stany i uczucia - co, na szczęście, jest nieprawdą. W takich próbach pseudowcieleń i przenosin siebie tylko umiemy, mgliście, niejasno, sobie wyobrażać. Co by się z nami stało, gdybyśmy naprawdę mogli współczuć innym, z nimi czuć, za nich cierpieć? To, że ludzkie boleści, strachy, cierpienia rozpadają się ze śmiercią osobniczą, że nic nie pozostaje po wzlotach, upadkach, orgazmach i torturach, jest godnym pochwały darem ewolucji, która upodobniła nas do zwierząt. Gdyby po każdym nieszczęśliwym, umęczonym pozostawał choć jeden atom jego uczuć, gdyby tak rosło dziedzictwo pokoleń, gdyby choć skra mogła

przeniknąć z człowieka do człowieka, świat byłby pełen ryku przemocą wydartego z kiszek.

Jesteśmy jak ślimaki, przylepione, każdy, do swojego liścia. Oddaję się w obronę mojej matematyce i powtarzam, kiedy mi nie wystarcza, ten ostatni ustęp wiersza Swinburne'a:

I porzuciwszy gniew, nadzieję, pychę,
Wolni od pragnień i wolni od burz,
Dziękczynnych westchnień ślemy modły ciche,
Ktokolwiek jest tam pośród gwiazdnych głusz,
Za to, że minąć dniom żywota dano,
Za to, że nigdy raz zmarli nie wstaną
I rzek gwałtownych nurt, zmacony pianą,
Zawinie kiedyś w głąb wieczystą mórz.*

* Przekład W. Horzycy.

Zakopane, czerwiec 1967

Kraków, grudzień 1967